

Patricia A. McKillip

Wieża w kamiennym lesie

Przełożył Jacek Manicki

Tytuł oryginału: The Tower at Stony Wood

Copyright 2000

Copyright for the Polish translation 2001

Dave'owi,

mi corazón,

który podarował mi „The Visit” Loreeny McKennitt

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O zachodzie słońca zobaczyła w zwierciadle rycerza.

Jechał samotnie drogą biegnącą brzegiem rzeki. Głowę miał zwieszoną, twarz skrytą

w cieniu. Na jego tunice pod rozchylonym na piersi czarnym płaszczem widniał znak

herbowy w postaci złotych wież; płaszcz spływał z pleców jeźdźca na zad i boki złotego

konia. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca skrzył się krwawo klejnot osadzony w

gałce rękojeści wiszącego przy siodle miecza. Czarne jak smoła włosy rycerz miał zaczesane

do tyłu i spięte na karku srebrnym pierścieniem.

Przyglądała mu się z namysłem, machinalnie rozdrapując swędzące po ukąszeniu pchły miejsce na przedramieniu. Długie bezbarwne włosy, splątane i pozlepiane niczym

wronie gniazdo, opadały jej na ciemne oczy, które połyskiwały od czasu do czasu jakimś

nieokreślonym kolorem. Dotknęła lekko prostej ramy zwierciadła, tak jakby chciała

zatrzymać w nim ten obraz. Koń szedł wolno, równym tempem; mógł już tak przemierzyć

wiele mil, wiele krain. Rycerz podążał brzegiem rzeki na spotkanie nocy.

Poznawała to po

tym, że światło dnia gasło szybciej, niż płynęła woda. Niewiele widziała przez drzewa

rosnące nad rzeką; nie miała pojęcia, co to za zakątek świata.

- Melanthos! - zawołał ktoś z dołu.

Poprawiła się na słomianej macie i machnęła niecierpliwie ręką, jakby opędzała się

przed natrętnym komarem. W tej chwili, pochłonięta obrazem przekazywanym przez zwierciadło, nie rozpoznawała nawet własnego imienia. Ale rycerz uniósł głowę, zupełnie

jakby usłyszał wołanie.

W zwierciadle zobaczyła twarz, zdecydowaną, spaloną słońcem na brąz i oczy niespotykane jasne, koloru wody, koloru głowni zawieszanej przed kolanem.

Przyglądała mu

się przez chwilę, uderzona mieszaniną lęku i zdecydowania wyzierającą z tej posępnej,

ściągniętej, wyrazistej twarzy. Nie odrywając od niej oczu, sięgnęła do kamiennej półki za

zwierciadłem po kłęb nici. Rycerz zniknął za ramą. Obraz w zwierciadle zbladł i zostało w nim tylko odbicie jej własnej twarzy, jej zaciekawionych oczu. Ale zapamiętała kolory. Wryły się jej w pamięć: złoto, krew, srebro, noc. Szczupłymi, pogryzionymi przez pchły palcami wybrała nici i kawałek płótna. Nawlokła igłę i zaczęła od twarzy. Opowieść dopasuje się później.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy pani ze Skye wjeżdżała w bramy Gloinmere, by poślubić Regisa Auruma, króla Yves, oko Cyana Daga, stojącego z rycerzami z Gloinmere witającymi królewską wybranekę, przyciągnęła stara kobieta z jej orszaku. Ciekawy, jak wszyscy, widoku tej, która niebawem miała zostać królową, ni z tego, ni z owego całą uwagę skierował na tę staruchę. Przejeżdżając mimo, obróciła głowę, by nań spojrzeć. Jej ciemne, lekko przymglone oczy wytrzymały jego spojrzenie, tak jakby go rozpoznała. A przecież on Skye znał tylko z opowieści jako owianą mgielką tajemnicy, nieprzewidywalną krainę leżącą gdzieś nad zachodnim morzem. Przed stu laty najechały na nią wojownicze armie Yves. Dopiero po podboju okazało się, jaki osobliwy kraj zajęły. Ze Skye napływali poeci, pogłoski o magii i szukający szczęścia w Gloinmere starzy wojownicy w płaszczach cuchnących owczą skórą, noszący imiona starsze niż Yves. Ustawieni na murach trębacze zagrali fanfarę na cześć królewskiej narzeczonej. Starucha odwróciła wzrok i rozplynęła się w pstrokatej ciżbie gości.

Cyan wodził oczami po tym tumultcie; pani ze Skye też w nim zniknęła.

Jednak uwagi otaczających Cyana rycerzy nic nie rozproszyło.

- Piękna jest? - zapytał jeden. - Czy nie za bardzo?

- Lico ma jak ryba.

- To najurodziwsza kobieta, jaką w życiu widziałem.

- Za wysoka i blada jak chmura.

- Położyłbym się w błocie, by mogła przejść po mnie suchą stopą. Król wygląda przy niej jak niedźwiedź.

- Która to? - spytał Cyan ciekaw, kogo przegapił i dlaczego.

- Nie widziałeś, Cynie? Jak to możliwe? - Jeden z rycerzy pokazał palcem. - Spójrz.

Ta tyczkowata, obok króla. To małżeństwo dla pieniędzy.

- Skye nie ma pieniędzy - zaoponował nieobecny tonem Cyan, na próżno wypatrując tyczkowatej kobiety w najbliższym i dalszym otoczeniu króla.

- No więc dla zachowania pokoju.

- Skye nikomu nie zagraża - zauważył Cyan. Skye od stu lat bez szemrania płaciło królom Yves daninę.

- A więc to pewnie czary - ponuro mruknął stojący obok niego ciemnowłosy rycerz.

-

Rzuciła na niego urok i teraz zaprowadzi w Yves swoje barbarzyńskie porządki.

W tym momencie Cyan wyczuł za sobą niemal namacalne napięcie, usłyszał syk wciąganego przez zęby powietrza, szcęk mieczy w pochwach. Prości, zubożali rycerze ze

Skye, przyciągnięci tu bogactwem i potęgą Gloinmere, uznali sugestię o czarach za osobistą

zniewagę. Obrócił głowę. Poruszyli się niespokojnie, kiedy padło na nich spojrzenie jego

czystych i jasnych jak deszcz oczu.

Przeniósł wzrok z powrotem na sąsiada i rzekł:

- Od stu lat nie wyszło ze Skye nic nieszlachetnego, ani rycerz, ani obietnica.

Czemu

miałoby się to teraz zmienić?

Ponury rycerz zamrugnął, spuścił z tonu.

- A więc - mruknął z powątpiewaniem - to pewnie sprawa miłości.

Ludzie ze Skye rozchmurzyli się; kilku się roześmiało. Cyan spojrzał znowu na dziedziniec.

- Nadal jej nie widzę.

- Tam... na schodach.

Cyan i tym razem jej nie dostrzegł. Zbrojni towarzysze ruszyli za wchodzącym do sali

królem. Na jedwabnych, narzuconych na zbroje tunikach nosili barwne znaki rodów i rang:

zwierzęta, słońca i promieniste gwiazdy, piramidy, błyskawice i księżycy we wszelkich

fazach. Na tunice Cyana widniały trzy złote wieże na granatowym polu. Z upływem stuleci

wieże straciły okna i drzwi, stały się tylko symbolami wież. Był to starodawny herb, ale poza

nim, honorem i nazwiskiem starszym od królewskiego rodzina Cyana niewiele posiadała.

Kiedy Cyanowi szedł dwunasty rok, ojciec przyprowadził go na dwór, by wychowywał się

tutaj i uczył z młodym księciem. Cyan dorastał w cieniu ojca i nagle z niego wyszedł, ratując

życie nowo koronowanemu Regisowi w nadgranicznej potyczce z mieszkańcami Wysp Północnych. Był w Gloinmere jednym z najmłodszych rycerzy, ale nie obnosił się ze swoją

sławą. Wysoki, muskularny, nie obnosił się również ze swą siłą; wielu za późno się o tym

przekonywało. Długie czarne włosy zaczesywał do tyłu i zbierał na karku w koński ogon.

Jego oczy rzadko opuszczał spokój, nawet w ferworze walki.

Kiedy Cyan szedł teraz z innymi rycerzami przez dziedziniec, jego uwagę przyciągnęła wstępująca po schodach jasnowłosa postać obładowana bagażami.

Goście ze

Skye zniknęli w środku. Nie było ich na sali pełnej strojnych panów i dam czekających, by

bardziej formalnie powitać królewską narzeczoną. Królewski bard w kaftanie ze złotogłowiu

grał cicho na harfie balladę ze Skye. Trębacze dołączyli już do innych muzyków i śpiewaków,

ich purpurowe kaftany mieszały się z niebieskimi, srebrnymi, szkarłatnymi,

zielonymi. Cyan

oparł się o rzeźbioną dębową kolumnę w pobliżu muzyków i czekał na pojawienie się

kontrowersyjnej piękności ze Skye.

Podeszła do niego Cria.

- Czemuś taki zadumany, mój panie Dagu? - zapytała.

Spojrzał na nią z uśmiechem. Skórę miała jasną i gładką niczym migdał, włosy ciemne

jak noc w dniu zimowego przesilenia, oczy koloru dzikich fiołków. Była w zielonym,

przetykanym złotem kaftanie śpiewaczki. Głos miała głęboki, słodki. Uniósł rękę, by

obdarzyć ją pieśczętą, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, gdzie się znajdują, i opuścił

dłoń.

- Wyglądam królewskiej narzeczonej, moja pani Greenwood - odparł. - Powiedz mi, jest piękna?

- Gwynne ze Skye? Nie widziałeś jej?

- Coś odciągnęło moją uwagę.

Rozbawiona, uśmiechnęła się szeroko.

- Cóż takiego? Inna kobieta?

- Tak.

- Urodziwa?

- Nie mam pojęcia. Włosy miała jak pajęczyna, a oczy jak księżycy w nowiu.

Spojrzała na mnie przejeżdżając i w tym momencie wszystko inne przestało się dla mnie

liczyć.

- Bo ona w tym momencie rzuciła na ciebie urok i przegapiłaś panią ze Skye.

Strzeż

się czarów ze Skye, panie. Kim była?

- Pewnie czyjaś babką. Ale... - Cyan zawahał się. Cria przyglądała mu się ciekawie. -

Patrzyła na mnie tak, jakby mnie znała.

- Może tylko chciała cię poznać. - Cria odwróciła wzrok; jej uśmiech zaczął gasnąć.

Zerknęła na muzyków. Nikt jeszcze nie przywoływał ich do zajęcia miejsc.

Cyan znał ją na tyle dobrze, by wyczuć, że coś jest nie tak.

- Co się stało? - spytał.

Wzruszyła ramionami.

- Mój ojciec ściągnął na ślub. Nie przyjdę dziś do ciebie.

I znowu naszła go ochota, by zanurzyć dłoń w jej miękkich, bujnych włosach, przesunąć kciukiem po długich rzęsach.

- Szkoda - szepnął.

- I ja żałuję. - Założyła ręce na piersi i spojrzała na niego znowu, ale tak jakby go nie

widziała. - Ostatnio tylko zrzędzi. Zarzuca mi, że zbyt dużo czasu spędzam między

królewskimi muzykami, nie podoba mu się mój strój, moja fryzura...

- Twoja fryzura?

- Zupełnie jakby zapragnął nagle ujrzeć we mnie kogoś innego. Kogoś, kto ubiera się

bardziej wytwornie i nie śpiewa. Kogo można sprzedać za złoto i łąki, i tyle

krów, że nikt nie
zdoła ich wydoić. - Cyan poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy; zapał się
mocniej o dębową
kolumnę i splótł palce za plecami, by przeszkodzić rękom, które aż się rwały do
objęcia Crii.
Między jej ściągniętymi lekko brwiami widniała cieniutka jak nić bruzda. -
Wydaje mi się, że
już sobie kogoś dla mnie upatrzył.
- Kogo?
- Nie wiem jeszcze. Wiem tylko, że nie zapyta mnie o zdanie. Dowiem się, kiedy
już
przyobieca moją rękę komuś, kto ma tego wszystkiego tyle, by mnie kupić...
- Porozmawiam z nim - obiecał Cyan, zastanawiając się, skąd, u licha, weźmie
łąki,
sokoły i ogary, skąd weźmie bogactwa, którymi mógłby zdobyć przychylność jej
ojca. -
Tylko wątpię, czy coś z tego wyjdzie - przyznał posepnie. - Nie mogę ci nawet
zaferować
dachu nad głową. Porozmawiam z królem.
Twarz miała bardzo spokojną, jakby rozprawiali o starodawnych balladach, i
bladą,
jak wyrzeźbioną z lodu.
- Zrób to szybko - poprosiła.
Rozległy się dźwięki fletu, zadudnił bęben. Kiedy Cria się odwracała, Cyan,
splatając
wciąż ręce za plecami, powiedział cicho:
- Kocham cię, moja pani Greenwood. Ja pozwoliłbym ci śpiewać.
I w tym momencie ujrzał wreszcie panią ze Skye. Weszła na salę w otoczeniu
gwarnego orszaku. Była bardzo wysoka, wzrostem dorównywała Regisowi, który
pośpieszył
jej na spotkanie. Upięte na głowie warkocze miała jasne jak najjaśniejsze złoto,
wciąż jednak
złote. Oczy pani ze Skye zdawały się odbijać nieskończony, beczasowy błękit
letniego nieba
wypełnionego światłem. Cyan zauważył, że jej wydłużony, pełen gracji profil mógł
przywołać na myśl rybę, ale było to chyba tylko rozszerzenie granic piękna, bo
to, co do tej
pory nazywane było pięknem, stawało się bez niej królestwem zbyt ciasnym. Przy
Gwynne
Regis, ze swoją ciemnorudą, zmierzwioną czupryną, z potężnymi barami i zębami
wyszczereczonymi w uśmiechu, bardziej niż kiedykolwiek przypominał niedźwiedzia.
Roześmiała się, kiedy się do niej zbliżył, i przyjęła podane ramie, oczarowując
sale swoim
wdziękiem.
Trębacze zagrali fanfarę. Pani ze Skye uśmiechnęła się do dworu, wyraźnie ujęta
hucznym powitaniem, muzyką, okrzykami zachwyty, aplauzem. Ponad wrzawę wybił się
tubalny głos Regisa i sala ucichła. Król zapowiedział trzydniowy festyn. Uczty,
tańce, łowy z
sokołami, polowania z psami, turnieje rycerskie, złote puchary wręczane
zwycięzcom przez
nową królową. W ciągu tych trzech dni nie może paść ani jedno gniewne słowo,
wybuchnąć

ani jedna kłótnia, wszystkie właśnie mają zostać na ten czas zapomniane. Cyan zauważył, że król jest zachwycony tą bladolicą kobietą ze Skye. Ręce miał opuszczone swobodnie po bokach, nie zaciskał dłoni w pięści. W tym nastroju powinien być wspaniałomyślny dla innych zakochanych; nie będzie twierdził, że siłę miłości można mierzyć krowami. Głos zabrała teraz Gwynne ze Skye:

- Dostojni panowie, nadobne damy, wdzięczna wam jestem za to gorące powitanie. - Dwór oczarowała rześkość jej głosu przywodząca na myśl chłodny wietrzyk o zmierzchu; zaległa niemal całkowita cisza, zebrani nastawili uszu. - Mam nadzieję, że poznam was z czasem i pokocham jak Regis. W Skye zdani jesteśmy na łaskę i niełaskę pogody, i nazywamy wiatry podług ich kąśliwości. Ale wszystkie te wiatry, czy to kąśliwe, czy łagodne, przynioszą nam opowieści o wspaniałym głoimeriańskim dworze, a ja słuchałam ich od dziecka. Nigdy nie myślałam, że stać oto będę tutaj u boku Regisa Auruma w przeddzień naszego ślubu i zachodzić w głowę, co też myślicie sobie wszyscy o kobiecie z nieprzewidywalnego zachodu, która ma wkrótce zostać waszą królową. W tym miejscu przerwały jej wiwaty, bębny i bezładne porykiwanie rogów. Ktoś klepnął Cyana w ramię, wepchnął mu w dłoń czarękę. Cyan wznosił ją wraz z innymi rycerzami króla w salucie dla pani ze Skye. Regis głosem tak donośnym, że z parapetów umieszczonych wysoko okien zerwały się do lotu spłoszone gołębie, ogłosił, iż zaślubiny pani Gwynne ze Skye z potomkiem rodu Aurumów, władcą Yves, odbędą się w tej sali nazajutrz o tej samej godzinie, i niech nikt nie waży się spóźnić. A potem zaczął się bal.

- Obserwuj ją, kiedy będzie tańczyła - powiedziała do Cyana stojąca obok kobieta. Ledwie ją usłyszał, bo muzycy już grali, a on jak zawsze skupił się na wyławianiu spośród chóru głosu Crii. Uderzył go jednak dziwny nacisk położony na te słowa, odwrócił więc głowę. Ujrzał obok siebie starą kobietę, która przyciągnęła jego wzrok na dziedzińcu, odwracając uwagę od piękności ze Skye. Była wyższa i trzymała się nadszpiewanie prosto, zważywszy, że zdawała się stara jak świat. Miała pomarszczoną twarz i falujące siwe włosy, które spływały na plecy i sięgały niemal kolan. Odziana była w długą szkarłatną szatę ze szlachetnego płótna i osobliwą wzorzystą opończę w gmatwaninę wyblakłych kolorów udrapowaną na ramieniu i spiętą złotą broszą. Wszystkie palce jednej dłoni połyskiwały złotem, drugą zdobił tylko jeden srebrny pierścień. Trzymała harfę tak białą i zwyczajną, jakby wykonaną z kości.

Znowu zahipnotyzowały go jej oczy, czarne niczym księżycy w nowiu i tak samo tajemnicze.

- Co mam obserwować? - zapytał stropiony.

- Obserwuj ją, kiedy będzie tańczyła. Zapomina się przy muzyce i odsłania swoje prawdziwe oblicze. Masz starożytne oczy. Zobaczysz to.

Muzyka i gwar jakby się oddaliły. Spłynęło na niego przejmujące dreszczem przecucie nadciągających kłopotów.

- Co zobaczę?

- Kim ona jest. Poznasz to po sześciu palcach u jej dłoni, po łuskach na stopach, po

zniekształconym cieniu, po jej strasznych oczach. To nie jest Gwynne ze Skye. W pewnej

wieży w Skye więziona jest pewna kobieta, która nie może wydostać się na wolność, która z

obawy o swe życie nie waży się nawet wyrzeć na świat. Odszukasz ją, Cyanie Dagu?

Uwolnisz ją w imieniu tych, którzy ją kochają i którym jest potrzebna?

Cyanowi zaschło w ustach. Przełknął z trudem.

- Prawdziwa narzeczona króla jest więziona w jakiejś wieży w Skye?

- Już raz ocaliłeś życie swojemu królowi. Pomożesz mu teraz?

- Ale skąd mam... skąd to wszystko wiesz?

- Obserwuj kobietę, którą ma poślubić król. Pokaże ci, kim naprawdę jest.

- A ty kim jesteś? - wykrztusił.

- Minstrelką ze Skye. - Jej stare oczy były nieruchome jak woda w studni i tak samo

niezłębione. - Uczono mnie dawno temu widzieć, co istnieje, i szukać na to słowa. Kobieta,

która podaje się za Gwynne ze Skye, nie jest w stanie niczego ukryć przede mną. Ale nic nie

mogę zrobić. Twój król nigdy by mi nie uwierzył. W tym kraju minstrele wypowiadają się

tylko poprzez muzykę, słowa mogą być dla nich tak samo niematerialne jak dla każdego. W

Skye mówi się, że minstrel słowem potrafi zmienić świat. Ty patrzysz sercem, Cyanie Dagu.

Rozpoznałeś mnie tam, na dziedzińcu.

- Nie znam cię - wyszeptał.

- Zamiast tej fałszywej królowej zobaczyłeś mnie. Rozpoznałeś prawdę. Jesteś nam potrzebny. - Mrok w oczach minstrelki zadrżał lekko niczym woda w studni

wzburzona

pierwszą kroplą deszczu. - Nam wszystkim ze Skye. I wszystkim z Yves.

Potrzebujemy

twoich widzących oczu, twojego nieustraszonego serca. Pomóż nam.

Był to najdłuższy wieczór w życiu Cyana.

Pani ze Skye jak na złość nie tańczyła. Przechadzała się między dworzanami Regisa,

ucząc się imion i twarzy. Przymrużyła promienne oczy, kiedy stanęła przed Cyanem.

- Król opowiadał mi o tobie, panie - powiedziała, gdy pochylił się sztywno nad jej

dłonią i liczył palce. - O twojej odwadze, o niebywałych umiejętnościach, o waszej

długoletniej przyjaźni. Dochodzę więc do wniosku, że twoje trzy wieże wywodzą się ze Skye,
bo chyba wszystko co nadzwyczajne ma swoje korzenie w moim kraju. Nawet król. Wybąkał coś w odpowiedzi i kiedy cofała rękę, zerknął ukradkiem na jej cień. Pięć
palców, powiedział mu cień. Stopa w pantofelku nic mu nie powiedziała. Magię widział tylko
w uroku osobistym pani ze Skye.
Późnym wieczorem znalazł się z Regisem oraz tuzinem jego najbardziej zaufanych wasali i rycerzy w królewskiej komnacie. Regis zarumieniony od wina i nie posiadający się ze
szczęścia zapewniał ich, że znalazł kobietę idealną, najurodziwszą, najmądrzejszą - cóż z
tego, że jej ojciec jest dziwakiem, który wypatruje przez lunetę smoków i usiłuje chodzić po
wodzie. Cyan, z myślami zaprzątniętymi tym, co usłyszał od starej minstrelki, pił niewiele, a
odzywał się jeszcze mniej. Nie zatańczyła, tłukło mu się po głowie. Nic nie zobaczyłem. Nic
jej nie mogę zarzucić. Pobiorą się. Minstrelka bredziła coś od rzeczy. A może jednak mówiła
prawdę. No dobrze, jeśli nawet, i byłbym zmuszony powiedzieć Regisowi, że zakochał się w
oszustce, to król zwątpi w miłość, uznają za jedno wielkie oszustwo i nawet moja miłość do
Carii stanie się dla niego niewarta paru krów...
W pewnej chwili Regis, otrząsając się z winnego odurzenia i życzliwości do całego
świata, spojrzał na niego bacznie.
- Coś taki zgaszony? - zapytał. - Wszyscy się weselą, a ty siedzisz z nosem spuszczonej na kwintę. Nie podoba ci się moja wybranka?
Cyan otworzył usta, ale nic nie odpowiedział. Wszyscy zamilkli i patrzyli na niego z
wyczekującymi uśmiezkami. Przetarł pięściami oczy i unikając wzroku króla mruknął:
- Jestem tak samo oczarowany jak wszyscy. Tak oczarowany, że mowę mi odjęło. Król otoczył go ramieniem.
- A możesz się sam w niej trochę rozkochać? Powinieneś się ożenić. Wszyscy powinni
się żenić. - Dolał Cyanowi wina do czarki. - Wypij ze mną. Za Skye i całą magię, jaka
stamtąd pochodzi.
Cyan się zakrztusił. Król znowu spojrzał na niego bacznie. Na szczęście ktoś wznosił
toast za pomyślność króla i tym razem Cyanowi udało się przełknąć trunek. Rycerze rozeszli
się do swoich kwater nad ranem, kiedy gwiazdy zaczynały już błędnąć. Cyan, idąc blankami,
spojrzał w słabo oświetlone, obramowane pnączami róż okienko w wieży, w której spała
przyszła królowa. Czy mi się wydaje, pomyślał, czy ona wpatruje się w tańczące cienie i

czeka na świt, bo nie jest człowiekiem i nie potrzebuje snu?
Jakiś cień zlał się w oknie z blaskiem świecy. Cyan zastygł w bezruchu. Zalśniły szybki otwieranego kasetonowego okna. Zobaczył jej rozpuszczone, podbarwione przez ogień włosy. Twarzy nie widział. Ale czuł na sobie wzrok pani ze Skye. Musiał ją zaintrygować samotny człowiek, który snuje się nad ranem po murach i wpatruje w jej okno. W komnacie na wieży pociemniało. Cyan wszedł do zamku, obudził pazia drzemiącego przy drzwiach i posłał go po minstrelkę ze Skye. Czekał w wielkiej sali, przyglądając się krzątaniu sług, którzy girlandami kwiatów obwieszali framugi drzwi, dekorowali tron i owijali dębowe kolumny przed zbliżającą się uroczystością. Paź w końcu wrócił. Nie znalazł minstrelki ze Skye ani w jej komnacie, ani u jej pani, ani w orszaku jej pani, ani u królewskiego barda. Nigdzie jej nie było. No właśnie, pomyślał skofundowany Cyan. Nazajutrz zajął miejsce wśród eskortujących króla przez salę ku tonącemu w kwiatach podwyższeniu. Gołębie wypuszczone z klatek w momencie pojawienia się nowej królowej wzbily się z trzepotem skrzydeł w snopy dziennego światła wpadającego przez okna. Postępujące za nią kobiety podtrzymały welon za wyszywane perłami wstęgi. Puściły je, kiedy pani ze Skye zatrzymała się przed Regisem. Oczy miała, jak wszyscy, zaczerwienione z niewyspania, ale Cyan nie dostrzegł w nich niczego złowróżbnego. Kiedy Regis Aurum i pani ze Skye składali sobie małżeńskie śluby, stara minstrelka, która wreszcie się odnalazła, grała z królewskim bardem nastrojowe ballady ze Skye i Yves. W pewnej chwili spojrzała na Cyana znad swojej kościanej harfy. Co ty tu jeszcze robisz? - pytały jej oczy. W tym momencie rozległ się czysty, słodki głos Criei śpiewającej przy akompaniamencie harf. Dziewczyna twarz miała uduchowioną; nie widziała nikogo, nawet Cyana, a jego przeszedł zimny dreszcz na myśl, że ojciec przyobiegał ją już może któremuś z dworaków. Głos Criei wzbijał się ku krążącym pod sklepieniem gołębiami. Król i królowa pocałowali się; zagrały trąby, odpowiedziały im bębny, rozdzwoniły się dzwony, roznosząc radosną wieść po całym królestwie. Ale Cyan wsłuchiwał się wciąż w głos Criei, który tonął powoli w coraz większym tumultie, aż w końcu zostało po nim tylko wspomnienie. Tego i następnego dnia nie miał okazji zamienić z nią słowa. Albo śpieszyła gdzieś w towarzystwie ojca, albo ubrana w zielony kubrak zajmowała miejsce wśród innych śpiewaków. Minstrelka ze Skye, kiedy znajdował chwilę, by zadać jej parę pytań, była akurat wszędzie, tylko nie tam, gdzie jej szukał. Nie odstępując Regisa na krok,

patrzył, jak królowa
jeździ konno z sokołem, jak ocenia hołdy tuzina natchnionych poetów, jak wręcza
nagrody
zwycięzcom turniejów rycerskich. Sam też stanął w szrankach i machał na oślepie
mieczem,
próbując uwolnić się z wymagowanej sieci oplatających go wątpliwości.
Oprzytomniał
dopiero, słysząc własne imię wypowiedziane raz po raz zdyszczym, błagalnym głosem.
Zaprzestał młócki, otarł pot z czoła i ujrzał przed sobą króla klęczącego w
trawie i
bezsukutecznie próbującego mu się poddać. Odbierając z rąk królowej złoty puchar,
pochylił
głowę i wpatrzył się w jej cień padający na rozesłany w pawilonie kobierzec. I
tym razem
niczego podejrzanego nie zobaczył.
Cria, mijając go jakiś czas potem w szrankach, rzuciła z urazą:
- Nie odrywasz od niej oczu. Zakochałeś się?
- A skąd! - zachnął się przerażony. - Kocham ciebie.
Nic nie powiedziała. W jej oczach malowało się zakłopotanie. Najwyraźniej
ciężyły
jej w ten gorący wiosenny dzień atłasy i brokaty. Włosy miała zaczesane do tyłu
i ujęte w
złotą siateczkę. Korciło go, by wsunąć pod siateczkę palec, ściągnąć ją i
patrzeć, jak ciemna,
falująca kaskada opada dziewczynie na ramiona.
- Cria - rozległ się za nim głos jej ojca. Odwrócił się i napotkał twarde,
podejrzliwe
spojrzenie Greenwooda. Ojciec Crii skłonił głowę w niedbałym ukłonie, który
rezerwował dla
rycerzy bez ziemi. - Panie Cyanie Dagu - dodał z ostentacyjną dwornością. - Król
jest
szczęściarzem, mając takiego tęgiego rycerza i tak oddanego przyjaciela. Nic
dziwnego, że
trzyma cię blisko siebie. Nie chciałbym mieć w tobie wroga. Ale tężyzna
przemija, w końcu
przemija, a kiedy człowiek się starzeje i łysieje jak ja, ważniejsze stają się
przymioty bardziej
namacalne. Chodź, Cria.
Cyan zrozumiał, że to ostatnie słowo ojca Crii w tej kwestii.
- Panie - wtrącił paż. - Król prosi, byś zajął miejsce w eskortie królowej.
- Chodź, Cria.
Dziewczyna przymknęła oczy. Potem, ruszając za ojcem, zerwała sobie gwałtownym
ruchem siateczkę z włosów i cisnęła ją w trawę. Potrząsnęła głową, rozpuszczając
włosy.
Cyan usłyszał pytanie zadane jej gderliwym tonem przez ojca.
- Sama mi spadła - ucięła krótko.
Cyan poszukał wzrokiem siateczki, żeby ją podnieść, ale zniknęła. Oddalający się
szybkim krokiem paż zapinał guzik tuniki pod szyją. Zdębiały Cyan gapił się na
własny cień.
Z niego też nic nie mógł wyczytać.
Pani ze Skye w końcu zatańczyła.
Drugiego dnia, po wieczery, nie potrafiła się oprzeć skocznym dźwiękom harfy,

bębna i fletu. Tańczyła z każdym, a zauroczony i uśmiechnięty błogo król obserwował ją zza stołu. Siedzący obok niego Cyan też patrzył zauroczony, ale się nie uśmiechał. Cień królowej wirował po całej sali, świece rzucały za nim widmowy cień wtórny. Te dwa cienie co rusz zachodziły na siebie, zlewając się w trzeci, który nie wyglądał Cyanowi ludzko. Kiedy królowa unosiła ręce, wyrastały jej nowe palce, ale zaraz znikwały. W pewnym momencie zrzuciła z nóg pantofelki i jej białe stopy zaświeciły dziwnie. Kiedy blask świec padł pod innym kątem, oczy jej pociemniały, zwęziły się i cofnęły w jamy z kości i cienia. Cyan wstrzymał oddech. W chwilę potem wsunęła się w krąg światła i oczy znowu miała roześmiane, błękitne jak letni poranek. Cyan odetchnął z ulgą, sięgnął po czarkę z winem. Smagła dłoń z nowym złotym pierścieniem na palcu spoczęła na jego nadgarstku. Spojrzał zaskoczony na Regisa.

- Co z tobą? - spytał prosto z mostu król. - Od dwóch dni prawie się nie odzywasz. To moje zaślubiny! Znamy się od piętnastu lat, a nigdy takiego cię nie widziałem. Co przede mną taisz?

Cyan patrzył na niego bez słowa. Umysł, przyćmiony winem i rozterką, nie podsuwał żadnej zbornej odpowiedzi, żadnej wymówki. Było już późno, ostatni goście, których sen jeszcze nie zmorzył, tańczyli. Kurant wybił godzinę. Minstrelka ze Skye znowu gdzieś zniknęła. Cyana piekły oczy. Miał wrażenie, że od miesiąca się nie przebierał. Że celebują królewski ślub od roku... Coś widzę, odpowiedział królowi w myślach. Ale nie wiem co i nie mogę powiedzieć, nie oskarżając przy tym twojej żony albo minstrelki ze Skye, bo wiem, kogo najpierw wyrzuciłbyś z Gloinmere, gdybym powiedział.

Król czekał wciąż na odpowiedź. Przymrużył oczy, dziwnie jasne jak na niedźwiedzia; mocniej ścisnął Cyana za nadgarstek.

- Nie tańczyłeś jeszcze ze mną, panie - powiedziała pani ze Skye. Stała za Regisem, zdyszana jeszcze po ostatnim tańcu. Jej cień padał na obrus między królem a rycerzem. Regis obejrzał się na żonę, ale nie puścił ręki Cyana. Cyan też spojrzał na królową. Nadal nie przychodziła mu do głowy żadna rozsądna odpowiedź. Uśmiechnął się jednak i król, widząc to, zwolnił uścisk.

- Pani...

Tylko na to jedno słowo się zdobył. Zagadywała go podczas tańca; odpowiadał

krótkimi, grzecznymi półsłówkami. Starał się nie zdradzić przed nią swych
podejrzeń; starał
się nie dopuszczać, by przecięły się ich cienie. Kiedy odprowadził panią ze Skye
do męża,
ona również zamilkła. Na znak władcy muzycy zaczęli pakować instrumenty.
Królewski bard,
akompaniując sobie na harfie, zaintonował pieśń starą jak noc.
Regis wziął żonę za rękę.
- Pewnieś zmęczona - powiedział. - A jeszcze jeden dzień zabaw przed nami.
Uśmiechnęła się do niego słodko. Cyan jeszcze raz policzył palce spoczywające w
dłoni króla. Drgnął, kiedy położyła mu drugą rękę na ramieniu.
- Tak, jeszcze jeden dzień - powiedziała do Regisa.
Ale nie dla Cyana Daga, dodała w myślach.
Przysłała po Cyana rankiem, kiedy ci, którzy zdołali zwlec się z łóżek,
dotrzymywali
królowi towarzystwa przy śniadaniu. Na ten dzień przewidziano polowanie. Nowa
królowa,
odziana w złoto i purpurę, z włosami ujętymi w siateczkę z pereł i złota, wydała
się Cyanowi
postacią z bajki. Kiedy wszedł do jej komnaty, wyglądała przez okno.
Słyszając jego kroki, dotknęła jednej z maleńkich różyczek pnąca i powiedziała:
- Zamknij drzwi.
Posłuchał. W komnacie zaległa głucha cisza. Królowa się odwróciła. Mignęły mu
jej
oczy, małe, głęboko osadzone, bez źrenic. Odniosł wrażenie, że coś groźnego
łypnęło ze
skalnej rozpadliny. Cofnął się do drzwi, serce mu waliło. Już wiedział, że
zauważyła go
wtedy nad ranem i od tamtego czasu nie spuszczała z oka tego zamkniętego w
sobie,
pograżonego w myślach rycerza.
- Panie Cyanie Dagu - zaczęła i jej cień popęzł ku niemu po kamiennej posadzce
niczym coś żywego - niepokoisz swojego przyjaciela króla. Niepokoisz mnie.
Jestem teraz
żoną Regisa i królową Yves; ty jesteś wiernym rycerzem, który nigdy nie zawiódł
w
potrzebie. Aż do tej pory. Nie możesz ze mną walczyć ani mnie zwyciężyć. Nie
możesz
powiedzieć Regisowi, co widzisz. Jak by zareagował... - wyciągnęła przed siebie
sześciopalczaste dłonie; ich cienie padły na ścianę obok Cyana - gdybyś
powiedział mu o
tym? Albo o tym? - Uniosła kraj sukni, odsłaniając bosc stopy. Zaskrzyły się
srebrzyście.
Były pokryte rybią, a może węzową łuską. - Albo o tym?
Spojrzała znowu na niego prastarymi, nieludzkimi oczami stworzenia, które pełza
przy ziemi i nie zna żadnego języka. Poczul, jak cienie jej dłoni chwytają go za
ramiona.
Wzdrygnął się, zaniknął oczy. Światło poranka zalewało mu twarz.
- Kim jesteś? - wyszeptał.
- Spójrz na mnie, mężny rycerzu. Otwórz oczy. - Spojrzał i zobaczył żonę króla.
Wysoką, pełną gracji, roześmianą. Jej śmiech skojarzył mu się z wodą szemrającą
po

kamykach. - Jestem Gwynne ze Skye, żona Regisa Auruma. Zostanę matką jego dziedziców.

- Będę z tobą walczył - wykrztusił, czując, jak jej lodowaty cień wsącza mu się w kości niczym śmierć.

- Nie możesz. Co powiesz Regisowi? Że mam oczy jak wąż i stopy pokryte rybią łuską? Pomyśli, żeś rozum postradał. Nie chcę nikogo krzywdzić. Nie ma powodu, dla

którego nie mielibyśmy wszyscy zostać przyjaciółmi.

- Jesteś kłamstwem... jesteś potworem. Gdzie prawdziwa pani ze Skye?

- Ona... - Królowa się uśmiechnęła. - W wieży gdzieś w Skye. Umrze, jeśli z niej wyjdzie. Umrze, jeśli choć wyjrzy z niej na świat. Dałam jej zwierciadło, w którym widzi, co

się na świecie dzieje, i dałam trochę nici, żeby miała zajęcie. A jeśli woli, może w tym

zwierciadle podziwiać swoją nieprzemijającą urodę. Widzisz więc, że nie możesz jej

uratować. Zabiłbyś ją tylko.

- Znajdę ją - powiedział i w oczach królowej zobaczył strach.

A więc istnieje sposób, przemknęło mu przez myśl. Ona o tym wie. Boi się.

Wwierciła

się w niego wzrokiem; spuścił powieki, ale wciąż widział jej oczy - teraz tylko małe, ciemne,

bezlitosne.

Zduślił okrzyk przerażenia i z całych sił przywarł plecami do drzwi, żeby nie osunąć

się po nich na posadzkę. Królowa roześmiała się i odwróciła, by powąchać różyczki za

oknem.

- Proszę cię, Cyanie Dagu, zostań z nami. Król cię kocha, twoje miejsce jest tutaj, a ja

chcę tylko dać Regisowi to, czego najbardziej pragnie. Powinieneś wziąć ze mnie przykład.

Zapomnij o Gwynne ze Skye. Ona ma swoje zwierciadło i - dopóki jest uległa - swoje życie.

Odwrócił się bez słowa i drżącymi rękami namacał klamkę. W swej komnacie cisnął, co mu się nawinęło pod rękę, do skórzanego worka, chwycił miecz i zszedł na dziedziniec.

Czekając przy stajniach na konia, usłyszał dźwięk rogu wzywającego na polowanie.

Wyjechał z Gloinmere przez nikogo nie żegnany. Tylko raz ściągnął cugle złotemu wałachowi - kiedy stracił oddech i poczuł cierń w gardle.

- Cria! - szepnął.

Przełknął i czując, jak cierń wraza mu się w serce, ruszył drogą prowadzącą w nieznane krainy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Melanthos zobaczyła w zwierciadle wieżę o wschodzie słońca.

Budowla stała skąpana w jego promieniach pośrodku równiny okolonej pierścieniem wzgórz. Na równinie nic nie rosło, może za sprawą potwora, który owinał się wokół wieży.

Chyba spał. Ale kiedy słońce wychylnęło zza wzgórz i oblało pustynię krwawym blaskiem,;

bestia otworzyła ślepie. Było okrągłe i złote jak słońce.

Potwór ziewnął, obnażając ostre, kryształowe zęby. Światło rozszepiało się w nich na bajeczne kolory. Przez moment nad pustynią wisiały wielobarwne tęcze. Potem z paszczy bestii buchnął płomień i potoczył się po spękanej ziemi. Potwór zatrzasnął paszczę, opuścił płaski, trójkątny łeb. Teraz widocznych było już dwoje czujnych ślepi. Smok, pomyślała zafascynowana Melanthos i zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. Jego łuski zdawały się świecić. Skrzyły się zielenią, złotem, brązem, miedzią. Leżał, wspierając łeb na ogonie, owinięty cielskiem wokół wieży. Uniósł i lekko rozchylił jedno skrzydło. Drugie przyciskał do muru. W świetle wstającego dnia wieża, czerwona jak otaczające ją nagie wzgórza, zdawała się płonąć niczym pochodnia w pierścieniu smoczego cielska. Melanthos nie widziała drzwi. Wieża zwrócona była zapewne tyłem do niej, a przodem do wstającego słońca. Ale ten brak wszelkich otworów nie dawał spokoju, rozbudzał wyobraźnię - wieża pozbawiona zarówno wejścia, jak i wyjścia. Co jest w środku? - zastanawiała się Melanthos wpatrzona w blaknący obraz. Czego strzeże smok? Z czyjego rozkazu waruje pośród tej martwej, spalonej ziemi? Nie mogła dobrać nici, miała zbyt mało kolorów. Nie do wiary, że takie upiorne miejsce może być tak piękne.

Zaczęła od maleńkiego, ruchomego odbicia w smoczym ślepiu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Thayne Ysse, wsparty dłońmi o zmurszałe brzegi ostrołukowego okna zrujnowanej wieży na półksiężycowatej wyspie Ysse, patrzył ponad morzem na południowy horyzont.

Ojciec bawił się za jego plecami ogniem i wodą, mamrocząc pod nosem słowa odczytywane z

jakiejś zapleśniałej, nadgryzionej przez myszy księgi. Czasem odzywał się do syna, ale

rzadko; częściej zwracał się do swego brata, który nie żył od trzydziestu lat.

Thayne

odpowiadał mu albo nie, zresztą ojcu nie robiło to żadnej różnicy.

Thayne był jasnowłosy, barczysty, z twarzy przypominał żółtookiego jastrzębia.

Te

jastrzębie oczy skierował teraz na Yves. Kiedyś, przed laty, był w Gloinmere.

Wybrał się tam

z kilkoma wyspiarzami, bardzo młodymi mężczyznami, by zobaczyć Regisa Auruma, koronowanego króla Yves, Wysp Północnych i osobliwej krainy Skye. Patrzyli

ponuro na

Regisa parującego uliczkami Gloinmere w otoczeniu dumnych rycerzy odzianych w kaftany z miętko wyprawionej skóry, jedwabne tuniki i błyszczące kolczugi. Nie

odbyli tej

dalekiej podróży, by składać wiernopoddańcze hołdy. Ich celem było oszacowanie siły

Regisa. Nie musieli się maskować; stali pośród spoconej, rozwrzeszczanej cizby w zgrzebnym opończach i znoszonych butach - kmiecie i rybacy, od których zalatuje

morską
solą i którzy nie mają wiele do stracenia.
Rzucili na szalę wszystko, co mieli, i przegrali, kiedy parę miesięcy później
Regis
przybił ze swoimi rycerzami do ich brzegów, by sprawdzić osobiście, dlaczego
nikt z Wysp
Północnych nie padł dotąd przed nim na kolana, nie ślubował mu wierności, pokoju
i części
swoich dochodów. Wojna była krótka i krwawa. Sam Regis o mało w niej nie zginął.
Thayne
stracił kuzynów, którzy ledwie odrośli od ziemi, a już musieli chwycić za broń,
i ostatniego
wuja; ciężko ranny ojciec wrócił do sił, ale jego rozum odszedł w zamierzchłą
przeszłość, w
czasy, kiedy Wyspami Północnymi władał Ferle Ysse i na świecie istniała magia.
Czując pod dłońmi chłód starego, nietynkowanego kamienia, słysząc za sobą ojca
mamroczącego coś pod nosem i dmuchającego w miskę z wodą, Thayne pomyślał:
Jestem
potomkiem królów.
Odwrócił się od okna. Ojciec, pomarszczony i powykręcany jak pień starego
drzewa,
potrząsnął grzywą włosów srebrnych jak kora jesionu i zamrugał, zupełnie jakby
Thayne,
odwracając się, zmienił się w kogoś zupełnie innego.
- Podejź, Bowanie - mruknął. - Coś ci pokażę.
- Nie jestem Bowanem - odparł Thayne cierpliwie, choć wiedział, że ojciec i tak
puści
jego słowa mimo uszu. - Bowan nie żyje. Jestem Thayne.
Podszedł jednak. Ojciec chwycił go za rękaw, przyciągnął do rozłożonej na stole
księgi. Stół zavalony był najprzeróżniejszymi przedmiotami; leżały na nim
papiery,
kamienie, świece, kości, słoje, soczewki, lusterka, suszone zioła, ptasie pióra,
a nawet mały,
zmunifikowany nietoperz. Ojciec powykręcany reumatyzmem palcami przewracał
niezdarnie stronicę księgi. Postarzał się przedwcześnie. Powinien być teraz
szpakowatym,
silnym mężczyzną, ćwiczyć z Thayne'em na podwórku walkę na miecze i snuć plany
zależenia za skórę Regisowi Aurumowi. Postukał paznokciem w rysunek
przedstawiający
kogoś wydymającego żagle własnym oddechem i zwrócił się do Thayne'a:
- Też to potrafiłeś, Ferle. W bezchmurny dzień przywołałeś nad morze mgłę i
ukryłeś
Wyspy Północne przed armią z południa.
- Nie jestem Ferle. Jestem Thayne.
- Rozumiałeś język fok.
- Jestem Thayne, ojczu.
- Przecież wiem - obruszył się ojciec. - Jak myślisz, po co cię tu przywołałem?
Jesteś
moim dziedzicem i zostaniesz królem Wysp Północnych.
Thayne chciał coś odpowiedzieć, ale zrezygnował. Spojrzał na otwartą księgę,
strzepnął z karty mysie bobki.
- Co chciałeś mi pokazać?

- To.

„To” było wieżą bez drzwi i okien, otoczoną cielskiem potwornego smoka, który zionął ogniem na jeźdźca o twarzy zamazanej palcami przewracającymi przez wieki te

stronice.

- Widzę - rzekł cierpliwie Thayne.

- Chcę, żebyś tam pojechał, Thayne.

Młodzieniec był zaskoczony. A więc ojciec wreszcie go rozpoznał! Któż mógł jednak

wiedzieć, co znaczy teraz imię „Thayne” dla tego starca. Całkiem możliwe, że kogoś tak

samo realnego albo nierealnego jak Bowan i Ferle, jeszcze jednego ducha.

- Chcesz, żeby ten smok spalił mnie na popiół. Kto wtedy będzie pamiętał, że siedzisz

tu na górze? Kto będzie ci przysyłał jadło i drwa na opał? I układał cię co wieczór do snu?

- Nie zawsze o tym pamiętasz - zauważył kwaśno ojciec.

Thayne dotknął szklanego słoja z czymś, co wyglądało na stare, zasuszone ostrygi wydłubane z muszli.

- Spróbuję się poprawić - mruknął. - Co to?

- Perły.

- Mhm.

- Znajdziesz sposób.

- Sposób na co?

- Na pokonanie smoka. Sam uczyłem cię walczyć. Jeśli nie liczyć mnie, byłeś najlepszy.

- Nadal jestem.

Ojciec spojrział na Thayne'a dziwnie, najwyraźniej zdumiony, że syn uważa się jeszcze za żywego.

- Tak, jesteś - przyznał w końcu.

Thayne, wsparłszy się łokciami o blat stołu, przetarł palcami oczy i pochylił się z

ociąganiem nad księgą.

- No dobrze - burknął, sam nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, czy rozbić o ścianę

słój z perłami i odkryć w ten sposób przed zwichrowanym umysłem ojca prawdziwą naturę

świata. Patrzył na smoka narysowanego wyblakłym czerwonym tuszem z zadziwiającą dbałością o szczegóły. Smok oplatał wieżę podwójną pętlą cielska; w otwartej jaszczurzej

paszczy widać było mnóstwo trójkątnych zębów. - A co zyskam, zakłócając temu smokowi

spokój?

- Złoto.

Thayne odchrząknął. Najwyraźniej smoki z niczego wytwarzały złoto, tak jak ostrygi

wytwarzają perły.

- Zabiję smoka...

- Zaszlachtujesz. Tutaj jest napisane, że smoki się szlachtuje.

- Zaszlachtuję smoka i zagarnę jego złoto. A potem...

- Wyzwolisz Wyspy Północne spod okupacji Regisa Auruma. - Ojciec powiedział to tonem tak rzeczowym i chłodnym, że Thayne spojrział na niego zaskoczony. - Thayne

Ysse.

Synu mój. Tyś jest tu władcą.

Thayne'owi zjeżyły się włoski na karku. Z oblicza starca ten znajomy, zdecydowany, nieustępliwy wyraz twarzy już zanikał, ustępując zagubieniu, niepewności. Ojciec poklepał

młodzieńca niezgrabnie po ramieniu, usiłując sobie najwyraźniej przypomnieć imię, które przed chwilą sam wypowiedział.

Tu nie ma drzwi, pomyślał Thayne, przyglądając się rysunkowi. Wieża nie ma drzwi.

Nie da się do niej wejść. Nie da się z niej wyjść.

Wyprostował się. Za wąskimi, ostrołukowymi oknami zapadał purpurowo-szary zmierzch.

- Przyślę ci Haela z wieczerzą - powiedział. - Wrócę tu jeszcze potem i sprowadzę cię

na dół. Nie schodź sam. Schody są niebezpieczne.

- Dziękuję, Bowanie.

Thayne zszedł ostrożnie po spiralnych schodach, w ciemnościach wymacując stopami kolejne wyszczerbione, splekane stopnie. Na ostatnim siedział jego młodszy brat i czytał przy

blasku pochodni. Craiche miał dwanaście lat, kiedy wyzwiał ojca na pojedynek, chcąc mu

udowodnić, że należy mu się miejsce na rybackiej łodzi, która wyruszała na kontynent, by

przeszkodzić rycerzom Regisa Auruma w dokonaniu inwazji na wyspy. Walka rozpoczęta na

podwórcu skończyła się w oborze. Ojciec zostawił tam Craiche'a rozciągniętego na klepisku.

Ale Craiche i tak popłynął, i dlatego teraz, w wieku lat dziewiętnastu, powłóczył nogą.

Odziedziczył po ojcu odwagę, miłość do wiatru, do morza i do trudnego życia na wyspach.

Zamknął książkę, zakładając ją palcem i podniósł wzrok na Thayne'a. Był jak ojciec

ciemnowłosy i miał ten sam wyzywający, przekorny uśmiech.

- Co u niego? - spytał.

- Bredzi - odparł Thayne. - Bierze mnie wciąż za Bowana.

- Którego Bowana?

- Chyba swego brata. Umarł na wiele lat przed moim urodzeniem. Owce już w zagrodzie?

- Owce w zagrodzie, krowy wydojone, łodzie w przystani, wszyscy w domu i jedzą wieczerzę, włącznie z nieznajomą, którą spotkała Deirdre podczas zbierania małży

nad

kanałem.

- Co to za nieznajoma?

- Kobieta z harfą.

Thayne odchrząknął.

- Dobrze. Poślę ją do ojca, żeby mu zagrała. - Zauważył, że Craiche drży. -

Wejdz do

środku i zjedz coś. Strasznieś chudy.

Craiche wstał. Przez chwilę przytrzymał się kamiennej ściany, żeby odzyskać

równowagę. Czasami, kiedy bolała go chroma noga, podpierał się mieczem jak laską.

Przecieli razem podwórzec. Był mały, otoczony grubym kamiennym murem i zabudowaniami gospodarskimi dla osłony przed wiatrem. Górowały nad nim ciemne, popadające w ruinę wieża i stary zamek. Niektóre części zamku odbudowano, ale było to

jeszcze przed urodzeniem Thayne'a. Może za czasów Bowana, pomyślał z przekąsem Thayne, idąc za Craiche'em po schodach. Kiedy dotarli na ich szczyt, wstawił pochodnię w

uchwyt i odwrócił się. Nie mógł już patrzeć na kamień, na mury, nie chciał słuchać mlaskania

domowników, pragnął oczyścić umysł na nocnym wietrze.

- Wejdz do środka - rzucił do Craiche'a. - Po wieczery pošlij tę harfistkę do ojca.

Potem sprowadzę ich oboje na dół.

Craiche ociągał się, popatrując na niego z zaciekawieniem.

- Coś cię gnębi - stwierdził.

- Słucham?

- Coś zre cię od środka.

- Można by pomyśleć, że po tylu latach nie powinno mi już zależeć na tym, by ojciec

pamiętał moje imię.

Craiche milczał przez chwilę; potem się uśmiechnął.

- Oddałbym moją zdrową nogę... oddałbym życie za to, żeby w tej wieży zamiast naszego ojca wegetował Regis Aurum.

Thayne położył mu dłoń na ramieniu i Craiche stracił równowagę. Przytrzymał się ze

śmiechem ręki brata.

- Nie mów głośno takich rzeczy. - Thayne pogładził go po włosach. - Jestem wolą i

mieczem Ysse. Ty jesteś naszym sercem.

Był już w połowie podwórca, kiedy dogonił go głos Craiche'a:

- Dziadek Ferle'a Ysse też miał na imię Bowan. Był biegły w magii mowy. Nauczył jej Ferle'a.

Thayne nie widział w ciemnościach dobrze twarzy brata, tylko rozmyty profil podświetlany przez pochodnię.

- Coś powiedział?

- Czytałem o tym. Masz rację, jeśli chodzi o słowa. Bowan twierdził, że są pełne cudów i niebezpieczeństw i potrafią stawać się ciałem.

- Poezja - orzekł Thayne, usiłując zrozumieć.

Craiche przestąpił z nogi na nogę. Jego twarz rozplynęła się całkiem w ciemnościach,

lecz włosy gorzały płomieniem.

- Jest tak, że kiedy mówisz „chmura”, słowo to staje się chmurą. Właśnie w ten sposób

Ferle Ysse wywołał mgłę, która oślepiła nadpływającą morzem armię. - Zawiesił głos, dając

bratu czas na przemyślenia. Thayne milczał; czekał, kiedy Craiche wreszcie wejdzie do

zamku. - Albo jak mówisz „Jestem mieczem Ysse” - podjął Craiche - to właśnie się nim

stajesz. Nie tylko w wyobraźni. I nie tylko czymś, co rdzewieje w pochwie.

Thayne odetchnął głęboko.

- Ty do stracenia masz tylko mnie - powiedział cicho. - Ja ciebie. I jest jeszcze nasz

ojciec, i ten dom, i ta wyspa...

- I owce, i łodzie...

- Wszystko - wpadł mu w słowo Thayne. - Całe nasze życie. Do walki z Regisem Aurumem potrzeba czegoś więcej niż przeżarty przez rdzę, wyszczerbiony kawałek metalu.

Nie mamy broni, nie mamy pieniędzy, nie mamy ludzi.

Nie widział w ciemnościach twarzy stojącego na szczycie schodów brata, ale wyczuł,

że Craiche się uśmiechnął.

- Mamy słowa.

Craiche odwrócił się i pokuśtykał w kierunku zamkowych podwoi. Kiedy zniknął za nimi, Thayne wyszedł przez wrota w murze, których nie zamykano od siedmiu lat, czyli od

kiedy Wyspy Północne złożyły hołd lenny królowi Yves.

Odnalazł w poświęcie gwiazd ścieżkę, poszedł nad brzeg morza, usiadł na kamieniu i

zapatrzył się w fale.

Blask świec, sączący się z okienek wieży na szczycie urwiska, kładł się na wodzie

wąskimi prostokątami. Thayne myślał o żyjącym we własnym świetle ojcu, który ślęczy na

księgami i błądzi po labiryncie przeszłości i teraźniejszości, natykając się raz po raz na ślepe

korytarze. Myślał o Craiche'u, który cuchnąc krowim łajnem poszedł na wojnę i nie wrócił do

domu o własnych siłach. Thayne przyniósł go na rękach. Gdzież jest to magiczne słowo, które

przywróci mu władzę w chromej nodze? - dumał. Naraz usłyszał z daleka, jak mrocznosrebrzysta fala przyływu burzy się i wiruje, usłyszał ptaki krzyczące nad głębią,

która skrywa coś, co umarło.

Dobiegły go dźwięki harfy wplecione w odgłosy morza tak nierozzerwalnie, jak nierozzerwalnie spleciona jest z wodą księżycowa poświata. Wsłuchiwał się w lekkie,

delikatne pasaże i akordy. Wydało mu się, że wdycha je z powietrzem, wciąga głęboko w

kości, aż jego myśli przestały krążyć jałowo same wokół siebie i rozplynęły się bezkształtne

niczym woda, dotykając wszystkiego. Zobaczył wtedy nie tylko noc, ale i gwiazdy.

Poczuł

szczególną mieszaninę zapachów soli i owczego pastwiska - morza i Ysse - a potem dominujący nad wszystkim, niesiony przez wiatr od kontynentu zapach Yves;

zabronowanych

pól i nieprzebytych borów, gór, przesiąkniętej krwią ziemi.

Muzyka harfy wsącżyła się znowu w jego myśli, wabiąc, kojąc, przykuwając uwagę.

Wstał. Chciał poznać tę harfistkę, bo od dawna nie słyszał czegoś tak pięknego.

Gdzieś w

głębi duszy żywił nadzieję, że jest może podobna do swojej muzyki, że została wyczarowana

ze starych legend, w których zaczytywał się Craiche. Pieśń się urwała, zanim doszedł do połowy schodów. Przyspieszył nieco kroku w obawie, że harfistka zniknie z powrotem w swojej legendzie. Ale nie, rozmawiała spokojnie z ojcem. Kiedy stanął w drzwiach, uśmiechnęła się, zupełnie jakby czytała w jego myślach.

Twarz miała pobrużdżoną jak spękane dno wyschniętego stawu, a oczy czarne, mroczne, jakby widziały, co istniało przed początkiem świata. Siwe, zwisające luźno włosy

sięgały jej poniżej kolan. Była zadziwiająco wysoka i jak na swój wiek zadziwiająco prosto

się trzymała. Podwinięte rękawy długiej szarej tuniki odsłaniały muskularne przedramiona

nawykłe do dźwigania harfy. Sam instrument też był stary, bez ozdób, koloru kości. Zdawało

się, że muzyka wydobywa się z czegoś, co umarło.

- Bowanie - ożywił się na widok Thayne'a ojciec. - Ona słyszała o tym smoku.

- Tak? - Thayne oderwał wzrok od tajemniczych czarnych oczu i spojrzął na rysunek

wieży w otwartej księdze, nad którą wciąż ślęczał ojciec.

- To legenda ze Skye - odezwała się harfistka. Głos miała trochę głuchy, zdarty ze

starości, ale miły dla ucha, dostrojony do pieśni, które śpiewała. Thayne westchnął cicho.

Ojciec trzymał dłoń na stronicy księgi, tak jakby chciał zagarnąć i smoka, i wieżę, i ukryte w

niej skarby.

- A więc to legenda - mruknął Thayne, uzbrajając się w cierpliwość.

- Nie. - Ojciec postukał palcem w ilustrację. - Ona mówi, że ta wieża naprawdę istnieje. Stoi w Skye i jest pełna złota. Mówi, że ten smok jest groźny.

Thayne spojrzął na kobietę.

- Smoków nie ma.

- W Skye są - odparła.

- I złoto też jest. - Ojciec znowu postukał palcem w rysunek, na którym bezlica, zbrojna postać szarżowała na buchający z paszczy bestii płomień. - I jesteś ty.

Mój syn.

Thayne patrzył na smoka, zastanawiając się, kogo ma na myśli ojciec, mówiąc o swoim synu - jego czy rycerza z ilustracji zbliżającego się do wieży, do której nigdy nie

dotrze. Zwrócił się znowu do harfistki.

- Skąd wiesz...

- Wiem - wpadła mu w słowo i zobaczył w jej oczach wspomnienie smoka. - Jestem minstrelką ze Skye. - Uniosła harfę do ramienia i wydobyła z niej garść

słodkich, urokliwych

tonów. - Jest legenda i jest prawda. Rzeczywistość i sen.

- A ta wieża? - spytał ochryple, choć znał już odpowiedź.

- Jest jednym i drugim.

- Wyspom Północnym potrzeba złota. Na żywność, na przyodziewek, na budowę łodzi, na... w snach jesteśmy już bogaci. - Nie wypowiedział słowa „wojna”;

zawisło między

nimi w powietrzu niczym nie zagrana nuta.

- Znam kilka legend z Wysp Północnych - powiedziała harfistka w zamyśleniu i trąciła strunę, tak jakby chciała którąś z nich opowiedzieć. Ale skończyło się tylko na jednym dźwięku harfy. - W czasach Ferle'a Ysse była tu magia.

- To legenda.

- A może prawda? - Podniosła na Thayne'a oczy; wyczerało z nich coś, co musiała nosić w sobie, od kiedy była świadkiem początków świata. Ojciec uśmiechał się wilczym, niepokornym uśmiechem, którego Thayne nie widział u niego od siedmiu lat.

- Thaynie - rzekł - idź i wracaj z tym smoczym złotem do Ysse. Thayne chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w krtani. Kiedy usłyszał z ust ojca swoje imię, załapała go fala euforii. Odwrócił się, żeby nie patrzeć, jak ojcowski uśmiech przechodzi w grymas zagubienia, i zszedł po mrocznych schodach z wieży. Przecinając podwórzec, zwęszył znowu w powietrzu zapach kontynentu, zobaczył go, jak czai się pośród nocy po tamtej stronie wąskiego kanału niczym olbrzymia bestia, wpatrująca się w wysepki rozsiane wzdłuż jego brzegu, jak nabiera tchu, by plunąć płomieniem, jak unosi łapę, by odpowiedzieć uderzeniem na każdy ruch ze strony Wysp Północnych.

- Smokiem zwalczyc smoka - wyszeptał.

Poczuł, jak na te słowa zaczyna narastać w nim coś niepokonowanego, niebezpiecznego, magicznego. Nadzieja. Minął wrota i zszedł nad brzeg morza.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Melanthos zobaczyła kobietę w wieży. Nieznajoma siedziała w słonecznej izbie na zdobnym krześle rzeźbionym w lwie łby i róże. Melanthos nie widziała jej twarzy, tylko białozłote włosy opadające falami na plecy. Kobieta wyszywała coś na dużym tamborku. Z jednej strony tamborka spływała na posadzkę i ścieliła się fałdami wstęga czystego jeszcze płótna; z drugiej zwisały i piętrzyły się na kamieniach barwne, odmalowane igłą obrazy. Melanthos, klęcząca we własnej wieży pośród splątanych kłębków własnych nici, wpatrywała się w tę wizję jak zahipnotyzowana. Izba była wielka, a otwarte kasetonowe okno z szybami z barwionego szkła tak szerokie, że można było w nim usiąść i wyglądać na świat. Ale kobieta patrzyła w wielkie okrągłe zwierciadło ustawione pod kątem na okiennym parapecie i odbijające widok rozciągający się na zewnątrz. Nie odrywając od zwierciadła oczu, szybko, niezmordowanie pracowała igłą. Przerzywała tylko po to, by zmienić igłę na inną, wybraną z długiego szeregu wpiętych w haftowane płótno, z których każda nawleczona była nicią innego koloru. Melanthos przeniosła wzrok na zwierciadło. Nie zobaczyła w nim siebie, zobaczyła odbicie tamtej kobiety z tanej wieży. Zobaczyła morze lilii pod ścianą wieży,

plytką rzeczke,
droge za drzewami rosnacymi nad brzegiem rzeczki, a jeszcze dalej zaorane,
zieleniace sie
pola. Przez zwierciadlo przesuwal sie jakis czlowiek, ale Melanthos nie widziala
go wyraźnie,
bo obraz w drodze z lustra do lustra ulegal zniekształceniu. Zobaczyła srebrny
rozblysk.
Odbicie słońca w zbroi? Hafciarka znieruchomiała z ręką nad płótnem; powoli
odwróciła
głowe w strone otwartego okna.
Zaraz jednak pochylila sie znowu nad robótka, długie włosy zsuneły jej sie z
ramienia,
oslaniajac oczy przed światem.
Melanthos, wstrzymujac oddech jakby w obawie, ze kobieta z lustra moze ja
uslyszec,
siegnęła po nici.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cyan Dag stracil rachube dni i nocy. Jechal na zachod w słońcu i przy księżycu,
w
deszczu i pod wiatr, mijał obsypane śniegnobiałym kwieciem jablonie, ale tego
wszystkiego
nie zauwazal, tak jakby wybiegajac myślami do Skye, opuścił już znany sobie
swiat. Skye
leżalo daleko na zachodzie, nad samym morzem. Jak daleko, nikt nie potrafil mu
powiedziec.
Jedni twierdzili, ze to siedem dni drogi, inni - ze pare tygodni. To zalezy,
mówiono, ale od
czego? Nie bylo wiadomo, moze od kierunku wiatru albo od faz księzyca. Kierujac
sie na
zachodzace słońce, dazyl przed siebie tak metodycznie i nieustępliwie, jak
walczył. Jeśli
słońce zaszło, zanim znalazł dach nad głowa, sypial tam, gdzie noc go zastala.
Jeśli droga na
zachod prowadzila w gorska przelecz waska jak ostrze noza i polożona tak wysoko,
ze czul
we włosach chlod gwiazdnej poświaty, przeprowal sie przez nia z marszu.
Opuszczal
Gloinmere w takim pospiechu, ze niewiele ze soba zabral ubran, pieniedzy i
broni. Czasami
karczmarze rozpoznawali wieze na jego tunice i z szacunku dla jego imienia nie
zadali
zaplaty. Kiedy indziej w zamian za nocleg proszono go o rozmaite przyslugi: o
rozsadzenie
sporu, o obrone, o wstawiennictwo. Spelnial te prosby w imieniu króla. Czasami w
snach
widywal oczy - male, bez zrenic, stare jak kamien. Budzil sie wtedy, zrywal z
poslania i z
mieczem w ruku rozgladal w ciemnościach za cieniem królowej, straszac zwierzeta
albo
innych wędrowców, którzy skwapliwie sie od niego odsuwali. Nawiedzala go w
snach, tak
jakby szukala rycerza, który widzial jej sekretna twarz, by pochwyć go, zanim

wywlecze

tajemnicę na światło dzienne.

Pewnego dnia myślał już, że go dopadła. Zatrzymał się na nocleg w nędznej przydrożnej karczynie. Kawałek dalej droga mknęła w gęstym lesie. Izba była niska,

okopcona, drzwi spaczony, deski podłogi ugięły się pod nogami. Rzadko zwracał uwagę na

takie drobiazgi; od opuszczenia Głoinmere sypiał najczęściej pod gołym niebem.

Zastanowiła

go jednak panująca tu cisza. Tylko jeden człowiek siedział przy palenisku z miską

przypalanej zupy na kolanach. Na widok zbrojnego rycerza odstawił szybko miskę i wstał.

Był przewiązany w pasie brudnym, poplamionym piwem fartuchem.

- Panie rycerzu! - wykrzyknął.

- Zwę się Cyan Dag.

- Szlachetny Cyanie Dagu... - Mężczyzna wytarł dłonie w fartuch i chwycił Cyana za

ramię, tak jakby się obawiał, że dostojny gość może się rozmyślić i wycofać. -

Przeprawiłeś

się przez las, panie?

Cyan pokręcił głową. Dziwił go strach malujący się w nabiegłych krwią oczach tego

człowieka.

- Jadę z Głoinmere na zachód. Ty jesteś tu karczmarzem?

Zwalisty, łysy jak jajo karczmarz puścił Cyana na moment, żeby otrzeć sobie pot z

czoła.

- Ja - odparł posepnie. - A ty, panie, jesteś pierwszym podróżnym, jakiego widzę od

trzech dni. W tym lesie grasuje zły, panie. Nie popuści nikomu i odstrasza ludzi. Napytasz

sobie biedy, jadąc dalej tą drogą.

Cyan milczał, usiłując przebić wzrokiem grube, okopcone owalne szybki kasetonowego okienka wychodzącego na las. Dał za wygraną.

- Zmierzam do Skye - rzekł powoli. - Skye leży na zachodzie, jadę więc na zachód.

Jeśli droga prowadząca na zachód biegnie przez las, to nią podążę.

Karczmarz odetchnął z ulgą.

- Jesteś odważnym człowiekiem, rycerzu. Skoro zamierzasz stawić czoło złemu z

lasu, to dam ci najwygodniejsze łóżko i co tylko mam do jedzenia i picia. Choć niewiele tego,

ugoszczę cię czym chata bogata.

Cyan podszedł do drzwi. Wielkie ciemne drzewa trwały w takim bezruchu, że wyglądały jak namalowane. Droga przecinała łąkę i niknęła w mrokach lasu.

- Jak wygląda ten zły? - zapytał, widząc bladą, piękną twarz i oczy, które robiły się

ciemne jak ten mrok zalegający między drzewami.

- Mówią, że jest potworny. I bezlitosny.

- Ma postać człowieka czy zwierzęcia?

- Człowieka, ale nie do końca.

- Używa magii? Z czarami nie potrafię walczyć.
- Powiadają, że jego siła tkwi w zjadłości. - Karczmarz popatrywał nerwowo na las ponad ramieniem Cyana. - Napada na podróżnych, kradnie im konie i dobytek, mało komu udaje się salwować ucieczką. Czterech uzbrojonych ludzi nie mogło mu dać rady. Ale ty, panie, jesteś przecież rycerzem z Gloinmere.
- I to coś stoi mi na drodze do Skye... Jeśli spróbuje wejść mi w paradę, będę z nim walczył w imię Regisa Auruma.
Wyszedł na podwórko i zdjął z konia juki, bo nawet służący stąd uciekli.
Karczmarz wprowadził wierzchowca do walącej się stajni.
- Dziękuję ci, Cyanie Dagu - powiedział uroczyście. - Walcz ze złym w imieniu króla, jeśli chcesz, ale okoliczny prosty lud zapamięta twoje imię.
O pierwszym brzasku Cyan ruszył w dalszą drogę. Wjechał między drzewa i znalazł się w zielonym, wilgotnym tunelu. Nie śpiewał tu żaden ptak. Cyan prowadził konia powoli, nastawiając ucha i czujnie wypatrując najmniejszego poruszenia pośród gęstwiny. Starał się nie myśleć, co i kiedy na niego wyskoczy ani czy zdąży w porę zareagować. Atak nie miał w sobie nic z subtelności. Sfora psów goniących za jeleniem nie narobiłaby większego hałasu. Cyan ściągnął cugle; koń chciał stanąć dęba, ale opanował się i zatrzymał, drżał jednak na całym ciele. Jeździec był olbrzymi, zwalisty, dwa razy wyższy od normalnego człowieka, miał cztery ręce i dwie głowy. Jedna, porośnięta strzechą białych włosów, skierowana była twarzą do tyłu. Druga patrzyła w przód, miała kształt dzwonu i wyrastała wprost z ramion. Pod czarnym hełmem widać było tylko usta i błyszczące oczy. Z szeroko otwartej gęby i wydobywało się dziwne, przeciągłe zawodzenie przywodzące na myśl ni to jęk wielkiego miecha, ni przenikliwe skrzypienie nienaoliwionego koła u wozu. Jeździec, odziany od stóp do głów na czarno, dosiadał karego konia, który mimo potężnej budowy wydawał się mały i wąły w porównaniu z tym olbrzymem. Jedna para ramion cięła powietrze tam i z powrotem wielkim, obosiecznym mieczem, druga prowadziła konia galopującego wprost na Cyana. Cyan przestał się dziwować temu, co niezwykcyjne, i skupił całą uwagę na tym, co mu znajome. Jeździec miał punkt ciężkości przesunięty ku górze. Niełatwo będzie się mu zatrzymać. Spieszony, stanie się ociążały, mało zwrotny, może nawet zdezorientowany podwójnym widzeniem. Rycerz zebrał w garści cugle i przygotował się do starcia. Kiedy

monstrum było tuż, tuż, uchylił się przed ciosem miecza, zmusił swego wierzchowca do uskoczenia w bok i ciał w przelocie na odlew, mierząc w czarny hełm. Hełm wydał głęboką, dźwięczną nutę, jakby był odlany z żeliwa. Jedna z czworga rąk puściła cugle i uniosła się, by uciszyć to dzwonienie. Na Cyana łypnęły dziko kaprawe oczy twarzy skierowanej w tył. Tej głowy nie chronił hełm. Cyan ruszył koniem w stronę napastnika i zawziętość malującą się na tej twarzy zastąpiło zdziwienie, które przeszło w grymas strachu, kiedy dystans zaczął się zmniejszać. Dziwoląg wrzasnął przeraźliwie, gdy koń pod nim zatrzymał się nagle i zrzucił swoje niesamowite brzemię z nadzwyczaj wysokiego siodła. Monstrum rozdzieliło się na dwóch normalnych ludzi. Ten białowłosy, o dziwnie jasnej skórze i oczach czerwonych jak u szczura, z mieczem w ręku zerwał się zwinnie na nogi. Drugi podźwignął się z trudem i zataczając się, ściągnął sobie z głowy ciężki hełm. Twarz miał starszą niż kompan, bardziej mięsistą i zakrwawioną. Cyan rzucił się z mieczem na młodszego, który próbował dosiąść znowu konia. Głównia zalśniła w promieniach słońca przedzierających się przez korony drzew; oślepiony tym odblaskiem mężczyzna przymrużył oczy, machnął mieczem i poślizgnął się na korzeniu drzewa. Wielki koń, uderzony przez Cyana płazem w zad, odskoczył. Cyan natarł na białowłosego, przyparł go do głazu na skraju drogi i w tym momencie otrzymał cios w głowę. Świat zniknął w zalewie czerwieni. Piekący ból przeorał nadgarstek. Cyan, tracąc równowagę, zamachał rozpaczliwie rękami. Poczul, że ktoś chwyta go za tunikę na piersi i ściąga z konia. Ziemia wybiegła mu na spotkanie, upadł na nią bezwładnie. Usłyszał jeszcze oddalający się tętent kopyt, a potem zapadł w ciemność. Ocknął się po chwili i syknął z bólu. W uszach mu dzwoniło. Leżał na mieczu, przed samymi oczami miał skrzącą się gniewnie czerwoną gałkę wieńczącą rękojeść. Nie całkiem jeszcze przytomny, uświadomił sobie jak przez mgłę, że ktoś siedzi mu na nogach i ściąga buty.

- Wzuj je - rozległ się kobiecy głos. - Swoje zostaw jemu. Jeść już wołają.
- Jemu żadne niepotrzebne - zauważył młodszy z mężczyzn. - Ma paskudnie rozharatany nadgarstek. Wykrwawia się.
- Ja też - burknął starszy. - Ciężką ma rękę, przechera. A wcale na takiego nie wygląda.
- To rycerz z Gloinmere.
- Twarda sztuka.
- Położyłby was obu - zauważyła cierpko kobieta - gdybym nie trafiła go w głowę kamieniem. Ale i tak zdążył obejrzeć sobie wasze gęby i roztrzaskać wyjące

puddło.

- Ino patrzeć, jak wyzionie ducha - mruknął beznamiętnie starszy z mężczyzn. -

Dzikie

zwierzęta mu w tym pomogą. Ale gdzie przyniosło jednego rycerza, tam zjawia się następni,

zwłaszcza jeśli będą go szukali. Lepiej wynosić się z tego lasu. Gdzie jego koń?

- Schwytałem go - powiedział młodszy. - Tam stoi, z naszymi. Niewiele miał, jak na

rycerza.

- Jechał sam z Gloinmere - zaczęła z namysłem kobieta - drogą do Skye...

Ciekawam,

dokąd zmierzał i po co. - Ciężar uniósł się nagle z nóg Cyana; głos kobiety

dobiegał teraz z

pewnej odległości, wtórowało mu dziwne pobrzękiwanie. - Weź jego miecz. To zostaw.

- Da się jeszcze naprawić...

- Doprowadza mnie do szału. Zostaw mu to do towarzystwa.

Cyan chwycił rękojeść swojego miecza, przetoczył się na plecy i zerwał na równe nogi. Pierwszym pchnięciem, które skierował w ziemię, żeby się podeprzeć,

przebił na

wskroś okrągłą drewnianą skrzynkę; metalowe trybiki zajęczały pod głównią i

ucichły.

Kobieta krzyknęła; mężczyźni schylili się pośpiesznie po broń. Cyan strząsnął

skrzynkę z

główni i zakręcił mieczem młynka nad głową, żeby utrzymać ich na dystans.

Jednocześnie

starł się nie tracić z oczu kobiety. Jął się przesuwając w kierunku koni. Naraz

ktos mignął mu

na skraju pola widzenia. Odwrócił się i zobaczył, że galopuje na niego koń;

błysnęło ostrze

miecza. Cyan uchylił się, chwycił nieznajomego za rękę i ściągnął z siodła w

paprocie.

Znieruchomiał na moment, zdumiony. Ale nieznajomy z okrzykiem bojowym, którego

Cyan

nie słyszał od siedmiu lat, rzucił się szczupakiem na białowłosego,

dosiadającego

wierzchowca rycerza. Uniknął cięcia mieczem, zwałił się po drugiej stronie

konia, pociągając

za sobą jeźdźca. Kobieta z przeraźliwym krzykiem gramoliła się już na wielgachne

siodło

olbrzymiego karego ogiera. Starszy z mężczyzn trzymał za uzdę parskającą sroką

klacz i

usiłował trafić stopą w strzemię. Krew zalewała mu twarz. Cyan ruszył w jego

kierunku, ale

po kilku krokach się zatrzymał. Drzewa kołysały mu się przed oczami, w powietrzu

fruwały

roje skrzących się liści. Dysząc ciężko, wsparł się na mieczu. Nieznajomy,

chwyciwszy

młodszeo z mężczyzn jedną ręką za włosy, a drugą za spodnie, postawił go na

nogi. Kobieta

wpadła między nich na ogierze i roztrąciła na boki.

- Wskakuj, ty szczurooki gąsiorze! - krzyknęła do kamrata, uderzając

jednocześnie
nieznajomego rękojeścią sztyletu w głowę. Nieznajomy zatoczył się. Białowłosy wskoczył na konia za kobietą, obłapił ją kurczowo w pasie i pognali za klaczą, która pędziła już drogą do Gloinmere.

- Dziękuję - wysapał Cyan. Przez chwilę nieznajomy ze swoimi złotymi włosami i oczami, z zamazaną, falującą twarzą, wydał mu się nie całkiem ludzki. Jeszcze jedna tajemnica na drodze do Skye? To wrażenie przysło, kiedy tajemnica pomacała się po głowie i splunęła.

- Sępy.

- Przepraszam, że cię w to wciągnąłem.

- Sam się prosiłem.

- Skąd wiedziałeś... - Cyan urwał i zczekał, aż liście sfruną z powrotem na konary

drzew. Dopiero wtedy zobaczył wyraźnie, że nieznajomy ma twarz pociągłą, dumną, ogorzałą, młodą jeszcze, ale poważną nad wiek.

- Skąd wiedziałeś, po czyjej stronie stanąć?

Nieznajomy uśmiechnął się półgębkiem.

- Z całej waszej kompanii ty jeden byłeś bez butów. - Zawiesił głos i zamrugał, tak

jakby i z jego wzrokiem coś się działo. Spoważniał, twarz mu się ściągnęła, można by

pomyśleć, że ujrzał ducha. - Trzy złote wieże na granatowym polu... - powiedział cicho.

- Jestem Cyan Dag, rycerz z Gloinmere. Zmierzam do Skye. Znasz Skye? - Może nieznajomy stamtąd pochodzi? - Muszę odnaleźć pewną wieżę.

Nieznajomy dopadł do niego w dwóch susach. Jedną ręką ścisnął mu rozharatany nadgarstek, drugą złapał miecz, który Cyan, osuwając się z jękiem na kolana, wypuścił. Żółte

oczy płonęły mu furia, kiedy przystawił rycerzowi ostrze do gardła.

- Jestem Thayne Ysse. Jeśli wrócisz do Gloinmere żywy, przypomnij Regisowi Aurumowi, że ród Ysse sprawował niegdyś rządy na Wyspach Północnych, i uprzedź, że

znowu będzie nimi władał dzięki tej wieży i smokowi, który jej strzeże. Jeśli spotkam cię w

Skye, zabiję.

- Tam nie ma żadnego smoka - wykrztusił oszołomiony Cyan. - W tej wieży więziona jest kobieta.

Ale wydawało mu się tylko, że to powiedział. Ujrzał nad sobą błysk krwawego klejnotu osadzonego w rękojeści miecza i wiatr dmący pośród listowia zdmuchnął słońce.

Kiedy się ocknął, było już ciemno. Leżał przy ognisku, a nad nim stała pani ze Skye.

Wciągnął w płuca rozgrzane powietrze i rozkasłał się. Kobieta była niewiarygodnie

wysoka i koścista. Twarz miała skrytą w cieniu, nad jej głową wschodził księżyc.

Uklęka i

wtedy stwierdził, że to, co zrazu wziął za zwinięte na głowie warkocze, jest aurą księżycowej

poświaty. Długie, proste, czarne jak noc włosy spowijały ją niczym opończa.
Mogłaby się w
nie zawiąć, przemknęło mu przez myśl, ukryć sama w sobie, zniknąć.
Blask ognia odbijał się w jej oczach jak w wodzie; nie widział ich koloru, nie
potrafił
odczytać ich wyrazu. Spod włosów wysunęła się w jego stronę długa, szczupła
ręka. Dłoń
otwierała się powoli. Pośrodkowym palcu zsunął się lśniący srebrny pierścień. I
nagle dłoń
zniknęła; poczuł, jak wsuwa mu się pod głowę i unosi ją ostrożnie. Coś
wilgotnego i
szorstkiego niczym nasiąkła deszczem kora drzewa dotknęło jego warg.
Cofnął głowę, choć z pragnienia zaschło mu w ustach.
- Ktoś ty? - wychrypiał. Nadal nie potrafił nic wyczytać z jej oczu.
- Nie lękaj się. - Ten głos był dziwnie znajomy, ale bardziej sercu niż uszom.
Głos
Crii, uświadomił sobie nagle, głęboki i wabiący niczym dźwięk rogu, który
dobiega gdzieś z
leśnych ostępów. - Pij. Pewnieś spragniony. Tak spragniony, że kiedy przełykasz,
czujesz w
gardle smak popiołu, gorycz zeschniętych liści. Tu niedaleko przepływa strumyczek;
woda jest
zimna i słodka...
Wychylił kubek do dna. Kobieta uśmiechnęła się i teraz dopiero zdał sobie
sprawę, co
przejęło go takim strachem, kiedy po raz pierwszy ujrzał tę szlachetną twarz i
malującą się na
niej troskę. Noc zawirowała wokół i wlała mu się w oczy.
- Kim jesteś? - zapytał znowu, czepiając się desperacko tego pytania jak
ostatniej
deski ratunku.
Jeśli udzieliła mu odpowiedzi, on jej nie usłyszał.
Obudził się w skotłowanej pościeli i od razu rozpoznał najlepsze łóżko
karczmarza.
Miecz i juki leżały na pokierszowanej skrzyni na ubrania, rozbita wyjąca
skrzynka na
krzesła. Przy łóżku stały niemiłosiernie sfatygowane buty, które zostawił mu
leśny zbój.
Zelówka jednego ziewała bezgłośnie. Przez okno widział swojego złotego wałacha
jedzącego
na podwórku owies z wiadra. Zza ściany dobiegał przytłumiony pomruk rozmów,
jakieś
okrzyki i śmiechy. Widocznie do karczmy znowu zawitali goście.
Nazajutrz, zanim ruszył w dalszą drogę, zagadnął karczmarza o wypadki
poprzedniej
nocy.
- Nikt cię tu nie odprowadził, panie - odparł karczmarz. - Wjechałeś na podwórko
sam, przewieszony przez konia. Ale ktoś się musiał tobą zająć. Ktoś opatrzył ci
rany i zadbał,
byś tu trafił. Nic nie pamiętasz?
Pamiętał. Jadąc ponownie przez las, rozglądał się za nią, ale bezskutecznie.
Pozostała

tylko w jego wspomnieniach. Jej tajemnicze świetliste oczy, jej uśmiech towarzyszyły mu przez całą długą drogę z Yves do Skye.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Melanthos zobaczyła trzecią wieżę w nocy.

Wieża stała na okolonej drzewami polanie przysadzista, ciemna. Przypominała spłaszczony ul z kamienia. Pozbawione drzwi wejście obramowane trzema masywnymi omszałymi blokami skalnymi prowadziło w nieprzeniknioną czerń. Tuż nad wieżą wisiał

zimny sierp księżyca. Na zalanej jego mleczną poświatą polanie cienie drzew stapały się z

wydłużonym cieniem wieży. Światło odbijały jedynie wykonane z jaśniejszego kamienia,

zaryte w ziemię pionowe bloki ościeżnicy i ułożonego na nich nadproża.

Nici biała i ciemna, i jeszcze ciemniejsza, i bardziej szarawa na zieleń drzew, i

przybrudzona biel na zająca, który zastygł w blasku księżyca i postawiwszy uszy, nasłuchiwał.

Na zająca nasunął się jakiś cień. Czyżby myśliwy? - pomyślała zafascynowana Melanthos. Ale cień sunął dalej, a przestraszony zając czmychnął.

Cień zatrzymał się na granicy cienia wieży; ten, kto go rzucał, stał poza polem widzenia zwierciadła.

Cień zaczął sunąć znowu w kierunku wieży, znikając stopniowo w czerni. Po chwili w

zwierciadle, na samym skraju cienia wieży, pojawiła się postać w opończy z kapturem.

Odwrócona plecami do Melanthos, patrzyła w obramowaną kamieniami noc.

- Nie mam tak czarnej nici - wyszeptała Melanthos. - Nie będzie nic widać.

Postać zbliżyła się do wieży, zatrzymała przed wejściem i powoli uniosła rękę.

Oparłszy się dłonią o kamienną ościeżnicę, pochyliła się w przód, pewnie usiłowała przebić

wzrokiem zalegający w środku mrok.

Obraz zbladł. Melanthos wpatrywała się w zwierciadło rozdygotana, jakby to ona dotykała dłonią zimnego kamienia i wsłuchiwała się w zalegającą w wieży ciszę.

Sięgnęła po czarną nić.

Następnego dnia zobaczyła rycerza wjeżdżającego do Skye.

Skończyła wyszywać wieżę o wschodzie słońca. Odłożyła ją jak zawsze na okienny parapet, a potem zwinęła się w kłębek na zbutwiałej macie i zasnęła. Kiedy się obudziła,

haftu, jak zawsze, nie było już na parapecie. Został zabrany, ale przez kogo, nie miała pojęcia.

Może się wtopił z powrotem w zwierciadło. Stęskniona dziennego światła wyszła z wieży w

jasne popołudnie i ruszyła przed siebie.

Zatrzymała się pośrodku rozległej, kamienistej równiny i obserwowała przez chwilę

stado owiec wędrujące po trawie niczym tuman morskiej mgły. Potem usiadła w cieniu skały.

Z lasu porastającego pasmo gór na skraju równiny wyłonił się rycerz. Był bardzo daleko,

zjeżdżał ostrożnie po stromym stoku, ale odróżniała już barwy: czarna nić na

długie,
powiewające na wietrze włosy i płaszcz, złota na konia, czerwona na połyskujący
w słońcu
klejnot osadzony w rękojeści miecza i szara na oczy.
Zastygła w bezruchu. Obserwowała go, tak jak śledziła obrazy w zwierciadle. I
nagle
przeszedł ją dreszcz. Uświadomiła sobie, że nie patrzy na odbicie w zwierciadle
ani na haft,
lecz na takiego samego jak ona człowieka z krwi i kości wjeżdżającego samotnie
do Skye.
Początek jego podróży, jego historia zostały za nim na nieznaną ziemi; koniec
krył się gdzieś
w Skye. U podnóża góry jeździec skręcił na północ, w stronę trzech łagodnych
wzgórz tak do
siebie podobnych, że można by je wziąć za odbicia jednego. Ci, którzy patrzyli
na te wzgórza
od południa, nazywali je Trzema Siostrami; na północy nadawano im inne nazwy.
Pora nastąpiła zbyt późna, by kontynuować taką samotną podróż, ale rycerz nie mógł
widzieć nadmorskiej wioski skrytej za urwiskiem, za krańcem świata. Patrząc z
takiej
odległości na Kamienny Las, widział pewnie tylko skupisko kamieni o przedziwnych
kształtach, które niegdyś, na długo przed powstaniem wioski, a kto wie czy nawet
nie przed
powstaniem słowa „wioska”, mogły być lasem. Teraz ledwie przypominały gnijące
wciąż w
ziemi pnie. Jedne były białe jak kość, inne mieniły się kolorami, jakby zamiast
w kamień
zamieniły się w muszle.
- Jeśli on jest prawdziwy - wyszeptła Melanthos, wbijając w ziemię smukłe palce
- to
może prawdziwe jest też wszystko, co widuję w zwierciadle.
Postanowiła dogonić rycerza i go zagadnąć. Była boso, lecz on jechał powoli.
Nawet
jeżeli straci go z oczu, będzie się gdzieś musiał zatrzymać na nocleg; wtedy
wypatrzy albo
jego wierzchowca na podwórku przed jakąś gospodą, albo ognisko nad strumieniem.
Może
któryś z dzikich koni przemierzających równinę pozwoli się jej dosiąść. Miała
już ruszać w
śląd za rycerzem, ale w miejscu osadziło ją wołanie:
- Melanthos!
Odwróciła się ze świadomością, że z mnóstwa rzeczy, których nie potrafi wyjaśnić
Anyonowi, uganianie się boso za rycerzem z Gloinmere zajmowałoby niewątpliwie
pierwsze
miejsce. Już był na nią zły. Anyon, pomyślała, to koń przemieniony w człowieka -
dziki i
piękny, czarny jak noc, skory do rozdymania chrap i toczenia dzikim okiem. Jego
ojciec był
właścicielem połowy owiec w okolicy. Anyon strzygł owce, wytwarzał z wełny
przędzę i tkął
z niej koce. Misterne, piękne dzieła jego rąk znane były na całym wybrzeżu.
Potrafił całymi

nocami dobierać barwniki, by uzyskać kolory, które podsunęła mu wyobraźnia. Stał teraz przed Melanthos, odgarniając ufarbowanymi na niebiesko palcami czarne włosy z czoła.

Ciemne oczy mu płonęły. Widok jego niespokojnej urody na tle nieba i falującego morza

zaparł dziewczynie dech w piersiach. Nie rozumiała, co on właściwie widzi w jej wysokiej

chudej sylwetce, w jej potarganych włosach, rozbieganych mrocznych oczach pełnych

błędnymi ogników. Podszedł, wsunął jej we włosy silną dłoń i pocałował tak zachłannie,

jakby od miesięcy się nie widzieli. Potem odsunął się, przypominając sobie chyba, że jest zły.

- Przepadłaś na całą noc. Nic nikomu nie mówiąc...

Wyzwolili się z jego objęć.

- Przecież wiesz, gdzie byłam. Chyba nie myślisz, że w krzakach z synem żaglomistrza.

- Z nim nie. W krzakach... może. Albo wśród morskich fal, albo na szczycie góry...

Nigdy nie wiem, gdzie cię szukać. Chodzisz tam, gdzie nie mogę za tobą podążyć.

- Byłam w wieży. Mogłeś wejść do mnie na górę.

- Wieża mnie nie wpuszcza - burknął. - Chce tylko ciebie. Co tam robisz?

- Haftuję. Mówiłam ci już. Ty tkasz koce, a ja haftuję obrazy. Ty pracujesz czasami

całe noce bez słowa wyjaśnienia. Dlaczego mi czynisz wyrzuty?

- Kiedy pracuję, możesz wchodzić do mojego domu. Ja do ciebie nie mogę. Wieża nikogo nie wpuszcza. I ja pokazuję ci, co zrobiłem. Ty nigdy mi niczego nie pokazałaś.

- Nie mogę - odparła. - To również ci wyjaśniałam. Wiatr unosi moje obrazy.

- A jakże. - Założył ręce na piersi, ona też. Patrzyli na siebie wyzywająco. -

Jaki obraz

uniósł ci tym razem?

- Kolejnej wieży - powiedziała z wahaniem.

Rozrzucił ramiona, parszkając jak koń, który zwęszył podejrzany zapach.

- Wiatr, też mi coś! To magia zabiera twoje obrazy, magia zwabia cię za każdym razem do tej wieży.

Wzruszyła oszołomiona ramionami. Czowała magię w wietrze nawet tutaj, pośród starożytnej woni kamieni, ostrego zapachu morskiej soli.

- Niech ci będzie magia. To taka sama sztuka jak tkanie. Co...

- Nigdy nie zadajesz sobie pytania, kto z czarował wieżę w ten sposób, że nikt prócz

ciebie nie może do niej wejść. Nie pytasz, skąd się biorą obrazy, które widzisz w zwierciadle.

Ani czy to dobra, czy zła magia. Robisz po prostu, co ona ci każe, i zależy ci na tym bardziej

niż na mnie. Dlaczego?

Milczała, myśląc o rycerzu, który wyjechał ze zwierciadła na równinę.

- To zwierciadło nie jest złe - powiedziała powoli. - Jest okiem, które obserwuje, co

dzieje się w Skye. Czasami pozwala mi zerknąć na to, co widzi. A ja haftuję, co zobaczyłam.

Potem kładę gotowy haft na parapecie okna i on znika. Pewnie wiatr go gdzieś unosi.

- Ale co cię opętało? Co cię tak zniewala?

- Te obrazy są piękne - odparła bezradnie. - Są jak fragmenty opowieści, które muszę poskładać w całość, by poznać jej początek i koniec. A dlaczego ty spędzasz całe dnie i tygodnie na tkaniu?

- Żeby móc zobaczyć i dotknąć tego, co rodzi się w mojej wyobraźni. Ale obraz powstający w mojej głowie jest mój, nie podsuwa mi go żadne zwierciadło...

- To nie tak... - Wzięła go za rękę. - Chodź ze mną. Sam zobaczysz.

- Teraz?

- Teraz.

Oczy mu zogromniały, na szczęście zadrgał mięsień. Wiedziała, czego Anyon się boi. Odczuwała ten sam strach, wchodząc po raz pierwszy do starej wieży w kamiennym lesie. W

gęstości zalegających tam cieni, w prastarych kamieniach, które zdawały się opowiadać o

czasach, kiedy nie istniały jeszcze słowa, kiedy zieleniły się drzewa na pobliskim urwisku,

było coś niepokojącego. Spękane spiralne schody odbiegały od życia, prowadziły ku

zatraceni i kresom, do miejsc gdzie czas przestaje płynąć i już nic nigdy się nie wydarzy.

Zwalczyła jednak w sobie ów lęk. Wieża snuła po prostu te nieszkodliwe jak pajęczyna

zakłęcia, by bronić się przed intruzami. A strzegła dziwnych, tajemniczych obrazów, które

przewijały się przez zwierciadło umieszczone w jej sekretnej komnacie.

- Wejść tam z tobą. Naprawdę nie ma się czego lękać.

Parsknął i przestąpił z nogi na nogę. Ale wytrzymał jej spojrzenie.

- Chodźmy - powiedział krótko.

Słońce zaczynało się już chować za długie pasmo skłębionej mgły nadciągające ku lądowi. Z urwistego skraju równiny widać było położoną w dole wioskę, labirynt brukowanych kocimi łbami uliczek i kamiennych domów nad brzegiem morza. Port miał

kształt półksiężyca. Łodzie wpływały do niego przez wąski kanał w półkolistym kamiennym

falochronie. Wielu mieszkańców wioski trudniło się rybołówstwem. Inni hodowali owce i

kozy na dzikiej równinie, na której nie było nic prócz trawy i kamieni. Jeszcze inni, jak

piekarka, która szła teraz w stronę portu, zaspokajali codzienne potrzeby ludzi z wioski.

Melanthos zatrzymała się i spojrzała w dół. Droga, na której stali, zaczynała się w

porcie, pięła meandrami na szczyt urwiska, biegła jego krawędzią i znikała w kamiennym

lesie.

- Tam idzie moja matka. - Melanthos ściągnęła lekko brwi i patrzyła na wysoką, postawną kobietę. Czasami wyobrażała sobie, że matka była kiedyś foką, która po zrzuceniu

foczej skóry podpłynęła za blisko ludzi i została pojmana. Kształtem przypominała fokę, niekiedy mówiła tak, jakby szczekała, i potrafiła robić bardzo dziwne rzeczy. - Idzie znowu do tawerny przepłukać gardło. Ona też będzie na mnie zła. - I Gentian. Miałam wstać przed świtem, by pomóc przy porannym wypieku. Anyon miał taką minę, jakby wołał pójść za piekarką do tawerny, zamiast z jej nieodgadnioną córką do wieży. Melanthos jeszcze bardziej ściągnęła brwi, przebierała w palcach długie pasmo włosów.

- Nie zawsze wypiekała chleb. Dawno temu parała się magią.
- Co takiego?
- Naprawdę. Kiedy Gentian i ja byliśmy małe. Jest czarodziejką. Ale teraz wypieka i sprzedaje chleb. Czasami odnoszę wrażenie, że jest stara jak kamienie na tym urwisku.

- Jest twoją matką - zachnął się Anyon. - W swoim czasie była młoda, jak ty teraz.
- Kamienie również - zauważyła Melanthos. Szarpnęła mocno pasmo włosów, którym się bawiła, i ruszyła dalej drogą prowadzącą do wieży. - Kiedyś myślałam, że ją rozumiem.

Mgła pędzona przez wiatr ku lądowi połykała niebo i wodę, zaganiała do portu ostatnie rybackie łodzie. Nad równiną, pod odwróconym sierpem księżyca wisiała samotna gwiazda. Melanthos była ciekawa, gdzie jest teraz rycerz, czy zatrzymał się na nocleg w jakiejś gospodzie, czy może podąża niezmordowanie ku tajemniczemu celowi. Idący obok Anyon milczał. Najwyraźniej niepokoił się tym, co może zastać w wieży. I nagle ujrzała jego oczami kamienny las; nie widział w nim żywych niegdyś drzew, lecz kamienie ustawione tutaj w zamierzchłej przeszłości w jakimś nieodgadnionym i nieistotnym już celu. Wieżę też widział inaczej. Rysowała mu się w zapadającym zmierzchu czarna, rozpadająca się ze starości. Dziwnie przypominała wieżę, którą wyhaftowała poprzedniej nocy najczarniejszą ze swych nici.

Zawahał się przed wejściem, potem zrobił niepewny krok, ale go powstrzymała.

- Wejść pierwsza. Patrz tylko na mnie, nie rozglądaj się na boki.
Kiwnął głową, nie spoglądając jej w oczy. Przekroczyła próg wieży i wstąpiła na schody.

- Widzisz? - zawołała z góry, odpaliwszy kaganek od oliwnej lampki, którą zostawiła płonąca na podłodze. - Nic trudnego. Wchodzisz zwyczajnie po schodach i nie zwracasz uwagi na nic, co chce cię do tego zniechęcić. - Nie usłyszała odpowiedzi. Odwróciła się. Była w izbie sama.

Naraz z dołu dobiegło wołanie. W głosie Anyona pobrzmiwał strach. Ale

zwierciadło
już do niej przemawiało, wypełniając się światłem, kolorami, ruchem; zaczynał się kolejny fragment opowieści.

- Za chwileczkę! - odrzyknęła Anyonowi i usiadła pośród nici.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cyan Dag podążał przez Skye z biegiem rzeki. O pierwszym brzasku natknął się na pobitych. Rzeka robiła się coraz płytsza, aż w końcu zupełnie zanikła, rozpluwając się

srebrzystymi strumyczkami po rozległych moczarach. Kiedy zsiadał z konia, spłoszone

bagienne ptaki wzbiły się z trzepotem skrzydeł w powietrze, krzykiem witając wschodzące

słońce. Skłębiona ława granatowych chmur na widnokregu świadczyła, że niedawno przeszła

tędy burza. Czuł ją jeszcze w powietrzu, liście karłowatych, obsypanych kwieciami zarośli

spływały wilgocią, wiatr od morza przynosił zapach deszczu. Woń uroczych malutkich

kwiatków maskowała przez chwilę odór śmierci.

Naliczył sześciu ludzi i dwa wierzchowce. Nawet konie były opancerzone. Czterej zabici mieli na sobie czarne skórzane kaftany oblamowane srebrem, dwaj -

kolczugi, a na

nich jedwabne tuniki z wyhaftowanymi na piersi emblematami. Cyan pierwszy raz widział

takie herby: czarne róże, a może czarne słońca. Nie pochodzili z Gloinmere. Ze Skye,

zważywszy na wystawność stroju, też raczej nie. Może przybyli z jakiejś nieznanej

zamorskiej krainy, ale dlaczego i z kim stoczyli walkę na tych odludnych moczarach? W

pierwszych promieniach słońca skrzyły się wysadzane klejnotami łańcuchy na ich szyjach,

klejnoty w uszach. Z twarzy, choć zakrwawionych i umazanych błotem, biła władczość.

Patrzyli nieruchomym wzrokiem w słońce, na zlatujące się już roje much, na broń rozrzuconą

po poboju i niczego nie wyjaśniali. Ale Cyan wsłuchiwał się w ich milczenie, jakby

miał nadzieję, że stojąc w bezruchu i wstrzymując oddech usłyszy, jakim językiem teraz

przemawiają.

W górze krzyknął jastrząb i Cyan drgnął. Kątem oka dostrzegł wśród pobitych jakieś

poruszenie i nie była to wydymająca się na wietrze tkanina ani kosmyk włosów.

Błysnął

pierścień; dłoń popęzła jak pająk po ziemi. Cyanowi ciarki przeszły po grzbiecie. Rycerz

leżał twarzą w czarnej, krzepnącej, podziobanej przez deszcz kałuży własnej krwi. Obrócił

nico głowę. Włosy miał pozlepiane krwią, czoło strzaskane.

Cyan znieruchomiał, czekając, aż ten człowiek pojmie wreszcie, że już nie żyje.

Ranny otworzył oko, spojrzał na niego. Zdobnym w pierścień palcem skinął przywołująco.

Cyan podszedł, omijając trupy, i przyklęknął. Pochylił się nisko, by nie uronić ani słowa. Ranny rycerz był zdumiewająco młody, szczękę miał gładką jak dziecko, oko złote i

nieulękłe, zbyt młode, by uwierzyć w to, co nadchodzi. Odziany był w czerwono-żółtą

poszarpaną tunikę, Cyanowi tuż przy twarzy furkotały na wietrze jej strzępy.

- Imię - usłyszał i przedstawił się.

Rycerz zamknął oko, ale otworzył znowu, kiedy Cyan myślał już, że ranny skonał.

Umierający dotknął palcem ramienia Cyana. Słowa zwiewne niczym połyskująca w słońcu,

rozpięta między liśćmi pajęczyna splatały się w spójne zdania.

- Kim jesteś? - zapytał Cyan, wysłuchawszy go. Odpowiedział mu wiatr;

odpowiedział

ptak. Usłyszał wdech, potem drugi. I uświadomił sobie, że to szum morza. Młody rycerz

wciąż miał otwarte oko. Cyan zamknął je delikatnie i wstał. Był zeszywniały,

jakby klęczał

tu od wielu godzin.

Zaciskając mocno szczęki, spełnił prośbę. Przekręcił martwego na plecy, wsunął dłoń

pod koleczkę i wymacał na tężejącej piersi medalion.

Był to zwyczajny srebrny, mieszczący się w dłoni krążek zawieszony na grubym łańcuchu. Pomimo że lśnił jak lustro, nie odbijał niczego, nawet jego twarzy. Co

to było, co

symbolizowało, do czego służyło, nie potrafił dociec. Magia, orzekł w końcu. Coś niepojętego. Zawiesił sobie jednak srebrne koło na szyi i wsunął pod koszulę.

Pewnie

znaczyło wiele dla młodzieńca. Teraz obejrzał tkaninę, w którą krążek był owinięty.

Krew odpłynęła mu z twarzy, zimny dreszcz przebiegł po plecach. Było na niej wszystko - sześciu martwych mężczyzn i dwa padłe opancerzone konie - wyhaftowane kolorowymi nićmi. Rozpoznawał żółte włosy i jedwab, złote oko, tylko tło się nie zgadzało.

Zamiast na kwitnących moczarach, leżeli na brązowej równinie. W oddali wznosiła się wieża.

Oplatający ją smok szeroko rozwartym ślepiem o podłużnej pionowej źrenicy przypatrywał

się pobojuwisku.

Thayne Ysse wspominał coś o smoku. I o złocie. Wstrząśnięty Cyan wodził wzrokiem po hafcie, szukając wyjaśnienia. Na próżno. Może ludzi tych uśmiercił smok. Ale

nic tu nie

było spalone, a smok wyglądał raczej na zaciekawionego niż rozdrażnionego. Może ci ludzie

spotkali się przypadkiem i pozabijali nawzajem, walcząc o złoto, którego jeszcze nie zdobyli.

Ale skąd ich ciała wzięły się na moczarach?

Zaintrygowany osobiwą ciszą, uniósł głowę. Ustało brzęczenie much za jego plecami.

Odwrócił się z duszą na ramieniu i ze zdumieniem stwierdził, że trupy zniknęły.

Nie zostało
po nich nic, tylko wyhaftowana tkanina i srebrny krążek pod koszulą.
Wzdrygnął się na myśl o mocy, która potrafi zmienić śmierć w barwne nici. Stał
tam
jeszcze czas jakiś, dygocząc na zimnym wietrze od morza, ale nic więcej się nie
wydarzyło,
nic się nie wyjaśniło. Puścił tkaninę na wiatr, nie patrzył jednak, czy i ona
zniknie. Medalion
zatrzymał jako znak od ducha, który objawił mu się w Skye. Ale znak czego?
Cyan dosiadł w końcu konia i ruszył przez moczary w kierunku morza.

Wieża wznosił się na samym skraju urwiska opadającego niemal pionowo ku
morskiemu brzegowi. Zdawała się wyrastać wprost z litej skały; jej ściany
przechodziły
płynnie w mur, który otaczał zamek. Jadący wybrzeżem Cyan ujrzał ją tuż przed
zmierzchem.
Sam zamek popadał w ruinę i wyglądał niegroźnie. Na łące walały się kamienie,
które
wykruszyły się z murów, jedno skrzydło wrót było otwarte i zwisało smętnie na
przerdzewiałych zawiasach. Na wieży powiewała chorągiew Skye z trzema białymi
gołębiami
w locie. Z kominów walił dym.
W wieżycy przy bramie starzec o przeredzonych siwych włosach i szpakowatym
zaroście lustrował pola przez dziwną rurę. Cyan zawołał do niego. Starzec
oderwał oko od
rury i wyjrzał z wieżyczki.
Zmierzył przybysza od stóp do głów błękitnymi oczami.
- Wyglądasz, jakbyś pobłądził, ale nie potrafisz powiedzieć, skąd przybywasz.
- Z Gloinmere. Zwę się Cyan Dag.
Gęste, krzaczaste, przypominające gąsienice brwi starca powędrowały w górę.
- Cyan Dag jest rycerzem na dworze Regisa Auruma.
- Zgadza się.
- A co porabiasz w Skye u moich bram? Długą drogę przebyłeś.
Cyan kiwnął głową. Był bardzo zmęczony.
- Bardzo długą - przyznał. - Myślisz, że pan na tym zamku udzieli w imieniu
króla
schronienia rycerzowi z Gloinmere? Od opuszczenia Yves częściej sypiałem na
ziemi niż w
łożu.
- Dlaczego... - Starzec odpędził to słowo machnięciem ręki. - Zaczekaj. - Zdjął
rurę z
podpórki, wsadził ją sobie pod pachę i zniknął. Pojawił się znowu w łukowatych
drzwiach u
dołu wieżyczki. Miał na sobie długą czarną szatę oblamowaną złotogłowiem,
poplamioną pod
brodą winem i resztkami dawnych posiłków. Poklepał po szyi konia Cyana i wziął
go
delikatnie za uzdę.
- Jestem Yerlain, władca Skye. - Wprowadził konia z oniemiałym Cyanem na
grzbiecie przez bramę. - Jeśli przybywasz z Gloinmere, to widziałeś pewnie ślub
mojej
Gwynne. Nie chciała, żebym z nią jechał; powiedziała, że za stary jestem na

przeprawę przez
góry. Widziałeś ślub?

Cyan przymknął powieki, czuł pod nimi piasek.

- Widziałem.

- Musiałeś wyruszyć z Gloinmere niedługo potem. Nikt z mojej służby ani z rodziny

jeszcze nie wrócił. Czy Gwynne jest szczęśliwa? Myślisz, że król ją po kocha?

- Już jest w niej bez pamięci zakochany.

Starzec odetchnął głęboko.

- Dziękuję ci. - Zatrzymał się i podał Cyanowi rurę, którą niósł pod pachą. -

Zechcesz

to potrzymać?

Rura była nadspodziewanie ciężka i zaślepiona z obu końców szklanymi krawkami.

Cyan oparł ją ostrożnie o łęk siodła.

- Co to jest? - spytał, kiedy władca Skye ruszył dalej, pociągając za sobą konia.

- Luneta. Wypatruję smoków. Czasami się tu kręcą, ale mnie nigdy nie udaje się ich

zobaczyć... Dlaczego opuściłeś Gloinmere i przybyłeś do Skye? Wyglądasz tak, jakbyś

wyjeżdżał stamtąd w wielkim pośpiechu, bez eskorty, bez zbroi, tylko z mieczem.

No i te

buty...

- Nie są moje. Moje skradziono.

Yerlain patrzył na niego z powątpiewaniem. Oczy miał błękitne jak jego córka.

- Nikt nie ważyłby się ukraść butów takiemu groźnemu rycerzowi.

- Nie wiedzieli, kim jestem.

- Aha. A jak to się stało, że dałeś je sobie ukraść?

- Ogłuszyli mnie kamieniem. - Cyan westchnął. - To nie jest przyjemna historia.

Starzec parsknął ubawiony, ale zaraz przeproszającym gestem poklepał konia po szyi.

- W imieniu Regisa Auruma, który przez to małżeństwo został moim synem, pozwól, że sprezentuję ci parę rzeczy, które przydadzą ci się w drodze... No właśnie, dokąd?

Cyan zawahał się. Nie wiedział, kim jest kobieta w wieży, nie znał też kobiety, która

wysłała go w tę niezwykłą podróż.

- Szukam kobiety w wieży - powiedział, obserwując uważnie twarz Yerlaina.

Krzaczaste brwi starca znowu się uniosły.

- Przejechałeś taki szmat drogi z Gloinmere do Skye, żeby szukać kobiety w wieży?

- Grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Przysłano mnie, żebym ją ratował.

Powiedziano mi, że znajdę ją w Skye, ale nie powiedziano gdzie... Zaraz, u ciebie jest wieża.

- Jest, ale nie trzymam w niej żadnych kobiet - odparł rzeczowo Yerlain. -

Wchodzę

na nią czasami, żeby wypatrywać smoków z dachu. Kim jest ta kobieta?

- To dama z Yves więziona w Skye - powiedział Cyan. - Regisa - ciągnął,

zmyślając

na poczekaniu - tak poruszył jej los, że wysłał mnie tu natychmiast. Wyruszyłem

więc bez

towarzyszy. Sam byłem tak wzburzony, że zapomniałem zabrać paru rzeczy.

- Ja nigdy nie podróżuję bez małej wioski - powiedział Yerlain. - Słudzy, strażnicy, garnki, psy, zapasowe konie, namioty na wypadek gdyby przyszło nocować w polu... Przywołał stajennego i kazał mu się zająć koniem. Sługa w liberii zbiegł po schodach i odebrał od Cyana rurę na smoki. Przytulił ją do piersi jak dziecko.

- To jest Cyan Dag z dworu Regisa Auruma - poinformował go Yerlain - rycerz wielkiej sławy. Traktuj go z należnym szacunkiem.

- Tak, panie.

- Znajdź mu odzienie, parę butów i...

- Proszę o kąpiel - wtrącił Cyan.

- Tak, panie.

- Przyrowadź go potem do sali. Będzie jadł ze mną. Opowiesz mi o ślubie i weselu - zwrócił się do Cyana. - O ucztach, uroczystościach, turniejach. I każ zamontować lunetę na stojaku na dachu wieży - rzucił znowu do sługi. - Po wieczery popatrzymy na niebo. Dziś wieczorem mogą latać smoki.

Sługa skłonił się. Cyan zamrugał, przypominając sobie smoka, o którym mówił Thayne Ysse. Ale tam chodziło o inną bajkę, doszedł do wniosku, o inną wieżę. Po uwolnieniu Gwynne ze Skye z więzienia na wieży poszuka Thayne'a. Może krewki władca Ysse jest już w Skye, ale nawet on będzie miał pewnie trudności z przemierzeniem równiny wyhaftowanej barwną nicią.

Wykapany, odziany w czystą miękką wełnę i płótno, w porządne, mocne buty, ze złotymi znowu wieżami na opończy, był gotów zasiąść z Yerlainem ze Skye do wieczery.

Wokół świecącego pustkami stołu przykrytego błękitnym obrusem włóczyły się psy, dzieci jadły siedząc na posadzce, zakochani karmili się nawzajem po kątach, muzycy - harfista, flecista i lutniarz - zagryzali między kolejnymi pieśniami.

- Wszyscy pojechali na ślub - wyjaśnił Yerlain, poklepując krzesło obok siebie na znak, że Cyan ma na nim usiąść. - A wrócą już bez mojej Gwynne... - Zamyślił się na chwilę, a potem dodał weselszym już tonem: - Ale moja minstrelka wróci. Jej też bardzo mi brakuje.

Widziałeś ją tam?

Cyan wspomniął pomarszczoną twarz o tajemniczych oczach.

- Taka wysoka z długimi siwymi włosami i dziwną harfą? Trudno jej było nie zauważyć.

- Ta harfa jest bardzo stara. Podobno wykonano ją z kości łabędzia i smoka. Minstrelka potrafi na niej odtwarzać zapomniane od stuleci pieśni, które pamięta tylko wiatr.

Zna śpiew księżycy. Słyszałeś, jak gra?

- Tak.

- Może ona wiedziałaby coś o tej wieży... Ale nie ma jej tu teraz. Naturalnie, że jej nie ma, pomyślał Cyan. Znika zawsze, kiedy się jej szuka, tak jak te

twoje smoki.

- Twoja córka jest bardzo piękna - rzekł, zmieniając na wszelki wypadek temat. -
Oczarowała dwór w Gloinmere swoją gracją i manierami.

Yerlain klasnął z zachwytem w dłoń.

- Jej matka też taka była - powiedział, kiwając na służących, żeby dołożyli
łososia i

jagnięcy udziec na i tak już przepełniony talerz Cyana. - Znała wszystkich z
imienia, nawet

chłopca z obory, który oporządzał krowy.

- Wszystko potrafi. Poluje, zna się na poezji, tańczy...

- Uwielbia tańczyć. - Yerlain, uśmiechając się promiennie, wydułabł sobie
spomiędzy

zębów rybią ość. - Moja minstrelka ją nauczyła. Powiedziała, że jesteśmy daleko
od

Gloinmere, a tańce w wędrowce z dworu na dwór trochę się zmieniają, więc tam
tańczy się

inaczej niż tutaj.

Cyan jadł rybę, która mu nie smakowała, i patrzył na cienie pojawiające się i
znikające

z obrusa w migotliwym blasku świec.

- Skąd twoja minstrelka zna dworskie tańce Yves?

- Kto wie, skąd minstrele czerpią swoją wiedzę. Czy król będzie dobry dla mojej
córki?

Cyan spojrzał w otoczone zmarszczkami błękitne oczy, w których tliła się
nadzieja na

ujrzenie smoka.

- A ona będzie dobra dla niego? - spytał cicho. - Oddał jej serce.

Yerlain odetchnął głęboko.

- No to mogę bez niej żyć. Dziękuję ci. Opowiedz mi teraz wszystko, co
zapamiętałeś

ze ślubu i z wesela. Każdy najdrobniejszy szczegół.

Cyan też westchnął, ale bezgłośnie, i zaczął opowiadać, starając się w jak
najjaśniejszych barwach odmalować słowami to koszmarne wesele.

Po wieczerzy Yerlain zabrał go na szczyt wieży wznoszącej się nad urwiskiem.

Słudzy

wnieśli tam za nimi pochodnie, wino, suszone owoce i ciasta, a potem zostawili
samy na

granicę dwóch ogromnych równin ciemności. Jedna śpiewała głosem wiatru, druga
głosem

drzew. Yerlain skierował lunetę na skupisko gwiazd gęste niczym rój pszczoł
kłębiący się

wokół słabnącej królowej i wyjaśnił, że latające nocą smoki najlepiej widać na
tle księżyca.

Patrząc przez rurę w niebo, Cyan widział mgławice wyostające się w gwiazdy i
gwiazdy

rozkwitające w niesamowite ogniska płomieni. Widział podziobane kraterami
zagłębienia w

powierzchni księżyca, lecz ani jednego smoka. Yerlain przysięgał, że wypatrzył
gorejące

ślepie przemykające na tle księżycowej tarczy. Cyan skierował lunetę na ląd.

Między

tarmoszonymi przez wiatr drzewami zobaczył gwiazdy, które płonęły i poruszały

się, ale nie
były to latające świetliki.
- Masz towarzystwo - powiedział.
Władca Skye spojrział przez rurę i zawołał:
- Wracają! Mój dwór wraca z Gloinmere. - Wychylił się niebezpiecznie przez
balustradę i krzyknął coś do sług na dziedzińcu. Potem wyrwał pochodnię z
uchwyty i
spiralnymi schodami zbiegł z wieży. Cyan patrzył z uśmiechem, jak pochodnia,
kołysząc się,
przemyka przez dziedziniec i zatrzymuje przed wrotami.
Chciał już ruszyć w kierunku schodów, ale w tym momencie oko rury na smoki
błysnęło nagle roztopionym złotem. Podszedł do niej z otwartymi ze zdumienia
ustami.
Soczewka znowu rozbłysła, tym razem bardziej przytłumionymi ogniami. Z zapartym
tchem,
nie śmiać dotknąć rury, spojrział przez nią.
Zobaczył smoka.
Rozległa równinę, na której leżała bestia, otaczały łyse wzgórza. Ziemia była
tam tak
spalona, że zdawała się łuszczyć płatkami złota. Strzeżona przez smoka wieża z
płomiennoczerwonego kamienia nie miała okien ani drzwi. Smok otworzył ślepią.
Jedno
płonęło złotem; drugie, popatrujące z cienia, opalizowało błękitem, zielenią i
czernią. Łuk
jednego złożonego skrzydła wznosił się do połowy wysokości wieży.
Cyan patrzył oniemiały. Mógłby nurkować w tych płomiennych ślepiach, każdy ze
szponów bestii był dłuższy od niego. Było to śmiertelnie niebezpieczne,
wspaniałe monstrum,
którym Thayne Ysse chciał poszczuć Regisa Auruma. Wyglądało przerażająco.
Mogłoby
uśmiercić Thayne'a jednym machnięciem łapy. Cyan słyszał legendy o magii
uprawianej na
Wyspach Północnych, ale nie dawał im wiary. Nie było niczego magicznego w
desperackim,
z góry skazanym na niepowodzenie oporze, jaki stawili wyspiarze Regisowi
Aurumowi.
Thayne, zżerany przez żądzę odwetu i ulegający złudzeniom, mógł co najwyżej
powiększyć
grono trupów zaścielających spaloną równinę. Gdyby się jednak okazało, że w
ciągu tych
siedmiu lat, jakie upłynęły od bitwy, nauczył się ujarzmić magiczne moce i
wykorzystywać
je do swoich celów, to ten smok mógłby obrócić Yves w perzynę.
Nagle Cyan usłyszał za sobą czyjś głos. Odwrócił się błyskawicznie i odruchowo
sięgnął do miecza, zapominając, że zostawił go na dole. Minstrelka ze Skye
zaczekała
cierpliwie, aż rycerz ochłonie.
- Yerlain powiedział, że tu cię znajdzie. Jesteś człowiekiem odważnym, Cyanie
Dagu, i
wiernym sługą swego króla. - Twarz miała skrytą w cieniu, ale siwe włosy
jaśniały jak
księżyc za jej plecami. - Przykro mi, że nie mogę ci pomóc. Muszę wracać

niebawem do

Gloinnere. Królowa mnie o to prosiła. Nie ufa mi. Woli mieć mnie na oku.

- Czy... - Cyan urwał i przełknął z trudem. Nadal był pod wrażeniem swojej wizji. -

Widziałas go?

- Kogo?

- Smoka Thayne'a Ysse.

Nie odzywała się przez długą chwilę; czuł na sobie jej przenikliwe spojrzenie.

- Jakiego smoka?

- Tego, który strzeże wieży pełnej skarbów. Thayne chce go...

Pokręciła niecierpliwie głową.

- Nie tej wieży szukasz, Cynie.

- Ale...

- Musisz myśleć o pani ze Skye. Nie masz czasu bawić się w polowanie na smoka.

- Ani mi w głowie na niego polować. To Thayne Ysse chce...

- Zostawmy Thayne'a Ysse w spokoju. Wiem, że miałeś trudną podróż i nie wiesz, dokąd się teraz skierować. Dlatego przyszedłem tu w tajemnicy. Muszę zaraz wracać na dół.

Yerlain będzie mnie szukał.

- Proszę...

- Wysłuchaj mnie. Nie powiedziałeś o niczym Yerlainowi. To widać, bo on się wciąż

uśmiecha, a jest podszyty tchórzem. Musisz stąd jak najszybciej odejść.

Najlepiej o świcie.

Skierujesz się na południe...

- Właśnie stamtąd przyjechałem.

- Na południe - powtórzyła z naciskiem. - Jedź, aż zobaczysz na zachodzie trzy wzgórza tak do siebie podobne, jakby były odbiciami jednego. Nazywają je Trzema Siostrami. Skręcisz wtedy na zachód i wjedziesz między nie. Mogą znajdować się dalej, niż ci

się będzie wydawało. W Skye trudno czasami ocenić odległość. Ale znajdziesz to, czego

szukasz.

- Co...

- Wieże. Bądź ostrożny. Wieża może być niebezpieczna i dla ciebie, i dla Gwynne ze

Skye. Muszę już iść. Nie potrafię ci powiedzieć, jak masz ocalić panią ze Skye.

Wiem tylko,

że istnieje sposób. Powodzenia, Cynie Dagu.

Poczuł na policzku jej chłodną silną dłoń. Potem minstrelka zabrała pochodnie i zostawiła go w ciemnościach.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Thayne Ysse, podążając z wiatrem na zachód, dotarł do urwiska, do krawędzi świata i

zobaczył słońce dopalające się niczym płomyk świecy w morzu.

Fale w Skye szumiały inaczej. Walały z hukiem o długą, bezkresną granicę lądu, rozбивały się o wysokie klify i lizały szerokie łąchy białego piasku dłuższe od niejednej z

Wysp Północnych. Zapadał zmierzch. W wiosce wciśniętej w załom urwiska zapalały się

pierwsze światełka. Thayne postanowił, że poszuka tam noclegu. Na razie jednak stał dalej na

skraju klifu i wpatrzony we wzburzone morze zachodził w głowę, gdzie też w Skye ukrywają się smoki. Przemierzając tę krainę, daremnie starał się wyłowić z wiatru smród siarki, swąd spalonej ziemi i kości, zapach złota. Craiche powiedział, że słowa mogą się stawać ciałem. Jeśli Thayne wypowie słowo „smok”, może stanie się ono smokiem. Wyszepiał to słowo powoli i wiatr porwał mu je z warg. Nic się nie stało. Skrzywił usta w grymasie. Co by to był za świat, gdyby słowa ożywały? Zniechęcony ruszył w kierunku odległych światełek. Słowa są czymś, czego nie skąpi się nawet obcym, myślał. Jeśli jest w Skye pełna złota wieża, której nikomu nie udało się jeszcze splądrować, to na pewno krąży o niej wiele legend. Można się ich nasłuchać za darmo, zwłaszcza w tawernie. Ale w tawernie, do której wszedł, podróżnych było niewiele i rozmawiali o rybach, o rodzinach, o pogodzie, o wszystkim, tylko nie o smokach. Zawrócił znowu w głąb lądu, bo obrazek w księdze ojca precyzyjnie określał okolicę - spalona przez smoka równina otoczona łysymi wzgórzami. I legenda, i prawda, powiedziała minstrelka; jego zadaniem jest oddzielenie jednego od drugiego. Ale gdzie szukać takiej spalonej ziemi, takiego niebezpieczeństwa i magii w tej zielonej, zamglonej, spokojnej krainie, nie miał pojęcia. Dwa dni potem natrafił na ślad pozostawiony przez rycerza z Gloinmere, który też przemierzał Skye.

- Jesteś, panie, drugim człowiekiem spoza Skye, jaki w ciągu trzech dni się tu zatrzymał - powiedziała karczmarka, stawiając przed nim kufel piwa i gulasz z jagnięcia. Miała krzywy uśmiech, chytre niebieskie oczy i rozwichrzone włosy koloru słomy, przywodzące na myśl wronie gniazdo. Zabrał się do jedzenia, lecz ona nie odchodziła. - Rzadko się zdarza, żeby rycerz z Yves zapuścił się tak daleko na zachód. I nie pamiętam, żeby zawitał tu kiedy ktoś z Wysp Północnych. Thayne drgnął. Miękki kawałek jagnięciny, który właśnie miał w ustach, stracił nagle smak.

- Kim był ten rycerz z Yves?

- Z początku mu nie uwierzyłam. Każdy może przypasać sobie miecz i twierdzić, że jest rycerzem. Ale on przemawiał do mnie dwornie i miał wieże na tunice. Thayne pociągnął łyk piwa.

- To jeden z najwaleczniejszych i najszlachetniejszych rycerzy z Gloinmere.

- Nie myślałam, że rycerz może wyglądać jak... no, jak oberwaniec. Musiałam mu załatać but.

- Dokąd zmierzał?

- Szukał jakiejś wieży... - Spojrzała mu bystro w oczy. - A co? Znasz go, panie?

- Spotkaliśmy się. W Yves. - Thayne wyłowił z gulaszu kawałek pora i dodał: -

Opędzał się od jakichś łotrzyków, kiedy nadjechałem. Zdążyli mu już ściągnąć buty.

- To wyjaśnia sprawę tych butów. I zatrzymałeś się, żeby mu pomóc?

- Zrobiłem, co się dało - odparł Thayne. - Był ranny. Nie sądziłem, że zdoła dotrzeć do

Skye.

- Dotarł. Ale nie wiem, dokąd się stąd skierował ani gdzie zamierzał szukać tej swojej

wieży. Mnie to wyglądało na legendę. Na bajkę. - Zaczęła wycierać rąbkiem fartucha

rozchlapanę na stole piwo. Robiła to na tyle wolno, że Thayne zauważył perlę na jej palcu i

mlecznobiały spód nadgarstka. - Mój mąż popłynął łodzią na ryby - podjęła, nie spoglądając

na niego. - Wróci za kilka dni. To sezon nałosoście; płyną na tarło w górę rzeki.

Podróżnych

teraz niewielu i dlatego każdego zapamiętuję. - Uśmiechnęła się znacząco. -

Zawołaj mnie,

panie, jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebował.

Thayne się zamyślił. Wieży tej szuka rycerz z Yves, który nie zna magii i jest biegły

jedynie we władaniu mieczem... Myśl o zaszlachtowaniu smoka i zniszczeniu jego magii

bezwzględny, skutecznymi i niekwestionowanymi metodami Gloinmere, o sprzątnięciu

Wyspom Północnym sprzed nosa skarbów, podsyciła furię i desperację, które popchnęły go

do podjęcia tej niezwyklej podróży. Zblakło wspomnienie bosego nieznanego z mieczem w

ręku, stawiającego w lesie czoło zbrojnym rabusiom. Thayne'owi pozostały w pamięci tylko

jego oczy koloru zimnej, hartowanej stali i złote wieże łączące go z Regisem Aurumem.

- Źleś zrobił, nie wracając do Gloinmere - wyszeptał, wpatrując się w ogień na palenisku.

Tej nocy smok zdominował jego sny; jaskrawo ubarwiony, przerażający stwór o węzowym cielsku wydarł mu pazurem serce i połknął. A wtedy Thayne ujrzał świat ślepiami

smoka, poczuł pulsujący w sobie ogień. Owinął się wokół wieży ze złotem i obserwował

czujnie rycerza, który nadjeżdżał przez pustkowie. Potem buchnął mu z paszczy płomień

koloru złota i pożarł na swej drodze wszystko co żywe. Z rycerza została się tylko tunika.

Leżała na spalonej ziemi niczym porzucona chorągiew. Rozpostarł wtedy skrzydła i wzbil się

spiralą w niebo, czując już w nozdrzach złoto wież Gloinmere i unoszący się nad nimi odór

śmierci.

Nazajutrz obudził się wcześniej, czując wciąż w sobie, w sercu, tłącą się smoczą energię. Zszedł z utartego szlaku i ruszył na oślep przez bezdroża Skye, nie słyszał bowiem,

by jakąś uczęszczaną drogą można było trafić do smoków. Znalazł się w odludnej, nieznanej okolicy. Może będzie musiał zawrócić, bo napotka na swej drodze rozciągające się po horyzont jezioro. Rzeki, których brzegami podążał, zadawały się płynąć to w jedną, to w drugą stronę. To, co brał za poszarpaną skalną grań na szczycie wysokiej góry, okazało się starszymi niż Yves, bezimiennymi ruinami. Nieliczni ludzie, których spotkał w puszczy i na moczarach, dostrzegali chyba w jego oczach smoka i niechętnie odpowiadali na pytania. Nie, nigdy nie słyszeli o równinie, na której nic nie rośnie, a wieź najrozmaitszego pochodzenia jest w Skye bez liku. Jedna stoi w pobliskim brzoźowym lesie; na pewno do niej trafi, idąc w tym kierunku. Ale poza nietoperzami nic w niej nie ma. Wjechał między smukłe drzewa o jasnych pniach. Szeptaly mu zielone liście; stare, złocące się na ziemi w promieniach słońca, szeleściły pod końskimi kopytami. Nie znalazł wieży - rozpadła się albo gdzieś przeniosła, albo ukryła przed jego oczami w świetlistych snopach światła przedzierających się przez korony drzew. Wyjechawszy z lasu na polanę, podążył z biegiem płytkiego srebrzystego strumienia. O zmierzchu upolował wypłoszonego z trawy zająca. Rozpalił nad strumieniem ognisko, obdarł zająca ze skóry i upiekł na rożnie. Mięso zagryzał chlebem, który dała mu na drogę karczmarka. Po posiłku leżał na ziemi i obserwował wschód księżyca. Księżyc odbijał się w wodzie, która próbowała unieść go z prądem, ale on czepiał się uparcie kamienistego dna. Thayne zamknął oczy. Woda szemrała do niego niczym stara matrona opowiadająca coś w niezrozumiałym języku. Nagle ją zobaczył; brodziła w strumieniu, próbując wyłowić rogaty księżyc. Wymykał się jej jak ryba, ale ona nie dawała za wygraną, wciąż paplając monotennie. Nie widział wyraźnie twarzy, ale wydawało mu się, że ją poznaje. Na palcu jej lewej dłoni widniał połyskujący w blasku księżyca srebrny pierścień.

- Smok - odezwał się po dłuższej chwili. - Zdradź mi, jak wymawiać słowo „smok”, żeby stało się ciałem.

Smok rozwarł straszliwą paszczę i bluznął ogniem. Thayne poczuł, płomień go ogarnia, pali mu skórę, ciało, kości, i uświadomił sobie, że jest nadzianym na rożen zającem obracającym się powoli nad ogniskiem. Obudził się zlany potem, odsunął od dogasającego ogniska. Wciąż roztrzęsiony przeczołgał się nad brzeg strumienia i napił wody, żeby splukać z ust posmak spalenizny.

Jego wzrok przyciągnęło tłące się ognisko. Ogryzione kosteczki, które w nie wrzucił, mogły należeć do niego. Położył się na wznak i zamyślił. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że może stracić życie w tej obcej krainie, na równinie z legendy, równinie, o której istnieniu nikt nawet nie słyszał.

O wschodzie słońca ujrzał w oddali trzy wzgórza, zielone i popielatosrebrzyste, tak do siebie podobne, że wyglądały jak podwójne odbicie jednego. Skierował się ku nim. Zniknęły mu na pewien czas z oczu, kiedy przedzierał się przez las dębów starych i potężnych niczym wieże. Po południu, po drugiej stronie szerokiej doliny znów zobaczył wzgórza. Spokojna rzeka przecinająca dolinę niknęła między dwoma z nich; dalej widać było trzecie. Zatrzymał się nad rzeką, żeby napić konia. Patrząc beznamiętnie na spokojne wzgórza zauważył, że niemal stykają się stokami; te trzy rozległe, łagodne wzniesienia tworzyły pierścień. Przypominał sobie ilustrację z księgi ojca. Ale tamtą równinę otaczały strome, zębate szczyty. Te tutaj, z przechodzącymi w siebie płynnie zielonymi stokami, ani trochę ich nie przypominały.

Ruszył brzegiem rzeki. Były bliżej, niż mu się wydawało. Szybko dotarł do miejsca, gdzie rzeka zaczynała wykręcać między dwoma bliższymi wzgórzami. Przyśpieszała tutaj bieg, zwężała się, robiła płytsza. Przejście między wzniesieniami trwało w jego odczuciu całą wieczność. Wzgórza zdawały się do siebie przysuwać, przerzucać nad jego głową swoimi cieniami. Porastające je popielate lasy przeredziły się, skarłały do niskich zarośli, a w końcu ustąpiły miejsca trawie.

Późnym popołudniem trawa na zboczach zaczęła brązowieć, tak jakby na obejście wzgórz poświęcił już parę miesięcy i zmieniła się pora roku. Popołudnie było upalne, pot ściekał mu po twarzy. Zatrzymał się znowu, żeby ugasić pragnienie. Brzegi rzeki z twardego, spękanego mułu tylko gdzieniegdzie porastały kępki trawy. Serce zabiło mu mocniej. Już wiedział, jaką tajemnicę skrywają te wzgórza. Od pewnego czasu, nie zdając sobie z tego sprawy, próbował wychwycić w powietrzu zapach smoka.

Zobaczył twarz Craiche'a unoszącą się znad księgą i uśmiechającą słodko. Zobaczył ojca, który go rozpoznał i zawołał po imieniu. Poddał się tęsknocie za domem. Mógł jeszcze zawrócić konia, wyjechać spomiędzy wzgórz i wrócić na Wyspy Północne z pustymi rękami, ale żywy.

- Nie jestem Bowanem - wyszeptał. - Nie jestem Ferle'em, który znał magię słów.

Ja

nie znam się na żadnej magii. Nie chcę umierać za złoto.

I wtedy zobaczył jasne i nieustraszone oczy tamtego rycerza. Wracaj zatem do domu,

wyczytał w nich. Jeśli to zadanie cię przerasta, ja je wykonam.

Napił się ciepłej, mętnej wody, dosiadł znowu konia i ruszył dalej.

Przed zachodem słońca rzeka zniknęła, wsiąkła w spękaną ziemię. Wzgórza o nagich teraz, postrzępionych, skalistych zboczach coraz bardziej się do siebie zbliżały, wypiętrzały,

ich szczyty płonęły na tle błękitu, na którym nie uświadczyło się ani jednej chmurki. Thayne

wprowadził zmęczonego, spoconego wierzchowca w przesmyk między wzgórzami tak wąski,

że zbocza niemal zbiegały się nad jego głową.

Staął po drugiej stronie. Rozpościerała się przed nim otoczona trzema wzgórzami,

naga równina, na której nic nie mogło wyrosnąć. Blask zachodzącego słońca palił ziemię

niczym płomień ze smoczej paszczy. Ogromna kamienna wieża wznosząca się pośrodku tego

spieczonego pustkowia rzucała długi cień.

Smok owinięty wokół wieży otworzył ślepią.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Piekarka z Kamiennego Lasu niespiesznie szła brukowaną kocimi łbami uliczką do portowej tawerny. Rybacy gromadzili się w starszym szynku, który stał przy samym nabrzeżu. Deski podłogi wypaczyły się tam od ich mokrych butów, a jedyną ozdobą

pośród poobijanych stołów i ław był wielki słój, w którym pływało coś pokrytego zielonkawą łuską,

bladego jak perła, ze splątanymi pasmami ciemnego mchu, a może włosów. Szykarz mówił,

że to syrena. Gościom, którzy zabawili w szynku do późnej nocy, wydawało się, że widzą jej

twarz. Przysięgali potem, że kręciła głową i uśmiechała się.

Sel wołała zaciszniejszą tawernę, w której nie było utopionych, marynowanych syren.

Mogła stamtąd patrzeć na fale nadciągające od pełnego morza i niosące na swych grzbietach

wracające z połowu łodzie. Kamienne parapety w tym szynku zasłane były starymi kamykami

i muszelkami. W oknach zamiast firanek wisiały stare rybackie sieci. W oddali, na

przeciwległym klifie wznosiły się dziwne kikuty kamiennego lasu, które w

ostatnich promieniach zachodzącego słońca nabierały ciemnego, jedwabistego połysku macicy perłowej.

Wysoka, tęga, podobna do foki piekarka siadła na ławie przy ulubionym oknie, z którego widać było i wejście do portu, i otwarte morze za nim. Oczy miała rozstawione

szeroko jak u ryby, ciemnozielone, nieprzeniknione; włosy szpakowate, długie i bujne,

zaplecione w warkocz. Przychodziła tu, by popijając i patrząc na morze, wspominać dawne czasy.

- Co ci podać, Sel? - zapytała Brenna, wesola, pulchna kobieta o włosach koloru masła i długich, smukłych dłoniach. To jej dzieci zebrały kamyki i muszelki leżące na parapetach; teraz łowiły ryby na skałach.

- Moją młodość - mruknęła Sel. - Mojego męża. Zakłęcie, które odciągnęłoby moją córkę od tej wieży w kamiennym lesie.

- Czyli to co zwykle?

- To co zwykle - przytaknęła Sel.

Brenna przyniosła jej ciemne piwo, gorzkie jak woda morska. Sobie też naląła jedno i

przysiadła się do Sel, bo w szynku nie było innych gości.

- Co ją przyciąga do tej wilgotnej ruiny? - zapytała.

- Opowieści - mruknęła z goryczą matka Melanthos.

- Opowieści?

- I czary. Zauroczyła ją ta wieża. To jak miłość, tyle że do niczego realnego. I nie da

sobie przetłumaczyć, że grozi jej niebezpieczeństwo. Myśli, że to niewinna zabawa.

- Przecież nic jej się nie stało - powiedziała pocieszająco Brenna. - Jak na razie.

Sel spojrzała na szynkarkę z dziwnym błyskiem w oku, który szybko zgasł. Upiła łyk

piwa i podjęła:

- Miałam nadzieję, że wystarczy Anyon, żeby przestała tam chodzić. Ale nie. Jest uparta. Bardziej niż miłość pociąga ją tajemnica.

- Cóż, czasami... - zaczęła Brenna, spoglądając refleksyjnie na morze. Nie dokończyła,

zerwała się z ławy i otworzyła szerzej okno. - Hol! Dzieciak zżera ci przynętę!

- Czasami przesiaduje tam całe noce. Mówi, że haftuje to, co zobaczy w zwierciadle.

Ale nigdy nie pokazuje nam tego, co wyhaftowała. Podobno jej prace znikają jak słowa, które

wiatr porywa zaraz po wypowiedzeniu.

- Byłaś w tej wieży?

Sel pokręciła głową.

- Posłałam raz Gentian. Wieża jej nie wpuściła. I Anyon próbował.

Brenna poprawiła się na ławie.

- Co ty powiesz! Anyon?

- Tak, wiem. Nie znosi zamkniętych pomieszczeń. Ale przemógł się. Dla niej. I nawet

on nie zdołał tam za nią wejść.

Brenna wpatrywała się w swoje miodowobrazowe piwo, słodsze od tego, które piła Sel. Nagle się uśmiechnęła.

- Dobrana z nich para.

- Byłaby dobrana - mruknęła posepnie Sel - gdyby nie ta wieża.

Otworzyły się drzwi. Weszło dziecko Brenny. W jednym ręku niosło muszlę, drugą ciągnęło małego szkraba.

- Zobacz...

- Co ona jadła? - Brenna dwoma umaczanymi w piwie palcami zaczęła wycierać umorusaną, lepiącą się od brudu buzię małej.

- Wnętrznosci śledzia. Spójrz na tę muszlę! Jest jak kamienny las... taka stara, że skamieniała.

Brenna wzięła muszlę i nie patrząc na nią, odłożyła na stół.

- No to musisz sama pójść - zwróciła się znowu do Sel. - Wejdz do wieży i sprawdź, czy nic jej tam nie grozi.

Sel obróciła muszle. Drobne żeberka rozchodziły się wachlarzowato po skamieniałym spodzie.

- Musi być stara jak świat - powiedziała. - Nie dbam o to. Nie mam już głowy do takich rzeczy. Zresztą nie wiem, czy dałabym radę wdrapać się po schodach na samą górę.

Może utknęłabym gdzieś po drodze jak ślimak, który wpełza do zężającej się muszli dopóty,

dopóki nie zaklinuje się tak, że już ani w tę, ani we w tę. Nie wiem, czy pamiętam, jak się to robi.

- Jak co się robi? - spytała Brenna.

Sel oddała muszlę dziecku.

- Ładna. Tak. Bez niej nie możemy nadażyć z robotą. Prawie już stamtąd nie wychodzi. A ja muszę wysłuchiwać lamentów Anyona.

Brenna omal nie parsknęła śmiechem.

- Mówię ci, idź tam lepiej - poradziła.

Sel wróciła do piekarni. Gentian pakowała właśnie bochen chleba i pół tuzina bułeczek z rodzynkami dla starego Craya Grivena, który po sześćdziesięciu latach łowienia

ryb cuchnął jak suszony łupacz i miał tyle co on zębów. Cofając się do drzwi, zaprezentował

Gentian w uśmiechu jeden z nich. Wtem napotkał rybnie spojrzenie Sel i wyskoczył na

zewnątrz jak oparzony, a wtulił jeszcze głowę w ramiona, kiedy za nim parsknęła.

Gentian,

wrzucając do dzbanka monety, którymi zapłacił, uśmiechnęła się pod nosem.

Zajrzała do

dziecka śpiącego w koszyku na ladzie, potem podparła brodę dłonią i spojrzała pytająco na

matkę.

- Gdzie Melanthos? - zapytała Sel.

Gentian pokręciła głową.

- Albo w wieży, albo gdzieś indziej, tylko nie tutaj. Mam jej poszukać?

- Nie. Sama to zrobię. - Sel otworzyła drzwi pieca. Rzuciła fachowym okiem na orzechowe placki i na ogień pod nimi. Zamknęła delikatnie piec i stała przez chwilę

nieruchomo, myśląc o wieży w tym dziwnym, starodawnym lesie, a jednocześnie wsłuchując

się w krzyk mew, szum przyływu i poszczekiwanie fok wylegujących się na płaskich

skałach poza zasięgiem fal. Kiedyś jej córeczki baraszkowały z fokami.

Obserwowała ich

kędzierzawe główki unoszące się nad powierzchnią - jedna jasna, druga ciemna -
ich młójące

wodę rączki, małe białe stopki bijące pianę.

- Matko? - usłyszała i mrugając powiekami, spojrzała na wysoką kobietę o długich
miedzianych włosach i oczach przejrzystych jak morze w lecie.

Moje dzieci odpływają ode mnie, pomyślała. A ja stoję na brzegu, patrzę za nimi
ponad falami. Westchnęła i odwróciła się do drzwi.

- Nie zapomnij o plackach - powiedziała do córki. - Jak dojdą, wyjmij je z pieca
i

możesz zamykać sklep.

Gentian lekko zmarszczyła brwi.

- Jesteś pewna, że sama chcesz tam iść? Tylko nie wchodź po schodach. Zawołaj ją
z

dołu. Jeśli nie odpowie, wracaj do domu, a ja tymczasem poszukam jej u Anyona.

Spacer

dobrze mi robi.

Sel kiwnęła głową.

- Wrócę. Ale jeśli Melanthos jest u Anyona, zostaw ją tam.

Wyszła udając, że nie dostrzega rozbawienia w oczach Gentian, która odprowadzała
ją

wzrokiem.

Szła ścieżką nad urwiskiem, ale nie sama. W połowie drogi do kamiennego lasu
zaczął

jej towarzyszyć Joed. Nie poznałby mnie teraz, pomyślała. Włosy przyprószyła mi
siwizna,

przytyłam, zniedołężniałam. Oczy miał ciemnoszare jak kamień i włosy koloru
gliny. To

barwy ziemi, a on nade wszystko kochał morze. I morze go zabrało, zabrało jego
szczupłe,

zręczne dłonie, ogorzałą twarz, głęboki głos, którym wypowiadał jej imię. Nie
miała o to żalu

do morza. Było jego drugą miłością, jego kochanką. Ale w głębi serca żywiła
irracjonalną

urazę, że nie zabrało również jej.

Po jego śmierci zaczęła wypiekać chleb, żeby patrzeć na dzieżę z ciastem, na
worki z

mąką, na piec, na ogień, na cokolwiek, byle nie na wodę. Jej dłonie nadawały
bochenkom

kształt małży, kształt ślimaków, rozgwiad; jedząc je, wyobrażała sobie, że je
morze, że staje

się jego częstką, że jej kości przekształcają się w muszlę, że zmienia się w nią
cała i bezoka,

bezmyślna, zatopiona we wspomnieniach, czepia się jakiejś wiekowej podmorskiej
skały,

opierając się głębinowym prądom.

Weszła między kamienne drzewa zadające wciąż te same pytania. Jesteśmy
kamieniami czy drzewami? Czyśmy żyły kiedyś? Czy może nigdy? Po pobielających
kikutach

rozpełzały się zielonkawoszare liszaje mchu. Ciemniejsze kamienie pod wpływem
światła

zaczynały się tlić opalizującymi ogniami.

Ujrzała wieżę nad urwiskiem. Wyglądała całkiem zwyczajnie. Stare kamienie, z

których ją wzniesiono, drzemały w gasnącym blasku dnia, wokół rosła trawa i polne kwiaty.
Sel stanęła obok wieży i spojrzała z wyżyn urwiska na morze, na uwijające się nad falami białe jak piana ptaki. Na piaszczystej plaży dzieci biegły za cofającą się wodą, a potem zwracały i umykały przed kolejną spienioną falą. Czuła, jak z tej kamiennej wieży coś emanuje. Zupełnie jakby na mnie patrzyła, przemknęło jej przez myśl.
- No dobrze - mruknęła po chwili, kiedy słońce skryło się za chmurę na widnokręgu. -
Rada, nie rada, muszę do ciebie wejść. Zaczarowałaś mi dziecko. Światło odbijało się od powierzchni morza, oślepiający blask odpływał za słońcem, rozbił się o chmurę na horyzoncie i zniknął. Chmura zrobiła się srebrna; połysk wsiąkał w wieżę niczym woda w piasek. Sel czuła ciepło uciekające z kamieni. Przyłożyła do jednego dłoń i wchłaniała przez chwilę wyciekające zeń słoneczne światło. Potem odwróciła się, obeszła wieżę i przestąpiła próg otwartych drzwi od strony kamiennego lasu. Wydeptane, obłupane stopnie były czarniejsze niż noc. Obiegając centralną kamienną kolumnę, pięły się spiralą w górę i nikły w zalegającym tam nieprzeniknionym mroku. Wstąpiła na nie powoli, z duszą na ramieniu, wyobrażając sobie, że wzdęta wspomnieniami, wiekiem i życiem utknie gdzieś po drodze, nie docierając do tajemnego serca wieży. Ale magia wieży była bardziej subtelna. Beznamiętne, mroczne, nieruchome oblicze śmierci, które jej ukazała, Sel zbyła wzruszeniem ramion; nie pierwszy raz je widziała. Wieża ostrzegła przed miejscami, gdzie nie ma marzeń, nie ma nadziei; Sel roześmiała się tylko i ostrzeżenia te rozwiały się jak pajęczyna na wietrze. Pięła się dalej w mrok, ściany i schody zdawały się znikać przed nią i jedynym oparciem dla stopy pozostawała nicość. Myślisz, że się przestraszę? - zapytała wieży. Stopnie znowu się pojawiły i aż do szczytu wieża nie miała jej już żadnymi iluzjami. W izbie na szczycie nikogo nie było. Sel rozejrzała się ze zdumieniem. Czyżby wieża uczyniła Melanthos niewidzialną? Ale zapleśniałą matę pokrywała warstwa kurzu. Pośrodku leżały dwa skotłowane, wykonane przez Anyona pledy. Podłoga pod wychodzącym na morze oknem zasłana była kłębkami różnobarwnych nici, igłami i kawałkami płótna. Sel zobaczyła w zwierciadle swoje odbicie. Własna twarz wydała jej się obca, bo już dawno nie spoglądała w lustro, a zresztą

rzadko miała po temu okazję. Roześmiała się znowu na widok zmarszczek,
zatroskanych
oczu, ciemnych, przetykanych srebrem brwi i włosów zaplecionych w warkocz.
- Kimże ty jesteś? - wyszeptwała, a twarz w zwierciadle zadała jej to samo
pytanie.
Spojrzała na inne okna. Z jednego widać było drogę nad urwiskiem i wioskę.
Drugie
wychodziło na kamienny las i usianą skałkami równinę za nim. Jeszcze dalej
ciągnęło się
postrzępione górskie pasmo wyznaczające kraniec lub początek Skye, zależnie od
której
strony patrzeć.
Sel trąciła matę czubkiem buta i westchnęła.
- Skoro już tu jestem - powiedziała do siebie - to zaczekam. Niech Melanthos mi
pokaże, czym się tu zajmuje. W końcu przyjdzie...
Usiadła na macie i zarzuciła sobie na ramiona jeden z pledów Anyona, bo od morza
napływał już wilgotny chłód. Głaszcząc odruchowo palcem kłębki nici, zapatrzyła
się w
zwierciadło odbijające szare niebo za jednym z okien. Wspominała swoje życie.
Nie dało się
go w żaden sposób porównać do wyszytych nicią obrazów, bardziej przypominało
ostre
kawałki rozbitego zwierciadła pełne barw, twarzy, ruchu. Kawałki, które nie
pasują jeden do
drugiego i mogą skaleczyć. Pusta łódź Joeda. Mała Gentian z puklami miedzianych
włosów.
Zimne piece piekarni czekające cierpliwie, aż ktoś rozpali pod nimi, kiedy
zajdzie księżyc i
niebo nad morzem poczernieje. Własna obca twarz i życie, które wydawało jej się
teraz
nierealne jak sen.
Powoli uświadamiała sobie, że widzi w zwierciadle odbicie kobiety, której nie
zna.
Gwiazdy nad zwierciadłem połykała mgła. Ciemne morze było bez końca o odległe
klify z senną miarowością, tak jakby o tej nieokreślonej porze nocy fale
podróżowały poza
czasem i śpiewały swoją pieśń starszemu księżycowi. W wieży ze zwierciadła na
niewidocznym kominku płonął ogień i po kamiennych ścianach tańczyły pajęczyny
światłocienia. Kobieta siedziała bez ruchu na krześle, zaciskając dłonie na jego
rzeźbionych
poręczach. Palce miała długie, szczupłe, blade, ozdobione złotymi pierścionkami.
Z jednej
strony leżącego przed nią tamborka zwisała wstęga płótna, z drugiej spływały
fałdami na
podłogę ukończone już, barwne haftowane obrazy. Parapet okna pograżony był w
cieniu,
który rozjaśniał się od czasu do czasu poblaskiem ognia.
Kobieta siedziała nieruchomo; obserwująca ją Sel również. Nagle kobieta wstała i
odeszła od krzesła.
Sel wciąż nie widziała jej twarzy. Kobieta głowę miała pochyloną, jasne falujące
włosy zasłaniały jej profil. Była w niebiesko szarej sukni wyszywanej w lilie i
białe ptaki,

pięknie wykończonej - ani jednej zmarszczki, puszczonego szwu, plamki. Kiedy szła, przesuwała się również scena widoczna w lustrze. Zatrzymała się przed ogromnym, marmurowym kominkiem w kształcie dzwonu okolonym rzeźbionymi liliami.. Stała z pochyloną wciąż głową. Blask ognia pełgał po wąskich rękawach sukni, stwarzając wrażenie ruchu; zupełnie jakby na przemian zaciskała i rozwierała dłonie, przemknęło Sel przez myśl. Kobieta uniosła nagle głowę i obejrzała się, jakby poczuła na sobie spojrzenie kogoś spoza wieży, spoza tej nocy. I wtedy Sel zobaczyła jej twarz. Przestała wstrzymywać oddech, usłyszała znowu szum morza. - Kiedyś - wyszeptala, jakby opowiadając nieznaną swoją historię - wypłynęłam z morza i postawiłam stopę na brzegu... Zwierciadło zamrugalo niczym oko i rozblyslo wszystkim barwami morza.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cyan Dag dotarł do mrocznej wieży o zachodzie słońca. Tak jak mówiła minstrelka, wieża stała w małej dolinie między trzema wzgórzami. Otaczał ją krąg dębów; za tymi dębami ciągnęła się łąka porośnięta bujną, wysoką trawą i polnymi kwiatami. Po drugiej stronie łąki, na skraju lasu, pasł się jeleń. Zwęszył chyba Cyana, bo uniósł łeb zwieńczony rosochatym porożem i spojrzał w jego kierunku. Wieża była przysadzista, osiadła głęboko w ziemi, wzniesiona z kamieni ułożonych po prostu jeden na drugim, bez stosowania murarskiej zaprawy, związanych jedynie wiekiem. Zupełnie inaczej ją sobie wyobrażał. Nie widział nigdzie okien. W ościeżnicy, którą stanowiły dwa pionowe kamienne bloki i ułożone na nich kamienne nadproże, nie było drzwi. Każdy mógł wejść do środka. Cyan, zafascynowany czernią zalegającą w wieży i panującą tu ciszą, zsiadł powoli z konia. Minstrelka powiedziała, że znajdzie wieżę między tymi wzgórzami, i znalazł. Nie dostrzegał wokół nic, co by go mogło powstrzymać; jeśli czyhało tu jakieś niebezpieczeństwo, to tylko w środku. Puścił konia luzem na łąkę, a sam ruszył do wejścia, dobywając odruchowo miecza, choć wątpił, by pułapki - jeśli zastawiono je tutaj na nieostrożnych rycerzy - były tak mało subtelne. Zatrzymał się zdeprimowany nieprzeniknioną czernią zalegającą za zakurczonym progiem; miała wagę i teksturę kamienia. Jednak stojąc w przyjaznym blasku dnia, nic by nie zdziałał. Wsparł się dłonią o blok ościeżnicy i schylił głowę, bo nadproże było niskie. Przystępując ostrą granicę dnia i nocy wyczuł, że w mroku, tuż obok, coś się poruszyło. Przestraszony machnął mieczem na oślep. Głownia skrzesała iskry, zawadzając o kamienne

nadproże i znieruchomiła, zupełnie jakby w nim utkwiała.
Ktoś otarł się o niego, nabierając w przelocie kształtu i kolorów, zrzucając z siebie
ciemność jak opończę. Cyan wypuścił z ręki miecz, i tak teraz bezużyteczny, i postąpił
kolejny krok w głąb wieży, by się roztopić w jej mroku. Ktoś chwycił go za rękę.
- Stój! - usłyszał kobiecy głos.
Wyczuł otchłań otwierającą się przed nim w czerni. Nie wiedział już, czego się lękać,
bo w tej dziwnej wieży wszystko było możliwe. Ledwie widział własną rękę. Na przegubie
zaciskały się długie palce, na jednym z nich połyskiwał srebrny pierścień.
- Zawróć!
Nie mógł się poruszyć. Paraliżował go nie tylko mrok. Tuż poza granicą słyszalności
rozlegały się jakieś głosy, dobiegały go słowa o ogromnej sile, złożoności i znaczeniu. Czerń
rodziła wizje; widział kolory, o których istnieniu nie miał pojęcia, miejsca, do których
prowadziły nie mające końca, kręte ścieżki, miejsca tak piękne, że mógłby ich szukać przez
całe życie, a potem spędzić w nich życie następne. Były tam obietnice niewyobrażalnych
nagród za pokonanie niepojętych przeszkód, za odnalezienie przeogromnych skarbów, za
przyjście z pomocą pogrążonym w rozpacz, znajdującym się w śmiertelnym zagrożeniu.
Wabiła go setka szepczących głosów, setka delikatnych dotknięć. Ruszaj, Cyanie Dagu! Idź
tam! Podąż tą ścieżką, znajdź, walcz, ocal, zabij, klęknij, przysięgnij, Kochaj!
Gdyby tylko
mógł się uwolnić i odwrócić, wstąpiłby na służbę do idealnego króla, dokonywał bohaterских
czynów, realizował swoje marzenia, tworzył lepszy świat.
- Zawróć!
Głos dobiegał z bardzo daleka. Cyan usłyszał nagle swój przyśpieszony, chrapliwy oddech. Zaparł się dłonią o kamienną ościeżnicę, ze wszystkich sił
przeciwstawiając się ręce,
która wyciągała go z wieży. Na próżno. Dłoń szarpnęła brutalnie i znalazł się znowu w
świecie dnia. Potknął się, z trudem odzyskał równowagę. Twarz miał mokrą od potu i łez,
dyszał ciężko, jak po forsownym biegu. Patrzył w oszołomieniu na kobietę, która wywlokła
go z wieży na świat, z mroku w jasność. Za jego plecami miecz spadł na ziemię ze szczękiem.
- Dlaczego mnie zatrzymałaś?! - krzyknął.
I w tym momencie ją poznał.
Straciła tę niesamowitą, przerażającą urodę, którą zachwycała go nocą w lesie. Zdjęła
ją jak maskę, a może ukryła pod tym, co widział teraz. Wyczuwał, że potrafi to robić. Była

wysoka, smukła, brązowa jak ziemia; jej zdumiewające włosy - czarne jak noc,
proste jak
słoma - nadal wyglądały tak, jakby mogła w nich zniknąć. Oczy miała bursztynowe
w złote
cętki. Uśmiechnęła się.

- Sidera - powiedziała. - Pytałeś mnie o imię - przypomniała mu.

- Ocaliłaś mi życie. Odprowadziłaś wtedy do karczmy i zniknęłaś. Nie mogłem ci
nawet podziękować.

- Powiedziałaś koniowi, żeby cię tam zaniósł - odparła. - Ja nie lubię ludzkich
domostw. Nie jestem taka jak moja siostra. Lepiej czuję się wśród lisów i jeleni
niż na
królewskich dworach.

- Siostra...? - Cyan urwał. Przed oczami stanęły mu trzy nakładające się na
siebie

twarze: jedna, którą widział przy ognisku, druga, na którą patrzył teraz, i
trzecia, twarz

kobiety, która wysłała go na poszukiwanie wieży.

- Tak, jestem siostrą minstrelki ze Skye.

Gapił się na nią oniemiały, przywołując z pamięci wysoką, chudą minstrelkę o
czarnych zapadniętych oczach, długich falujących włosach, silnych, żyłastych
dłoniach, które

przebiegały pieszczotliwie po strunach harfy. Ujrzał ją teraz w Siderze. Ten sam
wzrost, takie

same proste plecy, takie samo hipnotyzujące spojrzenie. Ale oczy Sidery były
pogodne i miłe.

- Czy twoja siostra ma jakieś imię? - spytał. - Znam ją tylko jako minstrelkę ze
Skye.

- Ma na imię Idra. Nie powiedziała ci?

- Nie pytałem. Wykonuję po prostu jej polecenia. Wysłała mnie tutaj, kazała
odszukać

tę wieżę i uwolnić wieszoną w niej kobietę...

Sidera uniosła brwi, z jej oczu zniknął uśmiech.

- Ależ to zupełnie inna wieża. Jak się nazywasz? Nie powiedziała mi tego.

- Cyan Dag. - Głos mu drżał z hamowanego gniewu. - Myślałem, że minstrele ze
Skye

nie kłamią.

- A ona cię okłamała?

- Powiedziała... - Przesunął dłonią po twarzy, usiłując przypomnieć sobie, co
dokładnie usłyszał na szczycie wieży Yerlaina. - Powiedziała, że poszukiwanie
tej wieży

może być niebezpieczne. I że tutaj ją znajdę.

- To, co znajdujesz - powiedziała Sidera - nie zawsze jest tym, czego szukasz.

Cyan odwrócił się, żeby nie krzyknąć, podniósł z ziemi miecz i wsunął go do
pochwy.

- Ona mi mówi, czego mam szukać. Mnie ta wieża do niczego niepotrzebna. -

Spojrzał

na budowlę i znowu ujrzał sto wabiących ścieżek, sto królestw bez nazwy. - Ale
chciałem ją

odnaleźć - dokończył szeptem.

- Cyanie Dagu - powiedziała cicho Sidera, kiedy miał już ruszać w stronę
kuszącego
mroku.

Spojrzał na kobietę, która zjawiała się nie wiadomo skąd, by psuć mu szyki. I nagle uświadomił sobie, że nie zjawiała się nie wiadomo skąd, że wyszła z wieży. Zupełnie jakby tam na niego czekała.

- Czary - wykrztusił.

Kiwnęła głową. Stała nieruchomo i obserwowała go spod ściągniętych brwi.

- Tak, magia. Pewnie nazwiesz mnie zaraz czarownicą. Jestem biegła w pradawnej wiedzy Skye. I dlatego łatwiej mnie spotkać w dziczy niż w wioskach czy w zamkach. Moja wiedza pochodzi z czasów poprzedzających pojawienie się w Skye pierwszych ludzi. Znam język koni, uzdrawiającą moc roślin...

Cyan uspokoił się trochę. Ocaliła mu przecież życie, nie chciała go skrzywdzić.

- Wdzięczny ci jestem za tę magię - powiedział. - Nie rozumiem tylko, po co przysłała mnie tu minstrelka.

- Ja też nie wiem, jaki cel jej przyświeca. - Sidera założyła na piersi ręce niewidoczne pod płaszczem włosów i postąpiła krok. Zapadał zmierzch.

- Nie rozumiem też - dodał cicho Cyan - co robiłaś w wieży.

Coś w oczach Sidery ostrzegło, że nie spodoba mu się jej odpowiedź.

- Przysłała mnie tutaj, bym powstrzymała rycerza, który będzie chciał wejść do środka.

Ogarnęła go złość na obie - na minstrelkę, która skierowała go do niewłaściwej wieży, i na czarownicę, która nie pozwoliła mu do niej wejść. Zacisnął pięści.

- Nigdy nie pragnąłem niczego tak jak światów, które widziałem przez moment w tej wieży - wycodził powoli.

- Cóż, musisz się zadowolić światem, w którym żyjesz - westchnęła - ze wszystkimi jego dwuznacznościami i magią. - Lekko i cicho jak zjawa postąpiła jeszcze dwa kroki, próbując odgadnąć z wiatru zamiary minstrelki. - Chciała, żebyśmy oboje się tam znaleźli i na chwilę zniknęli ze świata. Gdybyś mi się wyrwał, musiałabym cię szukać... Usiłował przeniknąć pokrętne sposoby myślenia minstrelki i czarownicy.

- Brała pod uwagę, że nie uda ci się mnie zatrzymać?

- Możliwe. Myślisz sercem, Cyanie Dagu. To niezwykła i ryzykowna magia. Przypuszczała, że wejdiesz do środka, a ja podążę za tobą... Że pobłądzimy oboje w mroku, a ona tymczasem... właśnie, co zrobi?

- Może gdzieś tam jest droga do pani z wieży. Odniosłem wrażenie, że bierze tam swój początek wiele dróg.

- Pozory.

- Słucham?

- Ta wieża jest najlepsza w stwarzaniu pozorów.

Zaprzagnął wejść do środka i tam poszukać odpowiedzi na pytania, które sobie zadawali. Sidera chyba wyczuwała u niego to pragnienie.

- Dobrze znam swoją siostrę - powiedziała - i ufam jej tak jak wiatrowi, który potrafi

ludzi zapachami. Wierzę tak jak w to, że deszcz będzie padał z góry na dół, a nie odwrotnie.

Ona nie kłamie. Ale nie mówi niczego wprost, nie obiera najkrótszej drogi, nie robi nic, co

uczyniłoby życie prostszym, jeśli ona chce je skomplikować.

Potrząsnął głową.

- Za dużo tych wież - mruknął. - Wysłała mnie do Skye, żebyśmy odszukał jedną, nie trzy...

- Trzy? - Odwróciła się tak szybko, że włosy oplotły jej smukłe ciało. Ku zdumieniu

Cyana wyfrunął z nich mały ptaszek. - Jakie trzy?

- Tę mroczną wieżę. Wieżę strzeżoną przez smoka, o której mówił mi Thayne. I wieżę, w której więziona jest kobieta.

Siderze dziwnie zabłyśły oczy.

- Wieża strzeżona przez smoka... Ktoś jej szuka?

- Thayne Ysse. Człowiek, który zostawił mnie w lesie na pewną śmierć. Chce ujarzmić smoka i zdobyć złoto dla Wysp Północnych. Widziałem tego smoka - dodał

- na

hafcie, który znalazłem przy zabitym.

Nie zapytała o okoliczności znalezienia haftu; takie rzeczy, pomyślał Cyan, zdarzają

się pewnie w Skye co dzień. Pochyliła głowę. Nie widział jej twarzy, ale zapewne myślała

intensywnie.

- To jest właśnie sposób myślenia Idry - powiedziała. - Po stycznych, jak tkaczka,

która łączy nici zaczynające się tak daleko, że nie widać nawet ich początku.

- Widziałem smoka, którego szuka Thayne Ysse, przez lunetę na smoki Yerlaina ze Skye.

Sidora odchrząknęła zaskoczona.

- Nie wiedziałam, że luneta działa. Jeszcze nikt nie wypatrzył przez nią żadnego smoka.

- Znasz te równinę? Wiesz o tym smoku?

- Słyszałam o nim.

- Łatwo będzie Thayne'owi go znaleźć!

- Jeśli bardzo mu na tym zależy... Czemu pytasz? Ty też zamierzasz odszukać tego smoka?

- Tylko po to, żeby Thayne nie mógł z jego pomocą zniszczyć Yves.

- Czyli chcesz zabić potwora, zanim on go odnajdzie?

- Nie. Widziałem tego smoka. Wolałbym o tym zapomnieć. Ale przysięgałem służyć wiernie Regisowi Aurumowi i bronić Yves. Muszę powstrzymać Thayne Ysse za wszelką

cenę. Minstrelka nie chciała mnie słuchać, kiedy opowiadałem jej o Thayne.

Wysłała mnie

tutaj; żeby ratować kobietę. No i jestem tutaj. A jedyną kobietą, jaką znalazłem, jesteś ty.

Nie mam pojęcia, gdzie się teraz skierować. Może powinienem wejść do tej wieży.

Czarownica wydawała się łowić uchem jakiś głos zagłuszany świergotem ptactwa zlatującego się na noc do gniazd. Włosy opadały jej na twarz jak kaptur, wyglądała nieludzko.

W końcu odrzuciła włosy do tyłu i ściągnęła brwi.

- Minstrele słuchają wszystkiego - powiedziała. - Słyszą wszystko. Słyszą wiek

kamieni. Znajdę ci Thayne Ysse, jeśli tylko jest w Skye. To bardzo prosty rodzaj magii z

wykorzystaniem wody. Dowiesz się, czy odnalazł smoka.

- Dobrze - podchwycił zbyt podniecony, by odczuwać lęk przed czarami. -

Dziękuję.

- Chodź ze mną.

- Dokąd?

Uśmiechnęła się.

- Niedaleko. Drobną korekta serca. - Uniosła rękę. Koń, skubiący dotąd trawę, podbiegł do niej. Wzięła go za uzdę i przytrzymała strzemień, by Cyan łatwiej mógł wspiąć się

na siodło. - Pojedziemy kawałek brzegiem strumienia i popatrzymy, co też nim płynie.

Cokolwiek zobaczysz, nie ruszaj się, nic nie mów, zachowaj całkowitą ciszę...

Cyan wsunął nogę w strzemień. Nagle usłyszał dźwięki harfy. Sidera coś powiedziała,

ale z takiej oddali, że ledwie ją słyszał. Koń zniknął. Oczy Cyana wypełniła znowu gęsta noc

panująca we wnętrzu wieży; nie miał już wcale pewności, czy w ogóle z niej wychodził.

Usłyszał poświst wiatru, który wplątał się w muzykę harfy, rozerwał ją i uniósł w nicość. Po

chwili został już tylko ryk wiatru pośród ciemności, wiatru odsłaniającego zarysy

przyginanych do ziemi drzew, i blask pochodni rozciągnięty w przestrzeni w cienką nić.

- Cyanie Dagu - powiedział ktoś z oddali. Może Sidera, może minstrelka, a może ktoś

zupełnie inny.

Poczuł smak deszczu i rozpoznał ten mrok.

ROZDZIAŁ DWUNASTYY

Thayne Ysse zobaczył swoje odbicie w smoczym ślepiu. Ślepie owo było jak olbrzymie jezioro płynnego złota otoczone wyschniętymi, chropawymi fałdami łuski i skóry.

Bardzo wąski, wydłużony owal czarnej źrenicy przecinał to złoto od góry do dołu; rozchodziły się od niej promieniście bledsze smużki złota. Thayne był w tej czerni

paproszkiem o ludzkich kształtach.

Nie śmiał się poruszyć. Koń zrzucił go i uciekł, kiedy smok rozwarł paszczę, a wysuwający się z niej jęzor ognia zeszklił pył na swej drodze. Thayne odczekał, aż przewali

się nad nim fala kurzu i rozgrzanego powietrza, po czym dźwignął się z ziemi i stanął oko w

oko z potworem. Czuł żar, choć płomień go nie dosięgnął. Słońce - drugie wpatrzone weń

gorejące ślepie - zatrzymało się na niebie, zaklinowane między dwoma wzgórzami. Zlany

potem Thayne czekał w bezruchu na noc.

Minęła chyba cała wieczność, nim słońce przesunęło się nieco i równinę zalał szkarłatny blask. Wydłużyły się cienie. Thayne spostrzegł rozsiane wokół ślady po żywych

istotach. Rogaty czerep. Martwy koń z żebrami obciążniętymi wysuszoną skórą.

Koła od
wozu. Tarcza odarta z emblematu. Coś przypominającego drewniane grabie, tylko
skąd grabie
na tej martwej pustyni? Kupki kości, ludzkich i końskich, części zbroi, miecze,
tarcze,
porwany jedwab, klejnoty, wszystko to leżało na ziemi tak spieczonej, że nie
była w stanie ich
pochłonać. Ludzka czaszka, która jakimś sposobem odtoczyła się od tego
śmietniska, patrzyła
na Thayne'a pustymi oczodołami. Słońce znowu się trochę przesunęło. Smok trwał w
bezruchu z utrwalonym w źrenicy odbiciu Thayne'a. Thayne też ani drgnął.
W końcu naga, spękana ziemia jakby zmiękła. Cienie zbladły. Z nozdrzy smoka,
szerokich i czarnych jak kotły, sączyły się smużki dymu. Przez ślepie przesunęła
się z góry do
dołu przezroczysta powieka Thayne nie poruszył się. Po chwili powieka przesunęła
się
znowu, tym razem z dołu do góry; czarna wąska źrenica rozszerzyła się tak
raptownie, że
Thayne omal nie podskoczył. Zdrętwiał cały, gardło miał tak wysuszone, że chyba
sam
mógłby zionąć ogniem. Smok westchnął przeciągłe, zasypując go tumanem pyłu.
Potem
opuścił łeb, zwinął się ciaśniej, przymknął ślepie. Thayne długo się
powstrzymywał, choć od
pyłu kręciło go w nosie, ale wreszcie kichnął.
Po chwili postąpił krok, potem drugi. Bestia o milionie oczu otwierała nad nim
jedno
po drugim. Próbował stąpać jak najciszej. Smok zachrapał. Thayne wstrzymał
oddech i wtopił
się w nieruchomą noc. Czekał, wpatrzony w potwora owiniętego wokół wieży.
Gwiazdy i
wschodzący księżyc, wiszący nad wzgórzami niczym kosa, zalewały równinę mdłą,
srebrzystą poświatą. Thayne obszedł ostrożnie wieżę, ale nigdzie nie dostrzegł
drzwi.
Na ilustracji też ich nie było. Pewnie smok je zasłaniał. Monstrum pochrapywało
cicho, miarowo. Wieża wzniesiona z wielkich czerwonych głazów, jarząca się blado
w
świecie księżyca, sprawiała wrażenie groźnej i niedostępnej. Ani jednego otworu;
nawet
okienka. Czyżby była otwarta od góry i smok wsypywał do niej swoje złoto jak do
komina?
Thayne'a ogarnęła nagle złość na siebie samego i na tę tajemniczą wieżę. Przebył
tak
długą drogę, odnalazł równinę, która zdawała się istnieć tylko na kartach
księgi, spojrzął w
ślepie smokowi. Ma na wyciągnięcie ręki skarb, który mógłby ocalić Wyspy
Północne. I nie
może się do niego dostać. Nie będzie się przecież wspinał na pionowe ściany
wieży. Nie
podkopie się pod nią, bo solidny kamienny fundament widoczny pod łukiem smoczego
ogona
zdawał się sięgać środka ziemi. W końcu, zmęczony okrażaniem wieży, prześlizgnął

się pod
ogonem bestii. Gdyby smok się teraz poruszył, przygniótłby go ogonem do
kamiennej ściany
i zmiażdżył, ale Thayne był zbyt spięty i podniecony, by o to dbać. Usiadł pod
ścianą, żeby
zaczerpnąć tchu. Kamienie rozgrzane od słońca prażącego bezlitośnie cały dzień,
a może od
cielska smoka, były jeszcze letnie. I nagle poczuł ze zdumieniem, że te kamienie
wchłaniają
go jak woda i jak woda zamykają się nad nim.
Pomyślał, że znalazł się w smoczym sercu.
Kamienna ściana wieży jarzyła się ciepłym blaskiem, tak jakby stosy monet, sztab
złota, wysadzanych klejnotami pucharów, bogato zdobionych mis i talerzy świeciły
własnym
blaskiem. Miał oto przed sobą skarb, o którym mówiła księga ojca, skarb, który
obsypie
złotym deszczem Wyspy Północne, nakarmi wyspiarzy i ich trzodę, naprawi walące
się ściany
i przeciekające dachy, pozwoli się uzbroić, odbuduje dawną potęgę i przywróci
tron rodowi
Ysse. Widział w tym nieprzebranym bogactwie korony - kilka było nasadzonych na
trupie
czaszki; widział miecze o złożonych rękojeściach tkwiące w zdobnych pochwach
wciąż
jeszcze przytwierdzonych do nagich kości udowych. Oszołomiony brodził po kostki
w
monetach, na których wybito nieznane mu twarze. Smok porywał władców z odległych
krain.
Ich odziane w złotogłów szkielety, ze złotymi koronami na czołach i złotymi
pierścieniami na
palcach, szczyrzyły zęby w mroku. Jeden jakby próbował chwycić Thayne'a za
kostkę.
Thayne potknął się o jego dłoń i przewrócił; usłyszał trzask pękającego
kręgosłupa, przed
oczami miał kikut ręki. Żołądek podszedł mu do gardła, ciarki przeszły po
plecach. To
miejsce pełne było duchów.
Rozejrzał się za czymś, w co mógłby nabrać złota, bo nie chciał wychodzić stąd z
pustymi rękami. Myśli kłębiły mu się w głowie. Musi odnaleźć swojego konia. Musi
albo
zaszlachtować smoka, albo nauczyć się jego języka ognia i złota. Musi się strzec
rycerza z
Gloinnere, który nie mając pojęcia o magii i bardziej ceniąc sobie złoto, będzie
próbował
smoka zabić. Znalazł złoty hełm i napełnił go po brzegi złotymi monetami. Może
znajdzie w
Skye kogoś, kto nauczy go... Ślizgając się na stosach złota i tuląc zdobycz do
piersi, zaczął
szukać na ścianie miejsca, przez które się tu dostał. Znalazł je przed
ukoronowanym
szkieletem siedzącym na złotym napierśniku. Obejrzał się jeszcze raz na
nieprawdopodobne

bogactwo, od którego złościło się nawet powietrze. I wszedł w ścianę.

Kamień go nie przepuścił.

Spróbował jeszcze raz.

I jeszcze raz.

I jeszcze.

Poczuł trwogę uwięzioną wciąż w rozrzuconych wokół piszczelach.

Wieża wpuściła go do środka, ale ilustracja w księdze ojca ukazywała prawdę. Nie było stąd wyjścia.

Zrezygnowany usiadł na hałdzie złota.

Z ukoronowanej trupiej czaszki coś wysunęło się ukradkiem jak mysz. Dostrzegł to kątem oka. Przemknęło do złotego pucharu i zniknęło w cieniu. Coś małego, obrzydliwego i

milczącego wkradało się do jego myśli, podsuwało wizje, a czas może płynął, a może nie.

Trudno to było stwierdzić w niezmiennym, bezgłośnym wnętrzu wieży. Kiedy dobrze nastawił ucha, słyszał bicie własnego serca; kiedy się poruszył, słyszał brzęk osuwających się

monet. I to wszystko. W tej ciszy słyszałby nawet pająka tkającego sieć.

Obmacał wokół siebie wszystkie kamienie, przesypał z miejsca na miejsce góry złota

w nadziei, że znajdzie pod nimi ukryte wyjście. Starł sobie dłonie do krwi. Na kamieniach,

które próbował podważać, wyginało się złoto, pękały noże, złamał się nawet buzdygan o

złotym trzonku. W końcu zaczął walić w ściany mieczami, ciskać w nie tarczami i talerzami,

krzyczyć co siłą, a wszystko po to, by zwrócić na siebie uwagę smoka. Może rozdrażniona

bestia wsunie łeb do wieży, by przywołać go do porządku, a wtedy ucieknie stąd za

wycofującym się smoczym łbem, jeśli wcześniej nie zostanie pożarty, ma się rozumieć. W

pewnej chwili poczuł ruch smoczego cielska. Monety podskoczyły i zadzwoniły o posadzkę,

szczęknęły tarcze; kości zastukały głucho o kamienie. Sięgnął po miecz i czekał.

Ale bestia najwyraźniej znowu zapadła w sen, tak jakby harmider, którego narobił,

obszedł ją nie bardziej niż opadające na ziemię nasionko dmuchawca.

Wyczerpany legł na złocie jak na stogu siana. Craiche, bracie! - pomyślał w odrętwieniu. Nigdy się nie dowiesz, co się ze mną stało. Była to jego ostatnia zborna myśl.

Potem tylko obserwował bezrozumnie małe, zwinne, podstępne wyobrażenie śmierci przemykające między zapadniętymi żebrami, nurkujące pod rozrzucone kości ręki.

Zasnął w

końcu, a może śnił na jawie. W wieży zrobiło się smoliście ciemno, powietrze zdało się

zestalić i nabrać wagi. Oddychał czernią.

Usłyszał dźwięki harfy.

Wspinał się po schodach na szczyt wieży w Ysse, gdzie czekał na niego ojciec.

Kto

gra na tej harfie? Myślał, że harfistka już odjechała. Muzyka była piękna i

starodawna,
przywołała na myśl coś utkanego z morza i wiatru. Dotarł na szczyt wieży. Za
drzwiami
ujrzał izbę wypełnioną złotem i kośćmi zaginionych książąt. Ojca w niej nie
było. Na stosie
monet siedziała stara kobieta i grała na sporządzonej z puszczeli harfie.
Uśmiechnęła się do niego. Głęboko osadzone oczy miała czarne jak cień zalegający
w
kątach izby.

- Thaynie Ysse.

- Słucham - powiedział, dziwiąc się przez sen, że ani trochę nie jest zaskoczony
na jej
widok.

- Masz coś, na czym mi zależy.

Parsknął nerwowym śmiechem, żeby ukryć nagły strach.

- Mam całe złoto świata, a zarazem nie mam nic.

- Masz coś, na czym mi zależy - powtórzyła i szarpnęła kciukiem jedną strunę.

Spojrzała na niego oczami ciemnymi jak księżyc w nowiu. - Jeśli mi to dasz,
pokażę ci, jak
stąd wyjść.

Lepka ciemność utrudniała mu oddychanie. Przypomniała, mu się stara matrona z
innego snu, próbująca wyłowić ze strumienia rogaty księżyc. Wypowiedział wtedy
słowo

„smok”, a ona zamieniła się w ogień.

- Nie mam niczego, co mógłbym ci ofiarować - powiedział.

Kobieta, nie spuszczać zeń wzroku, trąciła jeszcze jedną strunę i wydobyła z
niej
wysoką nutę.

- Nauczę cię, jak wypowiadać słowa „smok” i „złoto”.

- Czego żądasz w zamian? - wyszeptał.

- Daj mi Craiche’a.

- Nie! - krzyknął ogarnięty takim przerażeniem i furją, że postać kobiety
rozmasała

mu się na moment przed oczami. Struna harfy nadal brzęczała cicho. - Nigdy nie
oddam ci

Craiche’a!

- Nigdy. To bardzo długo.

- Prędzej dokonam tu żywota.

- Owszem. Robi się coraz cieplej, czujesz?

- Po co ci Craiche?

- Upatrzyłam go sobie. - Wstała. Była nieco wyższa, niż zapamiętał. Jej twarz
przypominała spękaną wysuszoną powierzchnię pustyni wokół smoczej wieży. -
Mogłabym

go sama sobie wziąć, kiedy ty będziesz tu umierał. Zanim skonasz z głodu,
postradasz z

bezcynności zmysły, więc nie doświadczysz wielu cierpień. Smok widzi cię
poprzez te

kamienie. Wie, że tu jesteś. Nie przyniosłeś mu nic, prócz swoich złotych
włosów, a one

wkrótce stracą blask. Przetrwają jedynie twoje kości. Jeśli nie wrócisz do Ysse,
Craiche

znowu podburzy Wyspy Północne przeciwko Yves i na wyspach zostaną tylko ptaki.

- Nie zdołałby... Nikt by go nie posłuchał...

- Ja go posłucham. - Uśmiechnęła się tajemniczo. - Wywołał już moje imię.

- Nie! - krzyknął Thayne i obudził się.

W wieży robiło się coraz duszniej. Południe, domyślił się, słońce stoi w zenicie i pali

równinę. Otarł pot z twarzy, w ustach miał sucho. Zaczął rozpamiętywać swój sen.

Myliła się,

pomyślał beznamiętnie. Nie zdązę postradać zmysłów z beczynności, wcześniej oszaleję z

pragnienia. Położył się znowu na monetach i wysoko nad sobą zobaczył prostokąt błękitu. A

więc wieża była od góry otwarta. Przypomnił sobie, że we śnie istniało z niej wyjście. Co

mówiła ta starucha? Pokażę ci, jak stąd wyjść...

- Jeśli... - szepnął. - Jeśli...

Ciekawe, co zrobiłaby z Craiche'em. Zresztą nieważne. Nigdy nie narazi życia Craiche'a. Prędzej napije się tego płynnego, rozgrzanego powietrza i skona.

Czas włókł się niemiłosiernie. Thayne leżał wpatrzony w zwężający się prostokąt błękitu i wybierając jedną po drugiej monety ze stosu, rzucał nimi o ścianę.

Kiedy błękit

ściemniał i poczerniał, pomyślał o harfistce. To ona go tu zwabiła. Powiedziała ojcu, że ten

smok naprawdę żyje gdzieś w Skye.

- Cóż - mruknął, odchodząc od zmysłów z pragnienia - pozostaje mi tylko wybrać sobie koronę i obwołać się królem Wysp Północnych. Oto Regis Aurum uwalnia się od

niepokornego rodu, który śmiał się przeciwstawić jego rządowi... Nie dość nisko, jak na jego

gust, schyliłem głowę, kiedy się poddawaliśmy, a lało wtedy jak z cebra... -

Wspomniał z

rozkoszą ulewę, strugi deszczu. Wystarczyło otworzyć usta i pić, pić... Deszcz zmienił się w

złoto w bezlitosnym tyglu wieży... Wsunął sobie monetę do ust, szukając w niej wspomnienia

wody i zakrztusił się suchym metalem. Zamknął oczy. Łzy płynęły mu po policzkach. Spijał

je łąpczywie. Były gorzkie jak złoto.

Przed oczami stanął mu Craiche, uśmiechnięty Craiche, który niczego się nie bał.

Próbowałem, powiedział mu Thayne. Tak, próbowałem. Potem ujrzał, jak ranny brat pełźnie

w deszczu z mroku w blask pochodni. Craiche odpychał się jedną nogą, drugą włókł za sobą.

Miał przecięte ścięgna pod kolanem, z rany lała się krew. Szlochał cicho, kiedy Thayne brał

go na rękę. Drżał na całym ciele, próbując stłumić ten szloch, żeby wrogowie nie usłyszeli,

jak płacze.

- Niosłem cię na rękach - wyszeptał do niego Thayne - przez prawie całą drogę powrotną do Ysse.

Zamilkł i śnił przez chwilę o złotych pucharach, które rozsypują się w złoty proszek,

kiedy chce się z nich napić. Potem otworzył z trudem oczy i pomyślał: Jest stąd

wyście. Ona
powiedziała, że jest. I znowu ujrzał Craiche'a, tym razem siedzącego na
stopniach wieży z
księgą i próbującego go przekonać, że w tym, co trzyma w rękach, jest magia.
- Może to wyście otwierają słowa... - wyszeptał Thayne.
Podźwignął się ze stosu monet i stanął na drżących nogach, zastanawiając się, do
której części cielska smoka zwraca się przez kamienną ścianę.
- Nie potrafię rozmawiać ze smokami - wykrztusił, ledwie rozpoznając swój
schrypnięty głos. - Przybyłem tu, by ukraść twoje złoto i zabrać cię na Wyspy
Północne,
gdzie jest zimno, wilgotno i gdzie szumi morze. Chciałem, żebyś wypalał ogniem
drogę armii
Ysse i Wysp Północnych maszerującej przez Yves na południe do Gloinnere, by
uderzyć na
Regisa Auruma w jego stolicy. Za twoje złoto chciałem kupić chleb i broń dla
Wysp
Północnych. Chciałem, żebyś pomógł nam w walce o wolność. Nie wiem, czym jesteś,
ani
czego prócz złota pożądasz. Nie mogę ofiarować ci złota, bo go nie posiadam. W
ogóle
niewiele posiadam. Może mógłbym coś dla ciebie zrobić.
Czekał. Noc wokół wieży była nieruchoma jak kamień. Z otworu w szczycie wieży
zniknęły gwiazdy. Ledwie rozróżniał tam linię podziału między czernią nocnego
nieba a
jeszcze głębszą czernią kamienia. Naraz ze stosu, na którym leżał, osunęła się
garść monet.
Złoty pucharzek przewrócił się z dźwięcznym stukotem. Thayne wyczuł pod stopami
wibracje.
Olbrzymia bestia za murem się poruszyła.
Odetchnął. Gardło miał suche i zaciśnięte.
- A więc mogę? - zapytał. - Jestem nieoświeconym mieszkańcem Północy w krainie
pełnej magii. Znam się tylko na wojaczce i pracy. I trochę na miłości. Nie znam
żadnych
magicznych słów. Nie wiem, jakim językiem mówią smoki. Potrafię określić słowami
to, co
widzę w tej wieży. Bogactwo. Piękno. Władza. Śmierć. To właśnie chcę zabrać ze
sobą do
Ysse. Nie wiem, jaka jest tego cena.
Smok znowu się poruszył. Miecz oparty o ścianę przewrócił się i uderzył o
kamienie;
z jego rękojeści wypadł klejnot. Korona zsunęła się z jakiejś czaszki i
potoczyła po stosach
złotych monet. Zza grubejściany wieży dobiegło stłumione smocze westchnienie
zdolne
rozpętać piaskowe burze i trąby powietrzne. Thayne odniósł wrażenie, że w głowie
ma tylko
złoto, że słońce wlewa mu się w oczy i obraca jego myśli w światło. Opadł na
klęczki,
zasłonił twarz dłońmi. Kiedy po chwili opuścił ręce, świat skąpany był w złocie;
przemknęło
mu przez myśl, że ten blask go oślepi.
I nagle ujrzał ogromne ślepie przypatrujące mu się poprzez ścianę wieży. Wstał.

Nogi

pod nim drżały. Słyszał echo własnych słów. Zapomniał o strachu; pod tym złotym, nieruchomym spojrzeniem nie było miejsca na lęk. W ciszy słyszał bicie smoczego serca.

- Thaynie Ysse - doszedł go syk przypominający szum wiatru w jaskini.

I teraz usłyszał bicie własnego serca. Zwalniało, by zrównać się z rytmem serca smoka. Czuł, że krew płynie w nim małymi rzeczками i spada kaskadami w tajemne otchłanie, płonąć niczym ogień kolorami złota. Wiedział, że potrafi latać, potrafi ścierać z

nieba gwiazdy wymachami potężnych skrzydeł, pluć ogniem na słońce.

- Słucham - spytał. Był tylko odbiciem w smoczym ślepiu, myślą w ognistym umyśle smoka.

- Dam ci wszystko, co znajduje się w tej wieży. Bogactwo. Piękno. Władzę. Śmierć.

- Tak.

- Spalę dla ciebie na popiół wieże Gloinmere.

- Tak.

- W zamian chcę tylko jednego.

Thayne usłyszał znowu bicie własnego serca, szybsze teraz, ciche.

- Czego? - wykrztusił.

- Daj mi Craiche'a.

Thayne odwrócił się powoli plecami do smoczego ślepiu i osunął na stos złota.

Czekał.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Cyan Dag klęczał w gęstych zaroślach nad rowem przecinającym zbocze wzgórza w wysuniętej najdalej na północ części Ysse. Padał deszcz. Rozmiękle, porośnięte bujną trawą

pastwiska skrzyły się w blasku pochodni. Można by pomyśleć, że to gwiazdy pospadały wraz

z deszczem z nieba, które pozostało smoliście czarne. Pod rozłożystym krzakiem, przykryty

przemoczonym płaszczem Cyana, leżał wstrząsany dreszczami Regis Aurum. Wokół panowała cisza; najbliższa pochodnia minęła ich już, sycząc i dymiąc w deszczu.

Posuwając

się zygzakami, docierała teraz do szczytu wzgórza, niosący ją człowiek szukał zabitych.

Regis coś wymruczał. Cyan namacał w ciemnościach jego ramię. Nie widział twarzy króla, ale zdawał sobie sprawę, że znalazł się na tym zboczach we wspomnieniach.

Niedawno

koronowany władca walczący o utrzymanie w całości swojego królestwa wygrał tę bitwę, a

teraz pod krzakiem, w deszczu, toczył następną - o swoje życie.

- Gdzie się wszyscy podziali? - zapytał gniewnie. - Każ im przynieść ogień! I dlaczego

deszcz pada mi na łóżko? - Przestał panować nad głosem, syknął z bólu. Chwytał Cyana za

rękę. - Ktoś ty?

Właśnie, kto? - pomyślał Cyan. Tak jak przed laty czuł zimne krople deszczu spływające po szyi, czuł słodki zapach wilgotnych liści. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat to

mu się przypomniało. Król krwawił obficie, trafiony ostatnią chyba, wystrzeloną na oślep

strzałą, jaka nadleciała od strony armii Wysp Północnych wycofującej się w popłochu przed rycerzami Regisa ku lasowi na szczycie wzgórza, znaczącej swój ślad trupami i rannymi. Cyan zeskoczył z konia i wciągnął Regisa pod krzak, by nie stratowały go rumaki bojowe. Rycerze króla i buntownicy z Wysp Północnych zniknęli w lesie. Został sarn przy rannym władcy. Bitwa była zacięta i krwawa. Najlepsze doradcy króla strzała przeszły gardło; już do końca życia pozostał niemową. Najmłodszy kuzyn władcy odruchowo zasłonił się ręką przed strzałą i padł z dłonią przybitą do oka. Rycerze, ogarnięci furją, ścigali wycofującą się armię dalej, niż musieli. Kiedy wreszcie zaprzestali pościgu i w zapadającym zmierzchu zaczęli zbierać swoich rannych, nikt już nie pamiętał, kiedy i gdzie zniknął zwycięski król.

- Ktoś ty?

Cyan, czuwający w krzakach przy rannym królu, wiedział, że wokół są tylko martwi i ranni. Wypatrując powracających rycerzy, starał się uciszyć króla. Zapadła już noc, kiedy dostrzegł pierwsze pochodnie zbliżające się wolno od stóp wzgórza. Byli to wyspiarze z Wysp Północnych szukający w wysokiej trawie swoich rannych i zabitych. Cyan słyszał, jak nawołują się przyciszonymi głosami. Głos skarżącego się na chłód i wilgoć Regisa tonął zrazu w krzykach, jękach i szlochach dobiegających z pobojuwiska. Kiedy pochodnie się zbliżyły, Cyan próbował króla uciszyć. Wiedział, że jeśli wyspiarze znajdą władcę Yves, obaj zginą tu, pod krzakiem, w deszczu, pomimo odniesionego zwycięstwa.

- Ktoś ty?

- Regisie - szepnął - bądź cicho. Jestem ranny i zabiją mnie, jeśli cię usłyszą.

- Nie obawiaj się, Cyanie - odszepnął król, ściskając rękę Cyana. - Pozabijam ich, zanim zdążą cię tknąć.

- Bardzo mi zimno.

- Wiem. Wilgotno tutaj. Gdzie jesteś ranny?

- W lewy bok, nad sercem. Może mnie nie znajdą, jeśli zachowasz milczenie. I nie będziesz się ruszał... Uwaga!

Przesunął się nad nimi blask pochodni. Ktoś przepatrywał zarośla obsypane drobnymi kwiatkami. Król stłumił jęk, przygryzając dolną wargę. Ludzie z pochodniami, przeczesujący po ciemku nieznanym sobie teren, zebrali się niedaleko ich kryjówek. Było ich kilkunastu, wszyscy zmęczeni, ubłoceni, zgorzkniali.

- Kogo brakuje? - pytali jeden drugiego.

- Eana Muldara.

- Nie żyje. Zniosłem go już na dół.
- Mojego brata - powiedział ktoś. Pochodnia rozbłysła, oświetliła twarz i Cyan

omal nie krzyknął. Był to Thayne Ysse. Poznałby wszędzie tego szczupłego, przemoczonego do suchej nitki mężczyznę po żółtych oczach i złotych, choć dłuższych wtedy włosach.

- Chciałeś chyba powiedzieć ojca - zauważył ktoś. - Znaleźli go już w lesie. Jest ranny, ale się wylize...

- Nie - wpadł mu w słowo Thayne. - Mówię o Craiche'u.

- O Craiche'u? - powtórzył ktoś z niedowierzaniem.

- Przecież zostawiłeś go w domu, żeby doił krowy, na pewno...

- Nie został w domu - burknął Thayne. - Widziałem się z nim dzisiaj.

Powiedziałem

mu, gdzie ma czekać, ale tam też nie został.

- Widziałem jakiegoś chłopca biegnącego z nami przez las - odezwał się ktoś. - Myślałem, że to ktoś z tych wzgórz.

- Przez jaki las?

Pochodnia pochyliła się, wskazała pod górę.

- Tamten. Craiche z nami przyplłynął? Niemożliwe! Ma dopiero dwanaście lat; gdyby wsiadł na którąś z łodzi, ktoś by go zobaczył...

- Umie wiosłować. - Cyan wyłowił w głosie Thayne znajomą, hamowaną furię. -

Popłynął za nami. - Thayne odwrócił się gwałtownie. Blask jego pochodni oderwał się od

pozostałych i zaczął oddalać pod górę. Ktoś z cicha przeklął Regisa Auruma.

Pochodnie

rozdzieliły się, rozwinęły w tyralierę i ruszyły w kierunku lasu na szczycie wzgórza.

- Cyanie - szepnął Regis, kiedy znowu ogarnęły ich ciemności. - Żyjesz jeszcze? Znaleźli cię?

Cyan milczał. Pamiętał, że odpowiedział wtedy: „Nie Regisie. Nie znaleźli mnie”.

We

wspomnieniach głosy w ciemności były niewyraźne, ledwie zrozumiałe, zupełnie jakby

wyspiarze z Wysp Północnych mówili innym językiem. We wspomnieniach nie było Thayne'a Ysse pytającego o dwunastoletniego brata, tylko kilkunastu zbrojnych mężczyzn o

twarzach ledwie widocznych w blasku pochodni, których głosy Cyan, skoncentrowany na

uciszaniu Regisa, ledwie słyszał. „Nie żyje... Cały i zdrowy... Tam, na górze”.

Potem ruszyli

dalej ku szczytowi.

- Nie, Regisie - odrzekł Cyan, dygocząc z zimna i ulgi. - Nie znaleźli mnie.

Tak, powiedział do tego, kto słuchał go w ciemnej wieży. Znaleźli mnie.

Uspokojony Regis zasnął wtedy. Cyan, wsłuchany w jego ciężki, chrapliwy oddech, jedną dłoń zaciskał na rękojeści miecza, drugą trzymał na czole króla Deszcz łaf bez ustanku.

Trwało to długo, ale w końcu Cyan zobaczył pochodnie wracające nierówną tyralierą od

szczytu. Kiedy czoło tej tyraliery znalazło się w połowie stoku, nad drzewami pojawiła się

ostatnia wędrująca gwiazda. Pochodnia sunąca na końcu skręciła w stronę zarośli.

Rycerz

mocniej zacisnął palce na rękojeści miecza. Jak na złość król akurat w tym momencie jął

rzucać głową na boki.

- Wody! - sieknął.

Cyan nie miał pewności, czy to prośba, czy skarga. Blask pochodni sunął ku nim od

szczytu wzgórza, oświetlając korzenie, splątany gąszcz; suche liście zajmowały się od niej i

płoneły. Rycerz wstrzymał oddech. Nie spuszczać oka ze zbliżającej się

pochodni, myślał

chłodno: Zabiję go, kiedy tu dotrze. Potem chwycę upadającą pochodnię i pójdę z nią za

innymi w dół stoku, by nie zauważyli, że jednego ubyło, a przy pierwszej sposobności położę

ją na ziemi, zawrócę... ukryję jego zwłoki w krzakach...

- Cynie! - jęknął król obudzony przyciszonym gwarem zbliżających się głosów i ostrożnym stąpieniem.

- Nic nie mów - szepnął Cyan - bo mnie znajdą.

Słyszał już trzask łamanych gałązek, widział małe eksplozje płomieni, które gasły z

sykiem na deszczu. Król, zwrócony twarzą w dół stoku, nie widział ich, ale słyszał;

zaniepokojony obrócił głowę, nic jednak nie powiedział. Cyan spojrzał znowu na zbliżającą

się pochodnię.

Nie wiedziałem wtedy, że ogień ma imię, pomyślał.

- Thaynie! - zawołał ktoś cicho od strony otwartego stoku. Pochodnia poruszyła gwałtownie przy zaroślach. - Pomóż mi!

Pochodnia po chwili wahania ruszyła w tamtym kierunku. Inne płomienie zbiegły się

w jedno miejsce, oświetliły leżącego w mokrej trawie człowieka. Po chwili jedna z pochodni

upadła na ziemię, zaskwierczała i zaczęła przygasać. Podnoszony z ziemi ranny wydał z

siebie krzyk kruka. To głos mężczyzny, pomyślał Cyan, nie chłopca. Grupa poszukujących

zaczęła schodzić ze wzgórza.

Cyan puścił rękojeść miecza, dłoń mu drżała. Zwiesił głowę, wsparł czoło o gałąź i

dyszał ciężko. Drgnął, kiedy z ciemności dobiegł zadziwiająco trzeźwy głos Regisa.

- Umierasz? - spytał król.

- Nie - odszepnął. - Nie umieram.

Na stoku od jakiegoś czasu panowała cisza. Cyan przyłożył dłoń do piersi króla, żeby

sprawdzić, czy oddycha. Zamknął oczy. Gałęzie krzaków przytrzymały mu głowę; pod wpływem jego oddechu poruszały się liście i kwiatki. Śnił o deszczu. Ocknął się raptownie,

wysłuchał w oddech Regisa, w niezmienny mrok; powieki znowu mu opadły. Śnił, że w szumie deszczu słyszy czyjś płacz.

Obudził się znowu i zamrugał, bo woda zalewała mu oczy. Wyczuwał, jak pod jego dłonią wznosi się i opada pierś króla oddychającego płytko, nierówno. Regis wymamrotał coś przez sen czy w malignie, ale zaraz się uspokoił. Cyan uniósł głowę i rozejrzył się. Nie widział nic, tylko mrok, nie słyszał nic, tylko szum deszczu. Noc zastygła w jakiejś strasznej, zaczarowanej godzinie; już na zawsze tak zostanie, świt nigdy nie nadejdzie, deszcz będzie padał wiecznie... Usłyszał w deszczu czyjś płacz. Był to cichy, spazmatyczny szloch. Przez pół nocy dochodziły go podobne dźwięki i zdążył już na nie zubożeć. Ten zwrócił jego uwagę, był bowiem piskliwy, czysty. Kobieta? Dziecko? Nie, chłopiec. Szloch dał się słyszeć znowu. Cyan zmartwił, po plecach przebiegł mu dreszcz trwogi zimniejszy od deszczu. Czyżby to duch poległego snujący się po poboju? - Thaynie! - rozległ się jęk. Potem przez długi czas nie było nic słychać. Cyan siedział z otwartymi ustami, wyężając wzrok i słuch. Nie pamiętam tego, myślał. Nie pamiętam. Może słyszałem głos chłopca przez sen. Śniłem, że mi się to śni... - Thaynie! - rozległo się znowu pośród monotonnego szumu ulewy. Regis, jakby to usłyszał, poruszył się niespokojnie i też jęknął. Cyan przeniósł dłoń na jego czoło. Król westchnął głęboko i uspokoił się. Dygotał jednak z zimna. - Thaynie! - stęknął znowu chłopiec. Był jakby bliżej, choć może tylko o kilka kropel deszczu, kilka ździebeł trawy. Chyba czołgał się w dół stoku. Cyan z trudem przełknął ślinę. Nic nie zrobiłem, pomyślał. Nic na to nie poradzę. Nie mogę zmienić wspomnień. - Thaynie! Nie zostawiłem króla. Potem słyszał już tylko deszcz szumiący między liśćmi, bębniący cicho, natarczywie o ziemię. Zadarł głowę, otworzył usta i pił krople ściekające z liści. Po chwili znowu nastawił ucha, bo wydało mu się, że słyszy oddech chłopca. Zasnął znowu. Obudziło go kwilenie. To król, pomyślał. Ale Regis leżał nieruchomo. Przestraszony Cyan przystawił ucho do jego piersi. Zrobił to zbyt gwałtownie. Król jęknął z bólu. A więc żył! Płacz w ciemności urwał się jak nożem uciął. Po długim czasie rycerz usłyszał oddech w trawie przy krzakach. Oddech urywany, świszczący, a mimo to tak cichy chłopiec nie zdawał sobie pewnie sprawy, że go słychać. Cyan zamknął oczy. Kiedy ruszył, stapał jak we śnie, bo przecież prędzej by umarł, niż zostawił rannego

króla samego pod krzakiem. Zamykał uszy na cichy szelest zarośli, na zdławione sapnięcie

przestraszonego chłopca. Zamykał uszy na głos Regisa, który pytał o coś z niepokojem.

Przechesując po omacku trawę, trafił na szczupłe, drżące ciało i wziął je na rękę. Kiedy się

prostował, chłopiec syknął, z zadziwiającą siłą wpił mu palce w przedramię i szcękając

zębami zapytał:

- Kim jesteś?

Cyan nie odpowiedział.

Idąc wyciągniętym krokiem, zniósł chłopca ze wzgórza. Chciał jak najprędzej wrócić

do króla, zanim skończy śnić, że go opuścił. Chłopiec, po zadaniu kilku pytań, na które nie

otrzymał odpowiedzi, nie odezwał się więcej. Cyan milczał. U stóp wzgórza zobaczył ogniska

w kępie drzew. Kręciło się między nimi kilka ludzkich sylwetek. Dostrzegł strażnika, który

miał na piersi Lewiatana Wysp Północnych.

Położył chłopca pod drzewami w nadziei, że strażę go tam znajdą. Potem wycofał się

bezszelestnie i jał się wspinać z powrotem na wzgórze, czując, jak z każdym krokiem coraz

bardziej wybudza się ze snu, aż w końcu stał się znowu Cyanem Dagiem nasłuchującym w

deszczu zbolełego oddechu i przerażonym, że zostawił króla Yves, by ratować dzieciaka z

wysp, który szlochał na swoim pierwszym polu bitwy.

I kiedy usłyszał w końcu urywany, rzęzący oddech pod krzakiem, powiedział sobie: To się w ogóle nie wydarzyło. To był sen. Podpełzł do króla i nie zmrużywszy już

oka, czekał

świtu.

- Ani na moment go nie zostawiłem - powiedział wychodząc z zarośli na spotkanie rycerzom z Gloinmere, którzy przybyli w poszukiwaniu króla. Nie wiedzieć czemu Regis

potwierdził jego słowa.

- Czuwał przy mnie przez całą noc - powiedział swoim rycerzom. - Ani na moment mnie nie zostawił.

I tak na tonącym w deszczu pobojuwisku, a bardziej formalnie później, stał się Cyanem Dagiem, rycerzem z Gloinmere.

To się nigdy nie wydarzyło, pomyślał, kiedy zamykały się wokół niego gęste, bezgłośnie ciemności, a szum deszczu cichł we wspomnieniach. Cyan czuł zapach kamienia,

kurzu, kości, stojącej wody, popiołu - które zmieniają się tak powoli, że będą takie same

nawet wtedy, kiedy słowa, jakimi je nazywano, zostaną już dawno zapomniane.

Kiedy szarówka świtu wsączyła się do wieży, wstał. Mrużąc oczy, wyszedł w świt i przypomniał sobie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sel szła po spiralnych schodach na szczyt wieży. Na ostatnim stopniu zatrzymała się

zdyszana, dociskając dłoń do walącego serca. Melanthos tu nie było. Bardzo dobrze. Nie wiedziała jeszcze, że matka tu przychodzi. Gentian wiedziała, ale myślała, że Sel szuka jej młodszej siostry. Czas, który piekarka kiedyś trwoniła w portowej tawernie, spędzała teraz w wieży, nie wprowadzając żadnych zauważalnych zmian do swojego rozkładu dnia. Dziś też obie córki myślały, że poszła na piwo do Brenny; zostawiła je w piekarni, żeby sprzedały resztę ciastek i pasztecików. Lubiła patrzeć w zwierciadło. Nigdy nie wiedziała, co w nim zobaczy. Tym razem, kiedy czekała, aż serce się uspokoi, pokazało jej baraszkującego w wodzie ciemnobrazowego, lśniącego kłębuszek z błyszczącymi oczami i szczoteczką wąsów. Sel uśmiechnęła się, rozpoznając jedną z fok zamieszkujących port. Znała je wszystkie z odcieni brązowego futra, z czarnych i szarych cętek, z blizn, z wieku, znała też ich dzieci. Obserwowała je od lat z okna tawerny Brenny, popijając piwo. Czasami któraś umierała i morze wyrzucało ją na skalisty brzeg. Sel patrzyła wtedy, jak rybacy patroszą fokę i obdzierają ze skóry, jak rozpościerają tę skórę na skałach, żeby wyschła. Zbiegała się hałaśliwa dzieciarnia i zlatywały roje rozwrzeszczanych mew. Rybacy rzucali monetą. Ten, do którego uśmiechnęło się szczęście, szył sobie z foczej skóry płaszcz albo wodoodporne buty. Mięso i tłuszcz oddawali starszym wieśniakom. Kości zwracano morzu. Pewnego razu młoda jeszcze Sel, odczekawszy, aż leżący obok Joed zaśnie, wymknęła się w środku nocy z łóżka i pobiegła na skały, żeby zabrać foczą skórę. Nie mogła już sobie przypomnieć, do czego była jej potrzebna, pamiętała tylko, że ogarnęła ją nagle jakaś niezrozumiała pokusa, by unieść tę cuchnącą skórę do gwiazd i fal, i dać jej popatrzeć jeszcze raz na świat przez dziury po oczach. Ale skóry nie było. Ktoś ją uprzedził. Albo coś. A może rozpryskana po skałach krew była stara i zakrzepła, i ta foka umarła tylko w jej śnie. Foka ze zwierciadła zanurkowała i zniknęła; rozkołysana woda uspokoiła się po chwili, znieruchomiła, zblakła. Sel weszła do izby. W oknie za zwierciadłem widać było zachodzące słońce. Mgła nadpływała ku lądowi, ścigając wracające do portu łodzie. W nagrzanym słońcem wieży było jeszcze ciepło. Sel zzuła buty i usiadła wygodnie na macie. Starła się niczego tu nie przesunąć, chociaż podejrzewała, że Melanthos i tak by tego nie zauważyła. Całą siłą woli powstrzymała się od wylania starej herbaty, po której pływały

kosmate wysepki pleśni. Nawet Melanthos mogła spostrzec, że kubek został umyty. Lustro pokazywało jej strzępy obrazów - Melanthos nazywała je odpryskami opowieści. Sel najbardziej intrygowała kobieta w wieży, która, podobnie jak Melanthos, haftowała wszystko, co zobaczyła w swoim zwierciadle. Odznaczała się dziwną, podwodną urodą, tak jakby w innej opowieści była po części rybą. Wyglądało na to, że nie może się ze swojej wieży wydostać. A może wcale nie chciała z niej wychodzić. Chociaż dołem często przejeżdżali zbrojni i strojni rycerze, ona ani razu nie wychyliła się przez okno, żeby zawołać o pomoc. Sel widywała ją czasami stojącą przed kominkiem. Czasami jedzącą w samotności. Lustro nie pokazywało, kto rozpala ogień na kominku, kto przynosi posiłki. Sel nie widziała nigdy w tamtej izbie nikogo innego. Równie niejasne wydawały się początek i zakończenie historii kobiety. Sel uznała, że stare zwierciadło ich nie pamięta, że snuło czasem jakieś osobiste marzenia. Sel też marzyła. Odzywały obrazy i wspomnienia, które szybko gasły: Joed naprawiający żagiel, Gentian biegnąca po piasku z dłońmi pełnymi muszelek, ona sama rozpaczająca nad jakimś małym rozbitym naczyniem tuż przed śmiercią Joeda. A może tuż po niej? Zwierciadło nagle poczerniało jak zamykające się oko. Sel zamrugła, czekała. Nic. Wpatrywała się w nie ze wzmożoną uwagą. Pozostawało czarne przez dłuższy czas. Sel zżerała ciekawość, jaką opowieść będzie próbowało zacząć lub zakończyć. I nagle ujrzała szron księżycowej poświaty na czarnym kamieniu. Wytężyła wzrok i odróżniła mrok od mroku - kamień od nocy, noc od cienia padającego na kamień. Ten cień powiększył się, wypełnił całą lustrzaną taflę. W nieprzeniknionej czerni coś się poruszało. Otworzyło się oko. Sel patrzyła w nie z zapartym tchem. Było czarne jak księżyc w nowiu. Myśli zdawały się przepływać przez nie jak chmury nad morzem. Sel przysunęła się bliżej, tak jakby chciała odczytać odbijające się w oku myśli. Patrzyło na coś beznamiętnie. Czyżby na śmierć? Mrugnęło, a Sel przysunęła się jeszcze bliżej. Jej ręce drgnęły, coś sobie przypomniały. Chyba zaplatanie włosów. Albo fale na wzburzonym morzu. Rybacy wrócili kiedyś z połowu roztrzęsieni. Zeszła wtedy do portu, żeby powitać Joeda, i słyszała, jak mówili: „Nigdy nie widzieliśmy czegoś takiego. Fala wypiętrzyła się aż pod niebo na spotkanie księżycowi w pełni a księżyc się przed nią cofnął”.

I ta dziwna fala dołączyła do innych niesamowitych opowieści o ludzkich twarzach patrzących z wody w mgliste popołudnie i o rybach z rogiem jednorożca.

Kiedys... kiedys robiłam takie rzeczy, pomyślała Sel.

Ale młodość dawno przeminęła. Sel poprawiła się na macie, opędzając się od wspomnień, i w tym momencie zwierciadło się rozszrebrzyło.

Sel zamruwała. Zmarszczki wokół oka wygładziły się i ułożyły w zdobną ramę okalającą to srebro. Oko stało się zwierciadłem i zdumiona Sel je rozpoznała.

- A gdzie się podziała dama? - mruknęła pod nosem.

Wsunęła się w pole widzenia chwilę później. Nie siedziała już spokojnie na krześle

pod oknem, zapatrzona w obrazki ze świata przesuwane się przez jej zwierciadło. Chodziła

nerwowo od ściany do ściany. Rozwiały się gdzieś siła i moc jej magicznej nieruchomości, jej

kamienno milczenia i mechanicznych ruchów. Miotła się tam i z powrotem po kolistej

izbie jak ryba w wiadrze. Sel zwróciła uwagę, że unika zbliżania się okna.

Chodziła ze

zwieszoną głową, zamiatając podłogę ciężkimi fałdami sukni, to otwierając, to zaciskając w

pięści przyciśnięte do ud dłonie. Nie odrywała oczu od dywanu w białe lilie rozkwitające na

złotym tle. Zupełnie jakby chciała wydeptać między nimi ścieżkę.

Była bardzo piękna. Unosiła od czasu do czasu rękę, żeby odgarnąć za ucho pasemko

białozłotych włosów, i Sel widziała wtedy jej szlachetny rybi profil, jej naciśnięte usta, brwi

koloru najjaśniejszego złota ściągnięte nad błękitnymi jak niebo oczami, nad powiekami

delikatnymi i przezroczystymi jak muszle. Obrazy w stojącym za nią zdobnym zwierciadle

wciąż się zmieniały. Oto jastrząb nurkujący spod nieba w wodę i wzbijający się w powietrze z

rybą w dziobie, oto chmara kosów na tle pogodnego błękitu, oto jeździec zbliżający się drogą.

Co by się stało, gdyby kobieta nie zobaczyła jeźdźca w zwierciadle? - przemknęło Sel

przez myśl. Gdyby przejechał niezauważony, a ona nie uwieczniła go w hafcie?

Co by się stało, gdyby zamiast w zwierciadło spojrzała teraz w okno za nim i zobaczyła jeźdźca na nakrapianej słońcem drodze?

Co by się stało, gdyby się wychyliła i zawołała do niego?

Przeszłość i terażniejszość, i beczasowe legendy zbiegły się, przemieszały w umyśle

Sel. Kobieta wyszła z opowieści i uwięziona, bezradna, chodziła nerwowo gdzieś tam w

czasie. Może w Skye?

Sel pochyliła się ku zwierciadłu.

- Wiem - szepnęła do kobiety. - Wiem.

Kobieta zauważyła jeźdźca w swoim zwierciadle. Zatrzymała się w pół kroku i patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami, w których malowały się rozpacz i nadzieja.

Usiadła szybko i sięgnęła po nici. To samo uczyniła Sel; nie wiedziała, po co to

robi,
ale nagle zapragnęła przenieść na płótno magię, którą czuła w ruchach swoich rąk.
Jakiś czas potem z transu wyrwał ją krzyk. Melanthos! - pomyślała, ukrywając nici i płótno w piętrzącym się na podłodze stosie przyborów do haftowania. Podeszła do okna.
Na dole stał wóz wypełniony splątanymi ciernisty, mi gałęziami, a przy drzwiach miotał się jak w ukropie Anyon w długich po łokcie, grubych rękawicach.
Wychyliła się jeszcze bardziej. Nie widział jej, podobnie jak nadbiegającej ścieżką Melanthos.
Pracował zapamiętale, tarasując drzwi do wieży. Stos kolczastych gałęzi sięgał już połowy ich wysokości.
Melanthos znowu krzyknęła. Była zbyt wzburzona by zauważyć matkę wyglądającą z okienka na szczycie. Dopadła do Anyona.
- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnęła, kopiąc go i okładając pięściami. Zaskoczony stracił równowagę. Twarz miał już podrapaną cierniami, teraz krew pociekła mu z wargi rozciętej piąstką Melanthos. - Co ci dołba strzeliło?!
Chciał ją chwycić za ręce, ale kopnęła go w kolano i upadł. Uderzyła go pięścią w głowę, a zaraz potem kolaniem w szczękę. Złapał szlochającą dziewczynę za nogę i pociągnął na siebie. Leżał, dysząc ciężko i tuląc ją do siebie.
- Przestań - wykrztusił błagalnie. - Proszę.
- A gdybym była tam na górze?!
- Widziałem cię wcześniej... Jak pracowałeś w piekarni... Chciałem... Chciałem tylko z tobą porozmawiać... Przytulić cię... Ale ty ciągle przesiadujesz w tej wieży... a ja nie mogę tam za tobą wejść...
Wyswobodziła się z jego uścisku i uniosła na łokciach; Sel nie widziała jej twarzy.
- No więc wzniosłeś cierniowy mur między mną a tym, co robiłam.
Pociągnął ją z powrotem na siebie.
- Między tobą a tym, co cię opętało...
- A dlaczego nie nauczysz się po prostu wchodzić za mną? - zapytała, bębniąc piąstką w jego pierś. - W tej wieży nie ma nic, czego należałoby się obawiać.
- Może dla ciebie.
- Dla ciebie również, gdybyś mnie posłuchał.
Otarł sobie krew z warg.
- Przepraszam. - Westchnął. - Usunę te ciernie. Daj mi tylko odsapnąć.
- I tak bym je podpałiła. Nie powstrzymałyby mnie.
- Zupełnie ci mnie nie brakuje? - spytał ze smutkiem. Melanthos usiadła prosto i spojrzała na niego. Najwyraźniej nie potrafiła na to odpowiedzieć. Ich głosy stały się teraz cichsze. Sel podparła dłonią brodę i wyteżyła słuch.
- A tobie brakuje mnie, kiedy zamykasz się na całe dni w domu i tkasz pledy? -

spytała Melanthos.

- Nie - odparł ku zaskoczeniu Sel. - Bo wiem, że cię zobaczę, kiedy skończę.

Gdybym

nie miał tej pewności, rzuciłbym robotę i wybiegł cię szukać. Albo szukać

czegoś, co

wypełniłoby pustkę, jaką pozostawiłaś w moim sercu. Nie czujesz tego samego w stosunku do

mnie?

- Sama nie wiem.

Anyon odwrócił głowę.

- Nigdy tak o tym nie myślałam - ciągnęła Melanthos. - Nigdy się nie

zastanawiałam,

co by to było, gdybyś nie miał dla mnie czasu, kiedy cię potrzebuję. Zakładam z góry, że

zawsze będziesz miał dla mnie czas.

Spojrzał na nią znowu, zaciskając rozcięte wargi. Pochyliła się i pocałowała go.

Sel z

uśmiechem odsunęła się od okna i zeszła poprzez wspomnienia o Joedzie po schodach.

Wyszła przez cierniową zaporę z wieży. Dopiero trzask gałęzi przywołał ją do rzeczywistości;

zupełnie o nich zapomniała. Melanthos i Anyon gapiący się z otwartymi ustami przypominali

jej dwa śledzie.

- A wy co? - zapytała, udając oburzenie. - Chcecie mnie pogrzebać pod cierniami?

- Nie. - Anyon usiadł szybko. - Próbowałem tylko...

- Co robiłaś na górze? - spytała Melanthos. Patrzyła spod przymrużonych powiek na

matkę, która bez jednego zadraśnięcia pokonała przed chwilą zaporę z ciernistych gałęzi. -

Jak się tani dostałaś?

- Zwyczajnie - odparła krótko Sel. - Szukałam ciebie. Ciągle tam przesiadujesz, wcale

cię już nie widuje.

- No właśnie - westchnął Anyon - to samo jej mówiłem. I dlatego zatarasowałem cierniami wejście. Przepraszam. Nie miałem pojęcia, że ktoś jest w wieży.

- Usuń je stąd.

- Matko... - zaczęła Melanthos.

- Usunę - obiecał Anyon.

- To bez sensu szukać drogi na górę, tarasując sobie wejście. - Sel wygładziła rękaw

sukni. Wiedziała, o co zapyta zaraz Melanthos, i próbowała odwlec tę chwilę.

- Matko, jak przeszłaś przez te ciernie?

Zrazu nie zamierzała odpowiadać. Potem, nie spoglądając na córkę, wzruszyła ramionami.

- To chyba jeszcze jedna z magicznych sztuczek tej wieży. Muszę wracać do piekarni.

- Poszła w stronę starych kamiennych kikutów. - Ty zostań i pomóż Anyonowi.

- Matko! - krzyknęła Melanthos.

Sel szła dalej. Kamienny las skrzył się wokół niej rozproszonymi perełkami światła.

Usłyszała za sobą tupot biegnących stóp, a potem błagalny krzyk Anyona:

- Melanthos!

Tupot się urwał. Sel sama wyszła z lasu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Melanthos obserwowała kobietę z wieży.

Kobieta z wieży wpatrywała się z napięciem w zwierciadło, choć pokazywało tylko skaliste pagórki podświetlane przez zachodzące słońce. Melanthos ciekawa była, co matka

widziała dziś w zwierciadle. Sel spędziła w wieży cały dzień; pieczenie zostawiła córkom.

Melanthos po raz pierwszy od dłuższego czasu wstała przed świtem, żeby pomóc w porannym wypieku.

Oparła się ramieniem o ścianę u szczytu schodów i ziewnęła bezgłośnie. Sel nie słyszała, jak tu wchodziła. Haftowała, ale nie był to żaden konkretny obraz, lecz bliżej

nieokreślone plamy bladych brązów i szarości, kolorów, których w jej mniemaniu Melanthos

najmniej używała. W odróżnieniu od córki nie wyrzucała swoich robótek przez okno. Ich

stosik rósł w kącie niczym grzyb.

Zwierciadło rozbłysło nagle ogniem, jakby spojrział w nie smok. Drgnęły obie.

Melanthos wyrwał się z ust cichy okrzyk. Sel jęknęła. Ogień rozpląwał się nad spieczoną

pustynią niczym powiewające na wietrze płachty jedwabiu. W miejscach, któredy przeszedł

grunt skrzył się dziwnie. Może piasek stopił się w szkło. Sel odwróciła się gwałtownie,

potrząsając głową Melanthos, napotkawszy jej spojrzenie, odniosła wrażenie, że matka jej nie

poznaje. Oczy Sel, zamulone mętne, mieniające się kolorami niczym wodorosty, były dziwnie

puste, pozbawione wyrazu, niczym oczy jakiejś nieludzkiej istoty patrzącej na człowieka. Po

chwili Sel zamrugła i poznała córkę.

- Jesteś - mruknęła.

- A jestem - odparła sucho Melanthos. - I ty też. Co tu robisz?

- Szukam ciebie.

- Jak weszłaś tutaj?

- Zwyczajnie. Wieża mnie wpuściła. Nie słuchałam jej na schodach.

- Nie pierwszy raz tu jesteś. Coś haftujesz.

Sel wzruszyła ramionami.

- Żeby zająć czymś ręce. - Przyglądała się córce, która wciąż stała na podeście schodów. - Przeszkadza ci to?

Melanthos pokręciła głową i przekroczyła wreszcie próg.

- Nie. - Podeszła i usiadła obok matki. - Wiem, że tu przychodzisz. Nie wiem tylko po

co.

- Spokojnie tutaj. Nie wiedziałam, że gdzieś może być tak spokojnie. - Wskazała ruchem głowy zwierciadło. - Jeśli nie liczyć tego. Co to było?

- Nie wiem. Wygląda na to, że ktoś rozdrażnił smoka.

- Jakiego smoka?

- Tego, który strzeże wieży na odludziu.

- W Skye? - spytała z niedowierzaniem Sel.

- W legendzie - odparła Melanthos, wpatrując się w lustro. - A może w Skye. Co jeszcze widziałaś?

- Oko.

Melanthos popatrzyła na nią uważnie.

- Oko?

- Otworzyło się w mroku i spojrzało na mnie.

- Było ludzkie?

- Ludzkie - przyznała Sel po chwili zastanowienia. - I stare - dodała.

- Wydaje mi się, że coś obudziłaś.

- Co?

- Nie wiem. Na mnie ono nie chce patrzeć. - Melanthos milczała przez chwilę, wspominając rycerza. - Chyba coś realnego - podjęła cicho. - Tak sobie myślę...

Czy

zwierciadło aby na pewno pokazuje tylko fantazje. Niektóre sceny... sama nie wiem.

Wyglądają realnie.

- Na przykład ta pani z wieży - zasugerowała Sel.

- Widziałaś ją?

- Nie może wyjść z wieży, bo zwierciadło nie pamięta, jak kończy się jej historia.

Melanthos uśmiechnęła się.

- Być może. Ale gdyby istniała naprawdę, zawołałaby o pomoc. Nie widziałam nikogo, kto by ją tam siłą przetrzymywał.

- To samo czeka ciebie - powiedziała Sel - jeśli będziesz tu przesiadywała ze swoimi niemi.

Melanthos nie zareagowała na tę uwagę.

- Co jeszcze pokazało ci zwierciadło?

- Jedną z portowych fok. - Sel zawahała się. Nie wiedzieć czemu zrobiło jej się wstyd

przed własną córką. - Nazywam go Hultajem. Ma najdłuższe wąsy i futro jak brązowy

jedwab.

- Nadajesz imiona portowym fokom? - spytała ze zdumieniem Melanthos. - Ja też.

Ta mała, perłowa...

- Selka.

- Bohaterka. - Melanthos urwała i spojrzała na matkę z ciekawością. - Dlaczego nadałaś jej imię tak podobne do twojego?

- Lubię na nią patrzeć - odparła wykrętnie Sel. - Nie myślałam o nadawaniu jej imienia, po prostu nazwałam ją tak, żeby zapamiętać.

Melanthos kłua matę igłą. Sel unikała jej wzroku wpatrując się w zwierciadło.

Moje

oczy, pomyślała Melanthos. Moje oczy...

- Wyhaftowałaś jakąś scenę? - spytała.

- Nie. Palce mam za grube i za mało zręczne do takiej pracy. Zresztą nie zostałam o to

poproszona.

- Mnie też nikt nie prosił. Haftowałam z własnej woli.

- Ja nie. No i masz.

- Co mam? - mruknęła Melanthos, obserwując gęstniejącą w zwierciadle ciemność.

Ta

ciemność falowała, nabierała kształtów, stała się czarnym księżycem, który otaczały dziwne, pomarszczone wydmy, I naraz ten księżyc mrugnął. Melanthos wstrzymała oddech. Sel pochyliła się na macie, jakby chciała zobaczyć w czarnym oku odbicie tego, na co patrzyło. Ciemność rozwiła się niby mgła, odsłoniła samotną kobietę, idącą przez starodawną dąbrowę. Droga pokryta warstwą złotych zeschniętych liści biegła to z góry, to pod górę, okrążała grube korzenie, ale podążała uparcie ku zachodzącemu słońcu. Cienkie włócznie wieczornego światła przebijały się z trudem przez plataninę nieruchomych konarów, gałęzi i listowia. Przy samej ziemi blakły i ustępowały pola zmierzchowi, który zapadał powoli między drzewami, czał się w leśnym poszyciu. Wpatrzona w zwierciadło Melanthos zastanowiła, skąd i dokąd zmierza ta kobieta. Była wysoka, białe jak mleko włosy spływały jej na plecy. Miała na sobie długą do ziemi zgrzebną tunikę. Podpierała się sfatygowanym kosturem sporządzonym z prostej gałęzi odartej z kory i mniejszych gałązek, zwieńczonej wyszlifowanym przez jej dłoń zgrubieniem. Niosła coś na plecach na skórzanym pasie przerzuconym przez ramie, ale co to było, Melanthos nie widziała. Kiedy się zbliżyła, dziewczyna zauważyła na środkowym palcu jej lewej dłoni poczerniały ze starości srebrny pierścień, a właściwie obrączkę. Pociągła, zapewne piękną kiedyś twarz kobiety pokrywała teraz pajęczyna zmarszczek. Jej zapadnięte oczy o ciężkich powiekach, obserwujące bacznie drogę pod nogami, ciemniały szybko wraz z zapadającym zmierzchem. Kość, pomyślała Melanthos. Pył. Srebro. Ale nie widzę twoich oczu. Kobieta jakby ją usłyszała. Podniosła wzrok. Jej oczy były mroczne jak wnętrza głębokiej groty. Ten mrok wdawał się starożytny, ale potężny, pełen tajemnic. Klęcząca teraz Melanthos wzięła zwierciadło w dłonie i przysunęła do twarzy, ciekawa, co też zatrzymało kobietę w pół kroku na leśnej drodze. Zwierciadło zaparowało od jej oddechu, szybko się jednak oczyściło. W lustrzanej tafli widziała tylko siebie. Odstawiła zwierciadło na miejsce i popęzła na czworakach do kupki nici, wybierając już w myślach kolory. Sel westchnęła przeciągle.

- To było jej oko - powiedziała.
- Słucham?
- To jej oko nas obserwuje.

Melanthos, zajęta wybieraniem nici, burknęła coś Pod nosem.

- Zużyłaś wszystkie moje brązowe nici - poskarżyła się po chwili.
- Trochę jeszcze zostało. - Sel podała jej kilka napoczętych motków.
- Będę musiała poprosić Anyona o więcej, a on jest ostatnio rozdrażniony jak

krab

schwyty w pułapkę.

- Ja ci je przyniosę.

- Mogłaś używać różowych. Co haftujesz?

Matka nie odpowiedziała. Melanthos, przebierając w niciach i rozmyślając o tajemniczej mocy wyzierającej z tych starych oczu, zapomniała o własnym pytaniu. Przypomniała sobie o nim dużo później, schodząc nad ranem z wieży. W kamiennym lesie było jeszcze ciemno i wilgotno od morskiej mgły. W piekarni zaspana Gentian ugniatała

ciasto na chleb i formowała z niego bochenki, które układała na posmarowanych tłuszczem

kamieniach. Spojrzała zaczerwienionymi oczami na wchodzącą Melanthos.

- A gdzie matka?

- Spała, jak wychodziłam - odparła Melanthos, ziewając. Podwinęła rękawy i nasypała

do misy mąki na słodkie orzechowe ciasteczka. - Obudzę ją, kiedy tam wrócę.

- A ty w ogóle spałaś?

- Troszeczkę. - Ziewnęła znowu i zamarła, bo w tym momencie żałośnie zakwiliło dziecko. Gentian też znieruchomiła z ciastem w dłoniach. Dziecko włożyło palec do buzi i

uspokoilo się, zamknęło oczka. Gentian odetchnęła. Nie za dobrze wygląda, pomyślała

Melanthos, cera blada, oczy podkrążone z niewyspania...

- Całą noc tak marudziła? - zapytała.

- Nie, budziła się tylko od czasu do czasu. - Gentian uformowała z ciasta krągłą gomółkę i ostrym nożem nacięła ją z wierzchu na krzyż: północ-południe, wschód-zachód. -

A ja spałam jak zając pod miedzą, bo was nie było i bałam się zaspać.

- Przecież jestem.

- Ale matki nie ma. Ostatnio spędza w tej wieży więcej czasu niż ty. Co ona tam robi?

Melanthos, wbijając jajka do mąki, pokręciła głową.

- Nie wiem. Chyba rozmyśla.

- Nad czym?

- Wspomina swoje życie. Spodobało jej się tam. Wciągnęło ją.

Gentian znowu westchnęła. Otworzyła drzwiczki pieca, sprawdziła ogień, po czym natarła wodą oraz grubo zmieloną mąką sześć bochenków i wsunęła je do rozgrzanego pieca.

- Wolałabym, żeby była tutaj. Brakuje mi jej.

Melanthos poklepała siostrę pocieszająco po ramieniu, zostawiając na nim mączne ślady.

- Ona coś robi - powiedziała, ściągając brwi.

- Co?

- Nie wiem. Coś wyszywa. - Zawahała się, przez chwilę ugniatała zapamiętane ciasto,

przerwała. - Ogląda w zwierciadle jakąś opowieść.

- Jaką znowu opowieść?

- O kobiecie, która, uwięziona w wieży, nie może z niej wyjść, nie może nawet wyjrzeć. Może tylko patrzeć w lustro. Nasza matka obserwuje ją z fascynacją.

Chyba chce się

dowiedzieć, jak skończy się ta legenda.

Gentian spojrzała na siostrę z przestraszonym wyrazem twarzy.

- To naprawdę tylko legenda? Jeszcze jeden temat do wyszcucia nicią? Czy może rzeczywista historia?

- Nie wiem. - Melanthos, wpatrując się spod przymrużonych powiek w misę, widziała znowu tamtą kobietę, jej nerwowe kroki, monotonię jej dnia. - Mam nadzieję, że rzeczywista

- powiedziała cicho. - Pomimo że taka straszna. Wtedy mogłaby mieć zakończenie.

- Jakie...? I kto to jest...?

- A może ona siedzi tam, uwięziona w tym fragmencie swojej historii, jako ostrzeżenie, tajemnica. Nigdy się nie dowiemy, kim jest, jak się tam znalazła ani co się z nią

stanie. Nasza matka jest nią teraz zafascynowana, lecz kiedy się zacznie nudzić, zejdzie do nas z wieży.

Dziecko otworzyło oczka, przez chwilę patrzyło spokojnie na kobiety, a potem zaczęło płakać. Gentian wzięła małą na ręce i usiadła z nią na stołku.

- Melanthos - powiedziała, poluzowując gorset na piersiach - nie zostawiaj mnie tu samej.

- Matka wróci - powiedziała z przekonaniem Melanthos. - Nie może zupełnie zapomnieć o świecie. Jest tylko teraz...

- Jaka jest teraz?

Zaczarowana, chciała powiedzieć Melanthos. Zauroczona. Ale ugryzła się w język.

- Smutna - powiedziała i spojrzały na siebie z Gentian ponad główką zadowolonego dziecka.

Godzinę później w piekarni zaczął się ruch; wychodzący w morze rybacy kupowali chleb, inni mieszkańcy wioski ciastka i bułeczki. Po obsłużeniu ostatniego klienta Melanthos

zdjęła fartuch i wróciła do wieży. Matki tam nie było; widocznie obudziła się już i zeszła nad

morze, obserwować łodzie wypływające na połów.

Melanthos spojrzała w zwierciadło i oczy poraził jej blask złota. Wzrok przywykał

powoli do tych oślepiających lśnień i zaczynała odróżniać wśród nich jakieś kształty: stosy

monet, pucharów, koron, złotych tarcz, kości obleczone w zbroje i zetlały złotogłów. Pośród

tego wszystkiego, na kupie monet, siedział mężczyzna zapatrzony w przestrzeń.

Nie zdawał

sobie chyba sprawy, że poprzez ścianę z płomienno-czerwonego kamienia obserwuje go

ogromne złote ślepie o ciemnej, wąskiej pionowej źrenicy.

Melanthos sięgnęła po nici.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wychodząc we wstający świt, Cyan Dag zobaczył w trawie szarpany wiatrem prostokąt płótna z wyhaftowaną na nim sceną. Podniósł go machinalnie. Dygotał wciąż po

ulewie, którą przeżył na wzgórzu w północnym Yves, i nie mógł się nadziwić, że odzienie ma

suche. Siedząca na trawie kobieta wypowiedziała cicho jego imię. Obejrzał się i wrócił do

swojego czasu: był znowu Cyanem Dagiem, który wychodzi z niewłaściwej wieży

między

tajemnicze, zalane światłem wzgórza Skye.

- Dziwny miałem sen - powiedział, trąc piekące z niewyspania oczy. - A raczej myślałem, że to sen. Teraz, tutaj, w blasku dnia, wiem, że to mi się nie śniło.

To były

wspomnienia. Coś, o czym zapomniałem.

- Czyli co? - spytała Sidera. Kaskada czarnych włosów zakrywała ją niemal całą, widział tylko trójkąt twarzy, jedną spoczywającą na kolanie dłoni, bursztynowe oczy tak jasne

w promieniach słońca, że zdawały się je odbijać.

Ściągnął brwi. Incydent nie miał właściwie znaczenia. Ot, zniósł ze wzgórza rannego

w bitwie chłopca zdarzyło się to przed laty. Napięcie, z jakim później przez długie godziny w

strugach deszczu wyglądał świtu, widocznie wymazało to zdarzenie z jego pamięci, potrząsnął głową.

- Nic ważnego - burknął. Tak mu się teraz wydawało. - Zastanawia mnie tylko, dlaczego, wchodząc do wieży w Skye, przypomniałem sobie ni z tego, ni z owego nic

nieznaczący incydent, który miał miejsca dawno temu po bitwie stoczonej w Yves.

- Musi być jakiś powód. - Sidera wstała, odgarnęła długie jedwabiste włosy na ramiona. Te włosy kogoś mu przypomniały. Postąpiła krok; jej oczy stały się bardziej ludzkie,

blask w nich przygasł nieco. - O co chodzi?

- Cria - szepnął Cyan.

- Jaka Cria?

- Cria Greenwood. Ma takie same włosy... - Zacisnął mocno powieki. - Zostawiłem ją

w Gloinmere. Nie powiedziałem nawet, dokąd i po co jadę. Kto wie, czy nie wyszła już za

mąż za kogoś, kogo nie kocha. A ja jestem tak daleko, w Skye, i nie wiem co dalej. -

Rozejrzał się, zobaczył swojego konia. - Muszę odnaleźć tę wieżę.

- Tę, w której więziona jest dama?

- Tak. Miałem nadzieję, że to ta. Ale znalazłem tu tylko Regisa Auruma, którego już

kiedyś uratowałem.

Popatrzył na osiadłą głęboko w ziemi, milczącą wieżę, a potem odwrócił się i ruszył w

stronę skubiącego trawę wierzchowca.

- Czeka! - krzyknęła za nim Sidera.

Zatrzymał się i dopiero teraz uświadomił sobie, że ściska w dłoni tkaninę z haftem.

Rozpostarł ją i uniósł do oczu. Haft przedstawiał siedzącego mężczyznę. Przez chwilę nie

potrafił doszukać się w tym sensu. Mężczyzna siedział na hałdzie złota, otaczały go grube

mury wieży, zza kamieni wpatrywało się w jego plecy ogromne ślepie przecięte wąską

pionową źrenicą. I naraz wszystko stało się dla niego jasne. Rozpoznał tego

mężczyznę po

złotych włosach.

- Thayne Ysse - wykrztusił. - Znalazł smoka.
- A moja siostra znalazła Thayne'a Ysse - powiedziała cicho Sidera.
- Skąd wiesz?
Sidera dotknęła tkaniny.
- Ktoś to wyhaftował, a wiatr przyniósł ten haft tobie.
Cyan wstrzymał oddech.
- Kobieta, której szukam.
- Być może.
- Tkająca i roniąca łzy w jakiejś wieży w Skye.
- To haft.
- Nie widzę różnicy. Nić to nić...
- Owszem. Ale moja siostra zajmuje się tkactwem. A to jest haft i wynika z niego, że
Thayne Ysse popadł w tarapaty.
- Postaram się mu pomóc - powiedział Cyan, zatykając tkaninę za pas. - Ale nie teraz.
Najpierw muszę odnaleźć damę.
- Może i tak, ale to Thayne Ysse dał ci o sobie znać dzisiejszego ranka.
- Sama mogłabyś pośpieszyć mu z pomocą - podsunął Cyan, dosiadając konia. - Znasz się na magii. Rozmawiasz z dzikimi stworzeniami.
- Owszem. Ale to nie mnie wiatr przywiął ten zaczarowany haft. Powtarzam: Idra tka.
- A to jest haft - mruknął. - Czyli nie ona go wykonała. - Schylił się pod wpływem impulsu i ścisnął dłoń czarownicy. - Dziękuję, że znowu mi pomogłaś.
- Wydaje mi się, że jeszcze bardziej zamieszałam ci w głowie.
- Czekałaś na mnie pod wieżą. - Pochylił się jeszcze niżej i złożył pocałunek na jej dłoni. Poczul na wargach chłód startego srebrnego pierścienia zdobiącego palec Sidory.
- Ale nie wiesz, gdzie szukać tej wieży - przypomniała mu.
- Od początku nie wiedziałem - odparł i odjechał.
O zachodzie słońca dotarł do drugiej wieży.
Trafił do niej jak we śnie. Przez całe popołudnie podążał w górę rzeki, usiłując wyjechać pomiędzy trzech wzgórz, a krajobraz zmieniał się niezauważalnie. Po drugiej stronie wzgórza słońce prażyło bezlitośnie nad spieczoną pustynią. Rzeka wsiąkała tam w błoto, a kawałek dalej to błoto przechodziło w suche, spękane klepisko. Wzgórza otaczające równinę były nagie, brązowe, pocięte żlebami i jaskiniami. Ogromną ślepą wieżę wznoszącą się pośrodku równiny oplatał swym cielskim smok. Łeb złożył na ogonie, jednym wielkim złotym ślepiem wpatrywał się w kamienie, tak jakby coś poprzez nie widział. Drugie ślepie skierował na jeźdźca, który ukazał się na skraju równiny. Koń parsknął zaniepokojony unoszącym się w powietrzu pyłem i smrodem siarki. Cyan ściągnął cugle. Otarł pot z twarzy i przyglądał się beznamiętnie smokowi. Sidera uprzedzała go uczciwie, że tutaj właśnie trafi. Mógł jeszcze zawrócić i odjechać, ale smok

nie był już
tylko niewinnym fragmentem haftu. W tej wieży umierał Thayne Ysse. Co gorsza,
pozostawiony sam sobie, zdoła może wywabić smoka z równiny i poszczuć go na
Yves. Z
jednej strony byłoby okrucieństwem zostawić tu Thayne'a, by skonał, z drugiej -
bardzo
niebezpiecznie zostawiać go żywego. Po chwili zastanowienia Cyan doszedł do
wniosku, że
nie ma wyboru. Wspomniał jeszcze raz uśmiech Carii i wjechał na równinę.
Wierzchowiec ruszył niechętnie. Smok odwrócił ku nim łeb i zionął strugą ognia.
Płomień ich nie dosięgnął, ale Cyan poczuł uderzenie fali gorąca. Medalion pod
jego koszulą i
okucia końskiej uprzęży się rozgrzały. Koń stanął dęba. Cyan uspokoił go i
zawrócił do
miejsca, gdzie płynęła jeszcze płytka, mętna rzeka i gdzie jej błotniste brzegi
porastały kępki
trawy. Zostawił tam wierzchowca.
Dobyl miecza i ruszył przez równinę. Między dwoma wzgórzami płonęła czerwona
tarcza zachodzącego słońca, odbijając się krwawymi lśnieniami w srebrnej klindze
miecza.
Smok obserwował teraz rycerza obydwoma szeroko rozwartymi, nieruchomymi
ślepiami. Nie
próbował już pluć ogniem. Może wstrzymywał się z tym do czasu, kiedy śmiałek
podejdzie
bliżej. Cyan zatrzymał się na skraju sięgającego do połowy równiny cienia
rzucanego przez
skrzydło potwora. I wtedy smok poderwał łeb, węzową szyję wzniosł na wysokość
wieży. Nie
plunął ogniem, tylko machnął szponiastą łapą i rozpruł Cyanowi tunikę i koszulę
od szyi po
kraj. Cyan odskoczył przerażony; kiedy padł na wznak poza zasięgiem cienia
smoka,
promienie słońca rozgrzały natychmiast obnażony teraz medalion na jego piersi.
Smok opuścił łeb i parsknął. Kłęby kurzu spowiły Cyana.
- Jak cię zwa? - spytał potwór, kiedy Cyan, kaszląc, przecierał oczy.
Jego dudniący głuchy głos wznicił nową piaskową burzę. Cyan wstał i patrzył z
niedowierzaniem na wielki klin smoczego łba. Kryształowe zębiska jarzyły się
czerwono w
ostatnich promieniach zachodzącego słońca.
- Nazywam się Cyan Dag - rzekł oszołomiony. - przyszedłem cię zabić i uwolnić
człowieka, którego przetrzymujesz w swojej wieży.
Pionowe źrenice smoka się rozszerzyły. Jaszczur przestąpił z nogi na nogę i
ziemia
zadrżała. Cyan stracił równowagę, znowu upadł. Smok opuścił łeb i fuknął.
Potężny prąd
powietrza uniósł Cyana jak piórko.
- Przyszedłem uratować człowieka znajdującego się w twojej wieży - wykrztusił,
gramoląc się z ziemi. - Wątpię, czy potrafiłbym cię zabić. Pewnie tylko bym cię
rozszedził i
ty zabiłbyś mnie. Ale mogę ci obiecać złoto za puszczenie tego człowieka wolno.
Nozdrza potwora rozchyliły się, w powietrzu rozszedł się zapach popiołu.
- Ile złota?

- Wszystko co mam.
- To niewiele.
- Niewiele - przyznał Cyan. - Ale porozmawiam z królem Yves. On ma dużo i hojnie ci za tego człowieka zapłaci.
- Mam więcej złota niż dziesięciu królów; gdybym chciał, sam bym je sobie wziął.
To ono cię tu sprowadziło. Nie przyszedłeś tu po człowieka, lecz po skarb.
- Tak naprawdę to szukam wieży, w której więziona jest kobieta, a nie Thayne'a Ysse siedzącego na kupie złota.
- Ta kobieta?
Cyan zamrugał. I nagle zrozumiał, co ocaliło mu życie. Uniósł medalion do oczu. Widniała na nim teraz twarz kobiety. Była piękniejsza, niż ją zapamiętał. Falujące białozłote włosy okalały jej twarz, w błękitnych oczach malowało się zatroskanie, bezradność.
- Tak - powiedział cicho. - Ta kobieta. - Wypuścił medalion z palców. - Znasz ją?
- Znam.
Cyan bardziej poczuł tę odpowiedź w kościach, niż ją usłyszał.
- Gdzie ona jest? - spytał błagalnym tonem. - Muszę ją odnaleźć.
- Chcesz uwolnić tego mężczyznę i tę kobietę, chcesz zachować własne życie... a nic mi w zamian nie proponujesz.
Cyan myślał gorączkowo.
- To wszystko co mam - powiedział w końcu i wyciągnął zza pasa haft przedstawiający Thayne'a w wieży obserwowanego przez smocze ślepie. - Weź to za mężczyznę.
Smok opuścił łeb tak szybko, jakby chciał śmiałka zmiażdżyć albo pożreć. Mało brakowało, a Cyan zatopiłby miecz w złotym ślepiu i przeszył potworowi mózg. Opanował się jednak. Zaciśnął mocno usta i stał nieruchomo, wbijając w ziemię ostrze opuszczonego miecza, tak jakby obawiał się, że broń może zacząć żyć własnym życiem. Jedno ślepie i zamknięta paszcza zatrzymały się na poziomie haftu. Cyan puścił rękojeść miecza i obiema dłońmi rozpostarł płótno.
Smok warknął, parsknął ostro i zasyczał. Leżąca nieopodal ludzka czaszka potoczyła się po ziemi.
- Zostaw to w wieży - odezwał się smok. - Powiedz temu człowiekowi, że nie wolno mu stamtąd niczego zabierać, bo przypłaci to życiem.
- A kobieta? - spytał z desperacją Cyan. - Jak ją odnajdę?
Smok przypatrywał mu się przez chwilę w milczeniu.
- Mogłeś mnie zabić, Cyanie Dagu.
- Wiem.
- Patrzysz sercem. Znajdziesz do niej drogę. - Cofnął łeb i złożył go na ogonie.
Ruszając w stronę wieży, Cyan znowu usłyszał jego głos: - Wejście do wieży może wydawać się trudne, ale jest łatwiejsze.
- Od czego łatwiejsze?

- Od wyjścia z niej. Jedną z dróg wyjścia jest śmierć. Są też inne słowa. Ten człowiek

je zna. Powiedz mu, że jeśli uszczknie coś z mego złota, pożrę go.

- Naprawdę byś to zrobił?

- Pożeram serca. Na tej równinie każde serce smakuje jak złoto.

Cyan stanął pod wieżą. Dotknął niepewnie kamiennej ściany; ustąpiła pod jego dłonią

jak woda. Ściskając w jednym ręku miecz, a w drugim podobiznę Thayne'a Ysse, wkroczył

poprzez kamienie do serca smoka.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W wieży w kamiennym lesie Sel przetykała tam i z powrotem brązową nić przez kawałek płótna. Nie zastanawiała się nawet, co wyszywa. Spod jej dłoni wylaniał się

galimatias przytłumionych barw. Melanthos przyniosła pełne kieszenie szarych, kremowych i

brązowych nici, które wyprosiła u Anyona. Po wielokroć pytała matki, co wyszywa.

- Nic określonego - odpowiadała Sel. - Sama jeszcze nie wiem.

Jej ręce wiedziały. Ale Sel ich nie pytała.

Melanthos przynosiła również jedzenie, kiedy Sel, pochłonięta obserwowaniem kobiety z wieży, zapominała zejść do wioski na posiłek. Ciekawiło ją, jak skończy się ta

historia, jak kobieta odzyska wolność. Melanthos ostrzegała czasem, że stare zwierciadło

może tego nie pamiętać, że ta opowieść może nie mieć zakończenia, ale Sel żywiła nadzieję,

że jeśli nawet zwierciadło tego nie pamięta, kobieta sama może wyjawić, jak zaczęła się i jak

skończyła jej historia.

Wyszywała więc i czekała na krótkie, przypadkowe chwile, kiedy zwierciadło wracało

wspomnieniami do wieży nad rzeką. Pokazywało jej też foki. Lubiła obserwować, jak

dokazują i jak polują na ryby. Czasami prosiła zwierciadło, żeby odnalazło piekarnię i

zajrzało do niej swoim okiem, ale nigdy tego nie zrobiło. Tak więc Sel, przypominając sobie

o Gentian i o dziecku, podnosiła się w końcu z maty i schodziła po spiralnych schodach w

światło dnia. Kiedy ostatni raz pojawiła się w piekarni, Gentian, jej uległa Gentian zalała się

łzami. Wybudzone ze snu dziecko zawtórowało jej krzykiem. Sel wzięła je na ręce i poklepała

córkę po ramieniu.

- O co chodzi? - spytała z niepokojem. - Nie mów mi tylko, że to przez Rawla. Podziurawię mu łódź.

- To przez ciebie! - krzyknęła Gentian. Łzy płynęły jej po policzkach. - Rawl wypływa

rankami w morze i wraca do mnie wieczorami, i nigdy się nie skarży, że zostawiam go przed

świtem i wychodzę do piekarni. A ty... ty bywasz teraz gościem we własnym domu. Przeprowadziłaś się do wieży. Częściej widuję tu Melanthos niż ciebie!

Sel milczała przez chwilę, kołysząc dziecko na rękach.

- Przepraszam - powiedziała, wyrzucając sobie, że doprowadziła Gentian do płaczu.

Dziecko dało się o wiele łatwiej uspokoić. - Ja tylko...

- Co tylko?

- Uzbrój się w cierpliwość.

- Mam się uzbroić w cierpliwość?! - Gentian patrzyła na nią zdumiona. - I na co niby

mam czekać? Aż ta wieża się zawali?

- Być może - mruknęła Sel i przemknęło jej przez myśl, że historia opowiadana przez

zwierciadło rzeczywiście może się tak zakończyć.

Gentian wyciągnęła z kieszeni chusteczkę z obrębionego kawałka starego worka na mąkę i głośno wytarła nos.

- I co, zamierzasz w niej być, kiedy do tego dojdzie?

Sel zamrugnęła.

- Och. - Dopiero teraz zrozumiała. - Chodzi ci o wieże w kamiennym lesie? Nie.

Ona

może zapaść się ze starości w ziemię, ale nigdy się nie zawali. - Oddała dziecko

Gentian. -

Daj mi tylko trochę czasu.

- Na co?

Sel przeniosła wzrok na brukowane kocimi łbami uliczki, na rząd domów i sklepów przesłaniający widok na morze.

- Wiem, że to nie w porządku - powiedziała cicho. - I że ci trudno. Ale potrzebuję

czasu. Bądź cierpliwa. Weź sobie kogoś do pomocy. Nadałaby się któraś ze starszych córek

Lude. Tylko na jakiś czas.

- Tęsknię za tobą - powiedziała płacząco Gentian i jej oczy znowu wypełniły się

łzami. - I boję się o ciebie.

Sel poklepała córkę po ramieniu.

- Nie trzeba - powiedziała po dłuższej chwili milczenia. - Sprawy same się jakoś ułożą.

Odesłała wtedy Gentian do domu, a sama piekła, sprzedawała i gawędziła z klientami.

Nawet nie wiedziała, kiedy wyszła z piekarni, przeszła wioskę i znalazła się na szczycie

wieży w kamiennym lesie, by sprawdzić, czy kobieta jest jeszcze w swojej wieży.

Zastąpiła tam

Melanthos. Usiadła obok niej na macie i sięgnęła po przerwana robótkę.

Tego wieczoru lustro pokazało im kobietę z wieży. Siedziała nieruchomo, wpatrzona

w zwierciadło, w którym nad polami zachodziło słońce, a niebo mieniło się odcieniami różu,

purpury i złota. Ręce miała złożone na podołku, bezczynne. Kolory w zwierciadle intensywniały, nabierały blasku, ale kobieta nadal nie sięgała po nici.

Zachodzące słońce

przebiło się przez chmury, spojrzało na siedzącą przed zwierciadłem kobietę niczym

jaśniejące, złowróźbne złote oko. A ona siedziała jak zaklęta i zdawała się

wspomnieniem.

Wydawało się nawet, że nie oddycha. Kiedy słońce wreszcie zaszło i niebo pociemniało, poruszyła się tak nagle, że zaskoczona Sel aż zamrugła. Zupełnie jakby posąg obudził się do życia.

Wybrała dziwne nici: żółtozieloną, pomarańczową i ciemnoczerwoną jak wiśnia. Niebo rzadko przybierało takie barwy. Może drogą zbliżało się coś w takich odcieniach, czego Sel jeszcze nie widziała? Kobieta pochyliła się nad robótką i po chwili rozplynęła się w czarnej mgle.

- Dziwne to było - mruknęła Melanthos, sięgając z wahaniem po nici. Wybrać kolory

ze zwierciadła kobiety, czy takie, jakie ona wybrała?

- Ona wyszywa coś od siebie - orzekła Sel. - Zmęczyło ją już słuchanie czyichś poleceń.

- No dobrze, ale kto jej te polecenia wydaje? I co się stanie, jeśli nie posłucha?

Sel wzruszyła ramionami. A co się stanie, jeśli ty nie posłuchasz? - chciała zapytać

córkę. Ale już dobrze rozumiała, co przywabia tu Melanthos. Nie było chyba na świecie nic

bardziej wciągającego od utrwalania nicią wizji podsuwanych przez wyobraźnię.

Tego wieczoru Sel pracowała do późna. Nie zauważyła nawet, kiedy Melanthos wyszła z wieży. Przed oczami miała siebie z przeszłości - wysoką, smukłą,

bosonogą kobietę

o długich czarnych włosach powiewających na wietrze, idącą pod górującymi nad portem

klifami. Foki baraszkowały w morzu i wygrzewały się na nadbrzeżnych skałkach.

Miały

jakieś inne pyszczki, jakieś inne, starsze imiona. Nie pamiętała teraz tych starszych imion,

wiedziała tylko, że były dziwne.

Stanowiły mieszaninę dźwięków, których nie wypowiedziałyby żaden człowiek. Wiał porywisty wiatr. Nie patrzyła pod nogi, szła po mokrym piasku, po muszelkach po kamieniach, na których rozwijały się i zwijały pasma mchu przywodzące na myśl włosy

syreny. Wołała każdą fokę po imieniu, ale tylko we wspomnieniach, bo nie pamiętała już, jak

się nazywały.

Spróbowała wypowiedzieć jedno z imion na głos, ale język odmówił posłuszeństwa.

Chyba za dużo było w nim liter „l”, no i ten gardłowy początek. O czym wtedy myślałam? -

zadała sobie pytanie. O czym myślałam za młodu?

Młoda kobieta z jej wspomnień odwróciła się, żeby na nią spojrzeć. A o czym myślisz

teraz? - spytała.

Sel tego nie wiedziała.

Zmusiła się do odłożenia robótki i wróciła do rzeczywistego świata, żeby pomóc trochę Gentian. Piekła, sprzedawała, bawiła wnuczkę i słuchała, jak Gentian opowiada o

Rawlu i sztormach, i o tym, co mała próbowała powiedzieć. Coś tam jej odpowiadała, ale
myślami była w wieży. Kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać, zdjęła z ulgą fartuch,
odczekała, aż Gentian odwróci się plecami, i wymknęła się z piekarni.
W wieży zastała córkę wpatrującą się w zwierciadło.
- Popatrz, co ona robi - szepnęła Melanthos, kiedy matka uklękła obok niej. -
Tylko
popatrz.
Kobieta siedziała jak zwykle na krześle i haftowała. Ale na wyszytym już materiale,
który spływał na podłogę, zamiast obrazów widniały dziwne nieregularne ściegi.
Zdumiona
Sel przyjrzała się im uważniej. Jeden ze ściegów układał się w słowo „Drzewo”.
Drugi,
wydłużony, powtarzał: „Droga droga droga droga...”. I zaraz: „Rzeka”. Do słowa „Droga”
przytykało wyszyte innym kolorem słowo „Jeździec”. Nad nim unosiło się mnóstwo malutkich, wyszytych czarną nicią „Kruków”.
- Wyszywa wszystko słowami - powiedziała zafascynowana Melanthos. - Ciekawam dlaczego.
Sel, patrząc na te słowa, czuła, jak coś się w niej budzi, jakiś wielki, mroczny,
amorficzny dźwięk, który lada chwila nabierze formy.
- Magia - powiedziała nagle. - Magia ją tam zamknęła, magia musi ją uwolnić.
Melanthos oderwała oczy od zwierciadła i zerknęła na matkę.
- To tylko słowa.
- Na razie.
- A co może z nich wyniknąć?
- Nie wiem. - Sel sięgnęła na oślep po rozpoczętą robótkę. - Nie znamy tej kobiety.
Ale na pewno uwięziła ją tam magia. Obojętne, czy ta opowieść jest prawdziwa, czy fikcyjna,
to na pewno magia. Ta kobieta w ogóle się nie zmienia, nigdy nie musi się czesać, nigdy z
nikim się nie widuje, nigdy...
- Nigdy się nie odzywa - powiedziała cicho Melanthos.
- Aż do teraz.
Dziewczyna przez chwilę składała i rozkładała dłonie. - Magia ją tam więzi, jakieś
ponadczasowe zaklęcie.
- A z magią można walczyć tylko magią.
Melanthos znowu spojrzała na matkę swoimi oczami morskiej wróżki.
- W tej opowieści ona zostanie uratowana. Tak to się zawsze kończy.
- Może znużyło ją już czekanie - mruknęła Sel, biorąc w palce igłę. Kobieta z wieży
rozpląnęła się w zwierciadle.
- Jak ona może czynić magię z niczego? - spytała Melanthos. - Czy z takiego wyszywania może wyniknąć coś o potężnej sile?
- Nie wiem.
Melanthos patrzyła w lustro, tak jakby wciąż widziała w nim kobietę.
- Czy ona umrze? Ale przecież jest tam teraz stosunkowo bezpieczna. Nigdy nie

wygląda na głodną ani zmęczoną, zawsze jest zadbana... umrze, jeśli spróbuje się stamtąd

wy dostać! - zawołała, doznając olśnienia. - Dopóki robi to, co robi, nie wychodzi z wieży, nie

wygląda z niej na świat, lecz widzi go tylko w swoim zwierciadle i na swoich haftach, jest

bezpieczna.

- Jest samotna - powiedziała Sel, nie odrywając oczu od swojej robótki. - Nigdy do

nikogo nie przemówi, nikogo nie dotknie, nie spojrzy... Od tego można umrzeć.

- Czyli ktoś uwięził ją tam za karę?

- Być może. - Igła Sel zwolniła. - A może ona nie jest człowiekiem, pochodzi skądś

spoza naszego świata? I ta wieża jest jedynym bezpiecznym miejscem między nią a światem

ludzi... Jeśli spojrzy na ludzki świat, obejmie go swoim umysłem i oczami, umrze, bo nie

może w nim żyć. Może ta wieża jest przejściem między światami.

- Umrze z samotności.

- Być może.

- A zatem... - Melanthos podciągnęła kolana pod brodę i zaczęła się kołysać. -

Ona

musi stać się człowiekiem.

- To jedno z rozwiązań.

- A nie może wrócić tam, skąd przyszła?

- Podejrzewam, że ta opowieść może mieć i takie zakończenie - powiedziała Sel.

- A ja myślę, że gdyby to było takie proste, opowieść by nie istniała.

Melanthos sięgnęła po nic, ale zaraz cofnęła rękę. Sel spojrzała na nią pytająco.

- To musi być coś innego... - Melanthos pokręciła głową. - Nie chcę wyszywać jej słów. Nie czuję takiej potrzeby. Nie ma w tym żadnej magii.

- Może jeszcze nie ma...

Melanthos spojrzała znowu na matkę, a potem, ciasniej obejmując kolana ramionami,

powiedziała ostrożnie:

- A skoro już mowa o magii, czy pamiętasz magiczne sztuczki, którymi nas zabawiałaś, kiedy byliśmy małe? Kiedy byłaś młoda i żył jeszcze ojciec?

Sel pamiętała. Magia wypełniła ją na moment, mieszając światło z mrokiem, podsuwając wizje bezimiennych stworzeń i niewyobrażalnie pięknych skarbów. Potem rozwiąła się jak miraż wody na pustyni.

- Nie. Nie pamiętam. - Odwróciła wzrok od wpatrzonej w nią Melanthos i zobaczyła w zwierciadle rycerza.

Wychodził właśnie z przysadzistej, mrocznej wieży. Sel, która nigdy w życiu nie widziała zbrojnego męża, zwróciła uwagę na szczegóły: herb z trzema wieżami na piersi,

miecz, siła i zręczność w ruchach. Rycerz miał dziwny wyraz twarzy - zdziwienie zmieszane

z oszołomieniem - jakby znalazł w wieży coś, czego się w ogóle nie spodziewał. W świetle

poranka zaskrzył się klejnot wieńczący rękojeść miecza.

W oddali, za wieżą, wznosiły się łagodne wzgórza. Podobne do siebie jak odbicia jednego.

Melanthos pochyliła się gwałtownie, wyciągając obie ręce czy to do zwierciadła, czy do rycerza.

- Trzy Siostry - wyszeptała. - To one.

Wyprostowała się i zaczęła szukać wśród nici zielonej.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Thayne, zatopiony we wspomnieniach o ulewie na mrocznym stoku wzgórza w północnym Yves, ujrzał zbrojnego wojownika wychodzącego nań z ciemności. Jeszcze jeden

z nieprzeliczonej armii Regisa Auruma, pomyślał posepnie. Uszczupli jej szeregi o tego

jednego... Kościotrupia ręka z jakiejś innej bitwy ścisnęła wciąż miecz;

zaklekotały

rozsypujące się kostki dłoni, kiedy go z niej wyjmował. Na stoku było ślisko - omal nie stracił

równowagi, wstając, a potem drugi raz, kiedy rycerz zablokował jego cios.

Rozstawił szerzej

nogi i wznosił ramię do kolejnego cięcia. Ktoś zawołał go po imieniu. Zignorował to i opuścił

znowu miecz, mierząc w zawieszony na łańcuszku krążek srebrzący się na nagiej piersi

rycerza. Przeciwnik koszulę i tunikę miał rozerwane, tors podrapany i

zakrwawiony. Nie miał

tarczy, a emblematu na rozdartej tunice nie dało się odcyfrować; więc nie wiadomo było, kim

jest. Brak determinacji i rozpacz w oczach świadczył, że to nie wyspiarz. Oczy rycerza były

czyste, zimne i bezlitosne, tak właśnie miały wyglądać poza wspaniałymi wieżami Gloinmere

dla każdego kto nosi podszyty wiatrem kubrak, ma dłonie śmierdzące rybą i waży się

zakwestionować słowo, które wyszło z ust Regisa Auruma.

- Jeszcze jeden - wycedził przez zaciśnięte zęby Thayne, mierząc w serce pod krążkiem. - Jeszcze jeden za Ysse.

Ale rycerz znowu zablokował jego cios. Zderzyły się srebrne głownie, Thayne stracił

równowagę i padł na stos jakichś polnych kamieni, którego wcześniej nie zauważył. Rycerz

chwycił go za nadgarstek, ścisnął tak mocno, że Thayne syknął z bólu i wypuścił miecz.

Macając drugą ręką wokół siebie, natrafił na małe płaskie kamyki. Zaczepnął ich pełną garść

i cisnął przeciwnikowi w twarz. Rycerz uchylił się przed czymś, co dziwnie przypominało

deszcz złota. Thayne poderwał nogi pod brodę i kopnął.

Rycerz zatoczył się, poślizgnął na jakiejś czaszce i z całym impetem wpadł plecami na

ścianę nocy. Siła zderzenia chyba go trochę zamroczyła. Thayne chwycił znowu swój miecz,

zerwał się na równe nogi i natarł. Przeciwnik zasłonił się, ale jakoś bez przekonania. Thayne

przebił się przez jego gardę i zadał pchnięcie, trafiając czubkiem głowni w

srebrny krążek.

Miecz odbił się jak od kamienia. Rycerz stęknął. Thayne cofnął się kilka kroków, opuszczając

odrętwiałe ramię. Potknął się o coś i spojrzał pod nogi. Kłaniał mu się szkielet. Korona

zsunęła się z czaszki na szyję kościotrupa i wisiała na niej jak obroża.

- Thayne - odezwał się szkielet głosem dziwnie zdyszonym jak na coś, co już nie musi

oddychać. - Thayne Ysse.

- Gdzie ja jestem? - wykrztusił Thayne, starając się przebić wzrokiem ciemności i

strugi deszczu, które jakimś cudem go omijały. - Co to za pole bitwy?

Rycerz zaatakował znowu, a przynajmniej tak się Thayne'owi wydało, kiedy kątem oka zobaczył srebrny błysk. Odwrócił się i odrąbał ramię kolejnemu szkieletowi zsuwającemu

się po kamieniach. Spadło na ziemię przy akompaniamencie pobrzękiwania cichutkich

dzwoneczków. Thayne poczuł tępy ból w gardle; był ranny, choć nie pamiętał, kiedy i jak tę

ranę odniósł. Rycerza nie było tam, gdzie ostatni raz go widział. Odwrócił się i zobaczył go za

sobą. Teraz dostrzegł wyraźnie twarz tego człowieka. Znał go.

- To ty?

Natarł z wściekłością na Cyana Daga, który uparcie stawał mu na drodze.

Wspomnienie nakładało się na wspomnienie, złoto rozjaśniło ciemność i znowu przygasło.

Stał w deszczu, który go nie moczył, otwierał usta, ale nie wpadała do nich ani kropla. W

jakimś innym miejscu w gardło parzyło go roztopione złoto, pragnienie dławilo startymi

zębiskami starego wilka. W jakimś innym miejscu również walczył z Cyanem Dagiem, ale w

innej bitwie; na tym koszmarnym polu widm nigdy by rycerza nie rozpoznał. Kiedy znowu

błysnęły srebrem ich miecze i w główniach odbiło się złoto, mignął mu przed oczami inny

krajobraz - spieczona, naga równina, nad którą wisiał niewyobrażalny żar. Nie było na niej

nic prócz samotnej wieży, w wieży nie było nic, tylko...

Złoto. Otoczone ścianami wieży, otoczone przez smoka, otoczone pustynią gdzieś w Skye. A rycerz z Gloinmere przywędrował za Thayne'em do tego tajemnego miejsca, żeby

pozyskać smoka i jego złoto dla króla Regisa. Rycerz doszedł już do siebie i odpierał ataki

metodycznie, z niespożyta siłą, jakby kosił zboże. Zabije Thayne'a, a potem zwróci te płonące

zimnym ogniem oczy na smoka i obieca mu wszystko, bo ma do dyspozycji bogactwa Gloinmere, całe Yves. Zostawi kości Thayne'a w wieży i w imieniu Regisa Auruma

kaze

smokowi spalić Wyspy Północne na popiół.

- Craiche - szepnął Thayne przez zaciśnięte zęby. Był to jego osobisty okrzyk bojowy.

Rycerz jakby się zawahał. Jego oczy ożywiły się, chciał chyba coś powiedzieć.

Ale

Thayne, wykorzystując ten moment rozkojarzenia, natarł znowu, mierząc w serce.

Rycerz

znalazł się błyskawicznie poza zasięgiem jego miecza, w połowie wysokości tego, co Thayne

wziął wcześniej za moknącą na deszczu kupę kamieni, a co teraz przemieniło się w stos złota.

Walczył tam, jak ktoś broniący swojego terytorium, swojej hałdy skarbów przed zdrajcą z

Ysse, który nie nauczył się kłaniać dostatecznie nisko królowi Yves. Ciął na odlew, mierząc

w ścięgno pod kolanem. Kopniak w krtani odrzucił go na jakieś półmiski i wspaniałą złotą

zbroję porwaną wraz z jakimś nieszczęsnym królem po tragicznie zakończonej ceremonii

koronacyjnej. Rycerz skoczył, przygniótł Thayne'a kolanem do posadzki, wyciskając mu

powietrze z płuc. Przystawił powalonemu ostrze miecza do gardła.

- Wysłuchaj mnie, Thayne - powiedział. - Wysłuchaj.

O nie, pomyślał Thayne, patrząc z nienawiścią w te oczy przypominające zimny deszcz. To ty mnie wysłuchaj.

I wtedy zobaczył obserwującego ich smoka, zobaczył jego osadzone w kamieniu olbrzymie złote ślepie przecięte wąską czarną źrenicą. Usłyszał pulsowanie własnej krwi w

uszach i gdzieś głęboko pod sobą, pod kamieniami, na których leżał, tajemny szum krwi

smoka. Sucha, złota pustynia zdała mu się skórą naciągniętą na kości i żyły smoka, głęboko

pod równiną wyczuwał bicie smoczego serca, zupełnie jakby sarna ziemia była smokiem,

góry jego kręgosłupem, lasy i równiny jego łuskami, wiatr oddechem, wieża pełna złota -

płonącym sercem. Jego puls zrównał się z pulsem smoka, wlepione weń ślepie odbijało go

niczym myśl.

Zrozumiał to naraz z doprowadzającą do obłędu wyrazistością, tak jakby napił się jego

krwi albo odetchnął jego ogniem. Wszyscy jesteśmy częścią smoka. Ogień, kość, szpon,

pustynia, wieża, złoto... Wszyscy jesteśmy smokiem.

I wtedy wyczuł w powietrzu ogień. Był wszędzie, wystarczyło tylko uświadomić to sobie i po niego sięgnąć.

Cyan wciąż do Thayne'a przemawiał, ostrzem miecza wciąż napierał na jego gardło. „Regis Aurum”, mówił, i „północ Yves”. A potem wypowiedział słowo jak zaklęcie, ostatnie

imię, jakie Thayne spodziewał się usłyszeć z jego ust: „Craiche”.

Thayne skrzesał błyskawicę w gorącym, suchym powietrzu i splunął mu tym imieniem w twarz. Potoczył wokół wzrokiem, wchłaniając oczami ogień ze wszystkiego, na

co spojrzał - ze złota, ze smoczego ślepie. Kiedy znowu się odezwał, słowa trysnęły z jego

kości rozszalała pożogą ognia i światła. Uderzyły z grzmiotem pioruna w srebrny
krażek
dyndający w powietrzu. Rycerz zniknął. Pojawił się po chwili rozkrzyżowany na
ścianie, na
tle smoczego ślepiea. Zsunął się na posadzkę i znowu zniknął za wydmami i
pagórkami złota.
W Thaynie coś się wypaliło. Czuł się jak kukła sklecona z papieru, z motyli
skrzydeł, z popiołu. Był tak spragniony i słaby, że ledwie podźwignął się z
ziemi. Ruszył na
uginających się nogach, wlokąc za sobą miecz na wypadek, gdyby przeciwnik nadal
nie był
przekonany, że powinien już skonać.
Cyan Dag leżał na wznak wśród porozrzucanych hełmów i tarcz ze złota. Krażek na
jego piersi dymił, przecinały go czarne żyłki, nie był już idealnie okrągły,
zaszedł mgłą,
postrzępił się na krawędziach, tak jakby się stopił. Thayne, podpierając się
mieczem, opadł na
kolana. Pot zalewał mu twarz, choć mógłby przysiąc, że duchota panująca w wieży
już dawno
wyssała z niego całą wilgoć. Otarł oczy, zamrugał. Cyan oddychał, ale ledwie.
Twarz miał
trupio bladą nawet w bajkowej poświacie rozsiewanej przez złoto. Wsparty na
mieczu Thayne
chwiał się, odwlekając moment zadania śmiertelnego pchnięcia, dopóki rycerz nie
zrozumie,
dlaczego umiera.
- Craiche jest moim bratem - powiedział powoli, cedząc z wysiłkiem każde słowo
spierzchniętymi wargami. - Miał dwanaście lat, kiedy Wyspy Północne stoczyły
bitwę z
królem w północnym Yves. Mój ojciec został wtedy ciężko ranny. Stracił rozum i
siły.
Spląciłem królowi daninę. Spląciłem ją Craiche'em, którego uczynił kaleką jakiś
dzielny
rycerz, tnąc uciekającego chłopca, tak jakścina się źdźbło trawy. Spląciłem tę
daninę krajem
Ysse, gdzie żyjemy z łowienia ryb i hodowli owiec. Z tej wyprawy połowa zdolnych
do pracy
mężczyzn nie wróciła na wyspy, gdzie niegdyś przychodzili na świat królowie.
Król chce nam
odjąć od ust każdy kęs. Żąda oddania każdej perły znalezionej w muszli ostrygi.
Żąda niskich
pokłonów, by nie musiał patrzeć nam w oczy. Dlatego tu przybyłem. Dlatego
zostawię cię
tutaj, a sam odleczę ze smokiem i jego złotem na Wyspy Północne. Wiem teraz, że
to możliwe.
Odnalazłem jego ogień i połknąłem go. Jego złoto jest moim sercem. Ciebie przed
odejściem
zabiję. To śmierć lepsza od powolnego konania z pragnienia.
Rycerz poruszył lekko głową, tak jakby usłyszał wreszcie zrozumiałe dla siebie
słowo.
Otworzył powoli oczy dziwnie czarne na tle bladej twarzy. Zamknął je znowu.
Uniósł dłoń,

brwi zbiegły mu się z wysiłku. Dotknął krążka, przesunął go nieco w bok i Thayne ujrzał
piętno wypalone na jego piersiach - idealny krąg.
- Pamiętam Craiche'a - wyszeptał Cyan Dag z trudem.
Thayne zamrugął.
- Skąd... - Zaciśnął dłonie na rękojeści miecza. - Co pamiętasz? - spytał chrapliwie. -
Uciekającego chłopca, którego okaleczyłeś?
Rycerz znowu otworzył oczy i mrużąc je w blasku złota, poszukał wzrokiem twarzy Thayne'a.
- Nie. Usłyszałem jego płacz. Na stoku tamtego wzgórza, kiedy zrezygnowaliście już z
szukania swoich rannych. Nie znaleźliście króla w zaroślach.
- A był tam? - wyszeptał Thayne.
- Ze mną. Czuwałem nad nim w deszczu przez całą noc. Z małą przerwą... - Urwał znowu i cofnął się pamięcią wstecz, w deszcz, o którym Thayne śnił w wieży. - Zostawiłem
go... na parę chwil... żeby znieść na dół chłopca, który pełził po stoku do waszego obozu.
Thayne gapił się na niego szeroko rozwartymi oczami. Coś ciężkiego i kanciastego przesunęło mu się w piersi, tak jakby serce zmieniało kształt. „Silny, uzbrojony rycerz bez
twarzy - opowiadał Craiche przez lata, aż wreszcie ta relacja wplotła się nierozzerwalnie w
legendę bitwy. - Przyszedł z ciemności, wziął mnie na ręce i zniósł ze wzgórza”.
- Kiedy strażę znalazły Craiche'a czołgającego się przez las do obozu - szepnął Thayne - spytałem go jak miał na imię ten rycerz, który wyszedł z ciemności i ocalił mu
życie. Craiche odparł, że nie wie. Pytał podobno, ale tamten nie odezwał się słowem...
- Cyan Dag - powiedział rycerz i znowu zamilkł, pozostawiając Thayne'a sam na sam
ze smoczym ślepiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Melanthos obserwowała kobietę z wieży. Sel leżała na skraju maty i pochrapywała cicho. Przez całą noc wyszywała przy świecach pastelowymi nićmi bezkształtne wzory na
kawałkach płótna. Leżały teraz na kupce pod ścianą. Kawałki na burą kołdrę albo na jakąś
opończe. Anyon dwa razy donosił nici. Poszła już na nie chyba wełna z kilku owiec, a matka
jeszcze nie zaczęła zszywać łątek w całość. Może nigdy tego nie zrobi; będzie tak wyszywała
i wyszywała, aż nie zostanie w niej ani jeden nieokreślony, nieregularny kształt. Wtedy
wyjdzie z wieży i wróci do normalnego życia, do pieczenia chleba, do swoich dzieci, swoich
kufli piwa u Brenny o zachodzie słońca.
Schudła, pomyślała Melanthos; wciąż zapomina o posiłkach. Włosy zaplata tylko wtedy, kiedy schodzi na popołudnie do piekarni. Gdy leżała teraz plecami do Melanthos i nie
widać było jej rąk ani stóp, ledwie przypominał istotę ludzką. Córka przyglądała

jej się spod
powiek.

A może by tak wyrzucić po prostu te łatki przez okno? - pomyślała.

Wydało jej się to okrutne i niepotrzebne. Może ona chce pozszywać je jaśniejszą
nicia,

żeby całość wyglądała jak kamienie pod płynącą wodą albo brukowana ulica ze
złotymi

fugami. Może w wyszywaniu tych dziwnych wzorów tkwi jakaś magia, która w końcu
przyniesie matce spokój.

W innej wieży, gdzie siedziała kobieta zajęta haftowaniem, piękne zwierciadło
odbijało puste oblicze nocy; kobieta nie zwracała na nie uwagi, wyszywała coś
karmazynową

nicia. Kiedy uniosła igłę, by zacisnąć ścieg, Melanthos zobaczyła jej nocną
wizję - wieża na

wyspie pośrodku głębokiej rzeki wolno toczącej swe wody i zarośniętej wodnymi
liliami.

Wyspę od brzegu rzeki oddzielał wąski kanał. Z okien wieży wypełzały karmazynowe
języki

płomieni. Nad nią szybował dziwny ptak o długiej szyi i białych skrzydłach
łabędzia, ale z

dziobem i szponami drapieżnika. W szponach unosił z pożaru białego, wijącego się
węża z

twarzą kobiety. Ptak i wąż miały błękitne oczy.

Kobieta zakończyła ścieg i przecięła nić. Oddarła skończony haft od wstęgi
płótna, tak

jakby oddzierała od swojego życia jakieś wspomnienie. Potem, nie odrywając
wzroku od

swoich nici, wyrzuciła oddarty fragment robótki z płonącej wieżą przez okno.

Zastygła na chwilę w bezruchu, jakby spodziewała się, że wyrzucony haft wleci z
powrotem do izby. Nic się nie stało. Kobieta nawlokła igłę nicią koloru lnu i

zaczęła obrębiać
oddartą krawędź.

Jakie to dziwne, pomyślała Melanthos. Może jesteś tak samo realna jak rycerz...

Sięgnęła po nici zafascynowana twarzą zrozpaczonej kobiety haftującej
zapamiętałe w

nadziei, że czyniąc to przekształci świat, który ją uwięził. Ciekawe, czy
potrafiłaby zmienić

postać, pomyślała.

Czy potrafiłaby wyfrunąć ze swojego więzienia, zwodząc oko zwierciadła, by jej
nie

rozpoznało?

I w tym momencie uświadomiła sobie, że Sel już nie śpi, że od jakiegoś czasu nie
słyszczy jej pochrapywania. Ale matka leżała nadal nieruchomo, zwrócona twarzą do

zwierciadła. Może widziała haft z płonącej wieżą i z kobietą przeistoczoną w
ptaka, który

unosi w szponach śmiertelne zakłęcie. Kiedy zwierciadło pociemniało, Sel
usiadła. Melanthos

nawlokła igłę nicią błękitną jak oczy kobiety i zaczęła haftować.

O świcie wyrzuciła przez okno uduchowioną, piękną twarz. Potem położyła się na
macie, przykryła pledem i zasnęła. Obudziła się po wielu godzinach spocona,

spragniona i

wścikie głodna. Była sama. Pewnie matka zatęskniła za światem ludzi. Melanthos

wzła

buty i zeszła po schodach. Na ostatnim stopniu siedział Anyon.

- Wołałem cię - powiedział ze skargą w głosie. - Nikt nie odpowiadał.

Schyliła się, by go pocałować. Zamrugął zaskoczony.

- Gentian szuka waszej matki.

Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

- Nie ma jej w piekarni?

- Nie ma.

- W wieży też jej nie ma.

- Nie ma?

- Nie. - Melanthos ogarnął niepokój. - Ciekawe, gdzie ją poniosło. Czy Gentian wzięła

sobie kogoś do pomocy?

- Do piekarni tak. Ale nie ma się kto zająć dzieckiem. Złapało katar, marudzi. -

Anyon

wyciągnął do niej rękę. - Zrób to jeszcze raz.

- Później... - Melanthos zmarszczyła brwi, wzięła go za rękę i poderwała ze schodka. -

Muszę ją znaleźć.

- Siedzi pewnie u Brenny.

- Być może. - Melanthos uderzyła Anyona w pierś, rozsierdzona jego znaczącym uśmiechem. - Nie pokpiwaj sobie z mojej matki.

- Gdzieżbym śmiał! Czy nie oddałem jej wszystkich swoich nici? Co z nimi zrobiła?

- Nie wiem jeszcze. Może nic. - Przytuliła się do niego na moment, a potem pociągnęła w stronę kamiennego lasu. - Szybko. Muszę ją znaleźć.

Na początek zaszli do Brenny. Brenna poczęstowała Melanthos jajem na twardo i powiedziała, że nie widziała Sel od wielu dni. Ale nie ma się czym przejmować, Sel to twarda

sztuka i prawdopodobnie targuje się o cenę cukru, zresztą nigdy nie oddała się zbytnio od

swoich dzieci. Ale Melanthos była coraz bardziej zaniepokojona. Zjadła jajko i pomaszzerowała do piekarni.

Zastała tam wrzeszczące dziecko i uwijającą się jak w ukropie Gentian.

Pomagająca

jej młoda dziewczyna, jedna z córek Lude, układała w koszyku bułeczki, licząc je na głos.

Anyon wziął dziecko na ręce i mała zaraz się uspokoiła. Gentian odetchnęła z ulgą, poprawiła

rozczochrane włosy.

- Gdzie matka? - spytała.

- Nie wiem. - Melanthos wzięła z koszyka ciepłą bułeczkę i odgryzła kęs. Córka Lude

spojrzała na nią z konsternacją. - Całą noc przesiedziała w wieży. Może poszła do siebie spać.

- Szukałam jej w domu. - Gentian ściągnęła brwi jak srożąca się syrena i patrzyła na

Melanthos pytająco.

- Może wybrała się na spacer - podsunął Anyon. Wzruszył ramionami. - Może poszła dzisiaj do innej tawerny albo w odwiedziny do kogoś. Na pewno wkrótce się znajdzie.

Siostry porozumiały się spojrzeniem.

- Idź jej szukać - zdecydowała Melanthos. - Ja posiedzę w sklepie.
- Nie. - Gentian westchnęła. - Ty idź. Ja muszę nakarmić dziecko. Masz, zjedz. -
Dała
Melanthos ciepły pasztecik i widząc wyraz twarzy Anyona, jemu też rzuciła jeden.
Wzięła od
niego dziecko. Córka Lude zaczęła liczyć bułeczki od początku.
Znaleźli Sel o zmierzchu na klifie w pobliżu kamiennego lasu. Stała na skraju
urwiska
zapatrzona w morze i przypominała kamienny monolit. Nie od razu ją rozpoznali.
- To zawsze tutaj stało - upierał się Anyon.
- Co ty opowiadasz? Jak martwe drzewo mogło wywędrować z kamiennego lasu...
- Po prostu nie zwróciłaś dotąd uwagi.
- Znam tu każdy kamień - zachnęła się Melanthos. - Policzyłam wszystkie drzewa w
kamiennym lesie... - I wtedy monolit drgnął, odwrócił się powoli. Melanthos
zaparło dech w
piersiach. Idący obok niej Anyon zatrzymał się jak wryty. Melanthos chwyciła go
za ramię. -
To ona. Masz swój monolit, który zawsze tu stał...
- No, wydawało mi się... - zaczął Anyon. Melanthos pociągnęła go na skraj
urwiska.
Sel czekała na nich spokojnie, przytrzymując rozwiewane przez wiatr włosy.
- Gdzieś się podziewała? - spytała Melanthos. - Co robiłaś tyle czasu?
Matka nie odpowiedziała od razu, tak jakby nie mogła sobie przypomnieć.
- Pływałam - odparła w końcu. - Potem siedziałam tutaj i obserwowałam foki. A
co?
Gentian mnie potrzebuje?
- Szukała cię wszędzie - powiedziała Melanthos. - Dziecko się przeziębiło. -
Zabrzmiało to bardzo trywialnie. Niemal słyszała myśli matki: Dwie dorosłe młode
kobiety
nie potrafią upiec paru bochenków chleba i zająć się dzieckiem? A co zrobicie,
jeśli...? Ale
nic nie powiedziała. Odchrząknęła tylko i ruszyła za nimi, przewiązując po
drodze włosy
wiązką wodorostów.
Nie pojawiała się w wieży, dopóki dziecko nie wyzdrowiało i nie wyrósł mu
pierwszy
ząbek. Do tego czasu Melanthos obejrzała dokładnie każdą z wykonanych przez nią
robótek.
Wszystkie były bezkształtne, nie przedstawiały niczego konkretnego.
- Ona się zmienia - powiedziała Gentian pewnego ranka, kiedy Melanthos wstała
wcześnie, by pomóc w wypieku, i stwierdziła, że Sel znowu gdzieś zniknęła.
Ziewnęła i
spojrzała pytająco na siostrę znad bułeczek, które właśnie formowała. - Po
pierwsze - ciągnęła
Gentian, wsuwając do pieca bochenki chleba - czasami rozpuszcza włosy, a po
drugie,
chudnie.
- W wieży niewiele jest do jedzenia.
- I ten wyraz jej oczu. Jakby patrzyła na coś bardzo odległego. Albo
nasłuchiwała.
- Jest czarodziejką - powiedziała Melanthos, znowu ziewając.
- Tylko tak mówisz. Sama w to nie wierzysz. - Gentian urwała i wytrząsnęła z

sita

mąkę na stolnicę. - A co to właściwie oznacza?

- To magia - odparła Melanthos.

- Pytałam, co to oznacza dla nas, jeśli ona naprawdę jest czarodziejką?

Melanthos zastanawiała się nad odpowiedzią, ugniatając ciasto, dzieląc je na porcje,

formując z nich rozgwiazdy i muszle, tak jak uczyła ją tego Sel. Matka dostała się bez

przeszkód na szczyt wieży, przeszła bez jednego zadrapania przez stos

ciemnych gałęzi, tak

jakby w ogóle ich - albo jej - nie było. Ciekawe, co matka teraz robi, co myśli, co czuje.

Uświadomiła sobie, że Sel rzadko im cokolwiek mówi, nawet kiedy pytają. Czy sobie mówi,

co myśli, co czuje? Czy może wyszywa kolejny amorficzny kształt, by on przemawiał za nią?

Ulepiła z porcji ciasta kolejną rozgwiazdę, położyła ją z innymi na kamiennej płycie,

wsunęła do pieca i zatrzasnęła drzwiczki.

- Nie wiem - mruknęła. - Zapytam ją. Czy ktoś przychodzi ci dzisiaj pomóc?

Gentian kiwnęła głową.

- Najstarsza córka Lude. Nie jest tak gadatliwa jak jej siostra. - Oparła się umazanymi

w cieście dłońmi o stolnicę i zapatrzyła w przestrzeń. Melanthos dostrzegła w jej oczach

z troską. - Boję się - powiedziała Gentian cicho. - I nie wiem dlaczego. O to też ją zapytaj.

Melanthos zastała matkę w wieży. Sel siedziała spokojnie na macie i oglądała swoje

robótki. Podniosła wzrok i Melanthos w jej twarzy ujrzała przez moment oblicze obcej

kobiety o tajemniczych, czy to dzikich, czy nawiedzonych oczach, ni to młodej, ni starej.

- Co robisz?

- Pora pozszywać je w całość - powiedziała obca kobieta prozaicznym głosem Sel.

- Dlaczego akurat teraz? - spytała ostro Melanthos

I Sel spojrzała na nią zdziwiona.

- Bo mam już wszystko, czego potrzebuję.

- Co uszyjesz?

- Chyba opończę... Nie jest zbyt kolorowa, ale mnie się podoba i będzie mi w niej

ciepło. Możesz sobie wziąć barwniejsze nici.

Uśmiechnęła się niespodziewanie i Melanthos przeraziła się, bo zrozumiała, że jej

matka już zniknęła, a tę uśmiechniętą obcą zostawiła, żeby za nią kłamała.

Kiedy Sel wyszła z wieży i wróciła do wioski, Melanthos też wyszła. Na równinie znalazła jednego z dzikich koni, które chwytala za młodu. Dosiadła go i

pojechała na północ

ku Trzem Siostram.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Cyan Dag rozmawiał z minstrelką ze Skye w przysadzistej, mrocznej wieży z otwartym wejściem. Siedzieli na masywnych kamiennych blokach. Podłogę stanowiło

ubite

klepisko; nie było tu niczego prócz kamienia, cieni i ich dwojga. Ciemności rozpraszała srebrzysta poświata emanująca z pierścienia na palcu Idry. Za progiem zapadał już wieczór.

W powietrzu unosił się zapach wilgotnej trawy, ziemi, polnych kwiatów. W gęstniejącym zmierzchu odróżnić można było już tylko najbledsze, najwrażliwsze odcienie zieleni.

- Różnica między tkaniem a haftowaniem - mówiła minstrelka jest oczywista, kiedy zajmujesz się jednym albo drugim. Większość rycerzy tego nie robi. Inne są warsztaty, inne

stosuje się nici, ściegi, narzędzia do prowadzenia nici... Długo zamierzasz tu zostać? Jest

jeszcze jedna wieża, do której musisz dotrzeć.

- Przyjemnie tutaj - odparł Cyan. - Spokojnie. Chyba zostanę na noc.

- Noce są tutaj długie. Mogą nie mieć końca.

- Sama mnie tu przysłałaś - przypomniał jej. - Próbuję znaleźć wieżę, w której więziona jest Gwynne ze Skye, ale te wieże wciąż się zmieniają... A ona haftuje, czy tka?

- Gwynne?

- Potworna istota, którą poślubił król, powiedziała, że tka i płacze.

- Wątpię, by знаła się na którejś z tych technik na tyle, by stwierdzić różnicę.

- Kto? Gwynne?

- Nigdy nie potrafiła usiedzieć długo na miejscu, to, co nosisz przy sobie, to haft.

Cyan wyciągnął haft z rękawa i rozpostarł go na kamieniu. Studiował drobne ściegi,

kolorowe nici układające się w wizerunek złotowłosego mężczyzny siedzącego na stosie

złota.

- Wyprawę do tej wieży mogłem sobie darować - mruknął cicho.

- On cię potrzebuje - powiedziała minstrelka. W srebrzystej poświacie jej stare oczy

były czarne i matowe jak skrzydełka zuka. Tym razem odziana była od stóp do głów w czerń;

długie siwe włosy spływały jej falą po prostych plecach. - My haftujemy swoje dni. Życie tka.

- Nie przybyłem do Skye dla Thayne'a Ysse.

- A skąd wiesz, po co tu przybyłeś? Nic na swej drodze przez warsztat tkacki spotyka

się z wieloma innymi nićmi.

Nie odpowiedział; nie miał jeszcze dla niej odpowiedzi, chociaż wiedział, czego chce

od niego ta kobieta. Siedzieli w milczeniu. Minstrelka patrzyła na niego

wyczekująco, a on

obserwował wieczór za progiem. Nic się tam nie poruszało, nie dochodził stamtąd żaden

dźwięk. Tylko odcień zieleni młodych liści paproci i lilii zmieniał się na coraz ciemniejszy.

Mógłbym tu zostać, myślał Cyan, wspominając swoją niefortunną podróż przez Yves i

Skye, wspominając, jak bez słowa wyjaśnienia opuścił króla i dwór. Prócz
Thayne'a Ysse
nikt nie wiedział, gdzie teraz jest. Prócz Thayne'a Ysse i minstrelki ze Skye,
która oczy ma
jak jeziora tak głębokie, że nic nie burzy od spodu ich powierzchni. Przeczuwał
jednak, że
ona czegoś od niego chce. Inaczej by jej tu nie było.
Nie jestem ani o krok bliżej wypełnienia misji, z jaka tu przybyłem, niż wtedy,
kiedy
opuszczałem Gloinmere pomyślał beznamiętnie. Dzięki Thayne'owi Ysse jestem od
tego
dalej niż kiedykolwiek. Tak daleko, że mogę już nigdy nie znaleźć drogi
powrotnej.

- Wiem - powiedziała.

- Może więc tu zostanę - mruknął, wcale nie zdziwiony, że odczytała jego myśli.

-

Pamiętam, co widziałem przez moment w tej wieży, kiedy mnie tu przysłałaś.

Marzenia,

wyprawy, cudowne krainy, obcy królowie na starożytnych, wspaniałych dworach...

Czy to

było realne? Czy tylko wywołałaś jakąś iluzję, by w moim sercu zaszcześcić
tęsknotę?

- Istnieje tylko to, co tu widzisz - powiedziała, rozglądając się po startych
kamieniach

i zalegającym nad ich głowami mroku czarnym jak oko ropuchy i tak samo
bezmyślnym.

- Teraz tak mówisz.

- Tak mówię - odparła, pozostawiając mu do rozstrzygnięcia, czy to prawda.

- Mimo wszystko - rzekł, opierając się plecami o kamienną ścianę i wpatrując w
gwiazdę za progiem - przytulniej tu niż w smoczej wieży. Tam cuchnie, pełno w
niej kości,

kamienie pocą się od gorąca. I gdybym wrócił, Thayne by mnie zabił. Tak
powiedział.

Oszczędzę sobie kłopotów i zostanę tutaj.

- Powiedziałeś mi, że ocaliłeś życie jego bratu. Thayne prędzej umarłby w tamtej
wieży, niż pozwolił żeby Craiche'owi stała się jakaś krzywda. Może przemyślał
wszystko i

już nie chce cię zabijać?

- Nie warto tam wracać tylko po to, by się tego dowiedzieć. Nie chcę oglądać
wynędzniałej twarzy Thayne'a Ysse obwiniającego mnie o wszystkie nieszczęścia,
jakie

spadły na Wyspy Północne. Wolę tutaj podziwiać nadejście nocy. Jej twarz jest
spokojna,

piękna, i pełna tajemnic.

Minstrelka wzięła do rąk leżącą obok harfę i wydobyła z niej kilka słodkich
tonów.

- Powinieneś się zdecydować. - Nie patrzyła mu w oczy. - To długa droga, a po
nocy

zabłądzisz.

Spojrzał na nią z namysłem.

- Czemu tak ci na tym zależy? Czego ode mnie chcesz?

- Jest jeszcze jedna wieża.

- Jest wielu innych rycerzy.
- Ale tylko jeden Cyan Dag. Jesteś mi potrzebny.
Tym razem chyba mówiła prawdę. Ale jej wymagania były złożone, niejasne i niosły ze sobą wielkie niebezpieczeństwo.
- Gdyby to tylko było warte mojego czasu - mruknął zobojętniały już na wszystko.
- Czy pani ze Skye nie jest warta twojego czasu?
- W tej chwili nie. Każesz mi wybierać między wieżami nocy i ognia. Nie chcesz mi wskazać wieży, w której więziona jest ta dama. Jeszcze nie teraz. Później. Zawsze jest coś ważniejszego. Idę czy zostaję? Którą wieżę wybieram? Chcesz, żebym wybrał ogień. Udowodnij mi, że to warte mojego czasu.
Dostrzegł pierwszy przeblysłk emocji w jej starożytnych oczach - niepewność, może ból wywołany jakimś dawnym wspomnieniem. Czekał, zapatrzony w zmierzch, węsząc w powietrzu zapach tajemniczych paproci, grzybów, gnijącego drewna, kwiatów rozsiewających płatki po trawie.
- Czego ty w ogóle chcesz? - spytała w końcu minstrelka, wrywając go z zadumy. Niczego, pomyślał. Niczego.
I nagle przyszła mu do głowy odpowiedź.
- Cria - szepnął. - Cria Greenwood.
I ujrzał ją przed sobą, zobaczył jej fiołkowe oczy, ciemne włosy, usłyszał słodki, lekko schrypnięty głos pachnący dymem z ogniska i winem. „Cyanie - odezwała się - gdzie jesteś?”
- Powiedz jej - zwrócił się błagalnie do minstrelki ze Skye - że wrócę.
Pochyliła głowę nad harfą. Zdawała się w nią wtapiać, jej kości zlewały się z ramą, włosy stawały strunami. Harfistka zespoliła się z instrumentem. Zaczęła grać. Przymknął oczy i słuchał, słuchał długo. Rozproszyły się ciemności, przez powieki zaczęło prześwitywać złoto. Próbował skryć się z powrotem w mroku wieży, ale nie mógł znaleźć drzwi. Wschodziło słońce. Bezlitośnie oblewało go swym blaskiem, obezwładniało, oślepiało. Spazmatycznie wciągnął powietrze w płuca, jak tonący, który po długiej walce o życie wynurza się z odmętów na powierzchnię. I wtedy poczuł ogień przenikający jego kości.
Próbował odtoczyć się od siebie samego. Czyjeś dłonie przytrzymały go za ramiona.
Krzyknął z bólu. Głos miał schrypnięty, język wyschnięty na wiór.
- Cyanie - powtarzał ktoś raz po raz. - Cyanie Dagu.
Z wysiłkiem uniósł płonące powieki. Pochylała się nad nim blada, wynędzniała twarz
Thayne'a Ysse, w jego oczach tliło się złoto, były jasne, nieludzkie. Oczy smoka, pomyślał
Cyan. Znowu poczuł płomień przenikający go na wskroś. Szarpnął się, zagryzł wargi tak mocno, że poczuł w ustach smak krwi.
- Nie umieraj - błagał Thayne. - Craiche nigdy by mi tego nie wybaczył.
- Przecież chciałeś mojej śmierci - wymamrotał Cyan.

- Ale już nie chcę.

Cyan znowu zamknął oczy i przypomniał sobie pogrążony w ciemnościach stok wzgórza, chłopca pełzającego przez trawę, deszcz. Deszcz. Rozchylił wargi, szukał na oślepie

kropel; spadały wszędzie wokół, tylko nie na niego, nie w jego usta, choć kręcił zapamiętałe głową, by je złowić.

- To nie deszcz - wychrypiał ze ściśniętym z rozpaczy gardłem. - To tylko złoto. Thayne puścił Cyana i wstał. Otaczała go złota aureola, poruszała się za nim jak skrzydła, przywierała doń jak zbroja, z jego palców strzelały długie smugi światła. I wtedy

Cyan zobaczył smoka - był w każdym kamieniu wieży, kamienie falowały w rytm jego oddechu, przybierały odcienie zieleni, brązu, miedzi, płomienia. Jak łuski na skórze bestii.

Wyraźnie widać było zarys nozdrzy i szczęki. Żrenica olbrzymiego ślepieca rozszerzyła się niczym otwierane drzwi. Jeden ze świetlistych palców Thayne'a rozjaśnił jej mrok.

- Wolność znajdziesz w oku smoka - powiedziała otoczona złotą aureolą postać, która kiedyś była Thayne'em.

A może powiedział to smok. Prawda to czy kłamstwo? Cyan napiął mięśnie, rozdierany między tymi dwoma słowami. Płomienie, które nie były ogniem, szalały w nim,

wydrążyły kości, aż w końcu Cyan poczuł, że jeszcze chwila, a stanie się jak ci zapomniani martwi na równinie.

Thayne, a może smok, przemówił ponownie. Wielki zakrzywiony, przypominający kosę szpon uniósł się i zbliżył. Cyan chciał się odsunąć. Cień przeorał mu serce, zanim szpon

go dosięgnął. Smugi światła, które były palcami Thayne'a, chwyciły go i uniosły ku paszczy

smoka. Nozdrze dotknęło pocerniałego, nadtopionego medalionu na jego piersi i powietrze

przecięła srebrna oślepiająco jasna błyskawica. Odskoczył, wpadł na stojącego za nim

Thayne'a i obaj runęli na brzęczący stos monet. Podłoga pod nimi zadygotała z łoskotem.

Srebrzysta błyskawica znowu z ogłuszającym trzaskiem przecięła powietrze. Cyan zasłonił

dłońmi oczy; miał wrażenie, że jego kości rozsypują się na wszystkie strony.

I nagle spadł deszcz.

Zupełnie jakby podniebna rzeka przesączyła się przez dno swego koryta i wylała na

równinę. Przez chwilę pił łąpczywie. Potem odwrócił się twarzą do ziemi, żeby zaczerpnąć

tchu, i stwierdził, że leży w kałuży błota. Uniósł głowę. Usiłując przebić wzrokiem potoki

deszczu, rozejrzał się za Thayne'em.

Zobaczył podnoszącego się smoka.

Potwór płonął po tamtej stronie ulewy niczym słońce. Rozpostartymi szeroko skrzydłami zdawał się ogarniać całą równinę. W jego szpony były pioruny. Smoczy

grzbiet
wyglądał jak odlany ze złota. Coś oderwało się od tego potwornego cielska,
połyskując
poleciało przez światło i mgłę - złota lza pośród deszczu. Spadło w błoto tuż
obok Cyana.
Moneta z twarzą Regisa Auruma na awersie.
Błyskawica przecięła niebo, a może był to pożegnalny płomień z paszczy smoka.
Grzmot odbił się echem od zboczy wzgórz. Cyan zamknął oczy. Krople deszczu
wsiąkały mu
pod skórę, szukały w kościach dymiących płomyków smoczego ognia.
Obudził się, czując zapach trawy i dymu, i chłodny oddech starego jak świat
kamienia.
Przekręcił się niemrawo na plecy. Nie musiał otwierać oczu, wiedział, gdzie
jest. Czuł
na twarzy ciepło słonecznych promieni, łagodne teraz, przesączone przez liście
drzew.
Zastanowił go zapach dymu i cichy trzask płonącego ogniska. Otworzył oczy. Wieża
stała
tam, gdzie ostami raz ją widział, na małej polance wśród drzew. Coś przyciągnęło
jego
wzrok. Błysk złota w trawie.
Cyan wyciągnął rękę, ujął w dwa palce mały krążek z profilem króla. Thayne Ysse
odleciał ze smokiem i jego wspaniałym skarbem. W Ysse przekuje profil Regisa
Auruma na
maskę bojową i odpłaci królowi za krzywdy. Cyan czuł w krtani gorzki smak dymu,
smak
porażki. Wsunął monetę do buta. Pora wstawać.
Ktoś go dotknął.
Drgnął. Sidera, pomyślał, widząc nad sobą długie czarne włosy. Ale nie, to była
nieznajoma o oczach mieniących się niezwykle barwami. Pomogła mu usiąść. Włosy
miała
czymś przykurzone, jakby mąką. Była smukła, długonoga, bosa, odziana w
wygniecione od
długiej jazdy płótno i welnę. Zdrożony koń parszający na wierzchowca Cyana nie
miał uzdy
ani siodła.
To ona rozpałała ognisko, którego dym poczuł. Piekła nad nim rybę. Czy czekała
na
niego pod tą wieżą?
- Nic ci nie jest? - spytała, przyglądając się jego porwanej tunice i wypalonemu
piętnu
na obnażonym torsie. - Znalazłeś smoka? - I w tym momencie zamrugła,
dostrzegając
nadtopyony medalion.
- Skąd wiesz o smoku? - wyszeptał.
- Widziałam go w zwierciadle. Ciebie również. Zwierciadło mi powiedziało, gdzie
cię
znajdę. - Wąską, pokrytą odciskami dłonią dotknęła medalionu palcem tak
delikatnie, jak
dotyka się twarzy.
Cyan ujął metalowy krążek w dwa palce i uniósł do oczu. W zmatowiałej,
poprzecinanej czarnymi żyłkami powierzchni zobaczył błękitne oczy damy i jej

piękne,
długie, białozłote włosy. A więc wciąż tam jest, pomyślał. Uwięziona, lecz żywa.
Spojrzał na

dziewczynę z nadzieją.

- Znasz ją? - Wstrzymał oddech.

- O tak - odparła jak gdyby nigdy nic. - Widziałam ją wiele razy. Jesteś ranny?

Z kim

walczyłeś?

- Ze smokiem - powiedział po chwili milczenia, nie odrywając od niej wzroku. - I

z

rozścieszonym lordem z Wysp Północnych.

- Z tym mężczyzną o złotych włosach?

- Tak. Skąd... jak...

- Widziałam w zwierciadle - powtórzyła i znowu delikatnie dotknęła krążka. -

Jest

trochę podobne do tego medalionu. Zabiłeś smoka?

- Nie. Thayne Ysse go uprowadził.

Popatrzyła na niego zdumiona.

- A więc musi dysponować olbrzymią mocą. Smoczą mocą.

- Jak ci na imię? - zapytał.

- Melanthos. A ty jesteś rycerzem z Yves?

Kiwnął głową.

- Nazywam się Cyan Dag.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam cię w zwierciadle, pomyślałam, że jesteś postacią

z legendy. Potem widziałam na własne oczy, jak wjeżdżasz do Skye. Przybyłam tu, żeby

prosić cię o pomoc.

- O pomoc?

- Tak. Rycerze pomagają przecież ludziom. Ludziom w potrzebie. Prawda?

Zamknął oczy i zakrył je dłońmi. Poczul aromat pieczonego łososia. Dygotał cały

z

wyczerpania i głodu, ale ból minął. Deszcz ugasił smoczy ogień. Cyan opuścił

ręce i kiwnął

głową, usiłując sobie przypomnieć, czy od opuszczenia granic Yves pomógł komuś w potrzebie.

- Zrobię dla ciebie, co będę mógł - obiecał dziewczynie.

- A ja pomogę ci znaleźć tę kobietę - powiedziała Melanthos, biorąc go za rękę.

-

Możesz wstać? Chodźmy bliżej ogniska.

- Wiesz, gdzie stoi ta wieża? - spytał z zapartym tchem. Zanim jednak dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, mroczna wieża znowu zaczęła go wzywać. Wołało do niego

coś, co w

niej zostawił. Albo czego nie zrobił. Zostawił dziewczynę i chwiejnym krokiem

wszedł do

środku.

Na kamiennym bloku, na którym siedział niedawno, rozważając możliwość pozostania tu na zawsze, znalazł haft. Było jeszcze na tyle jasno, że dostrzegł w nim

zmianę.

Zniknęli Thayne, złoto i smok. Ich miejsce zajęła piękna, zatroskana twarz pani

ze

Skye wyszyta kolorami tak zbliżonymi do naturalnych, że wyglądała jak żywa.

Wrócił do
ogniska, przy którym Melanthos czyściła rybę z ości.
Kiedy usiadł, podała mu na szerokim liściu dużą porcję łososia. I naraz
krzyknęła ze
zdumienia, dostrzegając haft w jego rękach.
- To jedna z moich robótek. A więc tu je przyniosło!
Cyan wyczuwał wokół siebie wirujące i przenikające się światy; wydało mu się, że
widzi smoczą wieżę wpisaną w tę mroczną, a w smoczej wieży wieżę, w której
straciwszy już
rachubę czasu i nadzieję, czeka pani ze Skye.
- Wciąż znajduję na swej drodze te hafty - powiedział drżącym głosem. - A więc
doprowadziłaś mnie aż tutaj. Znasz wszystkie wieże?
Kiwnęła głową, jej oczy połyskujące nieprzewidywalnymi kolorami były ciemne jak
kamienie albo muszle i nie dało się z nich nic wyczytać.
- Wiem, gdzie znajduje się wieża, w której więziona jest ta kobieta - szepnęła.
- Zjedz
rybę i zaprowadzę cię tam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Sel poskładała fragmenty swego życia w całość. Na pozór różniły się tylko
nieregularnością kształtów haftu i proporcjami szarości lub brązów. Jednak Sel,
sortując je na
szczyt wieży, widziała w nich swoje wspomnienia. Jeden haft przedstawiał Joeda
na łodzi
odbijającego rankiem od nabrzeża w oślepiający blask słońca i zegnającego ją
uniesieniem
wiosła. Byli niedawno po ślubie i nie mogła się na niego napatrzeć, nawet kiedy
stał się
ciemną plamką na pełnym morzu. Inny haft przedstawiał port pełen fok
przetykających fale
brązowymi i szarymi ściegami. Był tam również haft upamiętniający narodziny
Gentian i
haft, na którym rodzi się dziecko Gentian, i haft, na którym Melanthos,
schwytałszy dzikiego
konia na równinie, jedzie na nim brukowaną uliczką Kamiennego Lasu. Był tam haft
przedstawiający kamienny las; w długich smugach brązów i szarości Sel widziała
tajemnicze
kształty. „Kamień czy drzewa? - zadawały sobie jak zawsze pytanie. - Czy żyłyśmy
kiedyś?”
Przeważnie widziała morze.
Znaczyły jej dni długimi porpcami fal, było bez przerwy w jej myślach.
Odślaniało
swoje sekrety - ostrygi wytwarzające perły, syreny pośród koralu, świetliste,
chłodnookie
duchy tych, którzy stąpali niegdyś po lądzie i którym morze skradło serca. Każda
spieniona
fala rozbijająca się z sykiem o brzeg wołała ją po imieniu. Obcy z głębin
obserwowali ją i
portowe foki ciemnymi, starożytnymi oczami. „Sel, wracaj!” - krzyczeli wzburzeni.
Zszywała nicią przeszłość z przyszłością. Kiedy skończy szyć, jedna będzie się
mogła
stać drugą. Ze wspomnieniami też skończy. Będzie tylko morze.
Po wielu godzinach odłożyła igłę. Coś ją zaniepokoiło, coś, co wydarzyło się na

świecie. Poza tym oczy jej się zmęczyły. Musi dać im odpocząć, popatrzy na kamienie drzewa albo na skałki rozsiane po równinie. Zeszła na dół i natknęła się na Gentian siedzącą na najniższym stopniu.

Była sama. Znowu płakała, tym razem rzewnie. Nos miała czerwony; oczy podkrążone. Łzy kapały na poplamiony ciastem i mąką fartuch. Sel usiadła obok córki.

Mieściła się teraz z Gentian na jednym stopniu; schudła wchodząc i schodząc po schodach, mieszkając częściej w wieży niż w piekarni.

- Co się stało? - zapytała, kiedy Gentian ukryła twarz w fartuchu. - Coś z dzieckiem?

Gentian pokręciła głową, stłumiła szloch.

- Zmieniłaś się - wyszeptła. - Nie wiem, dokąd odeszłaś.

- Nigdzie nie odeszłam - powiedziała zdziwiona Sel. Morze kłębiło się wokół niej,

przywoływało, wciągało.

- Siedzisz tam od wczoraj!

- Naprawdę? Przepraszam.

- Wciąż to powtarzasz, ale wracasz do świata na godzinę dziennie, a potem, kiedy tylko się odwrócę, znowu znikasz!

- Jestem tu teraz.

Gentian jednak nie mogła się uspokoić. Jej oczy znowu napelniły się łzami. Sel poklepała ją po dłoni.

- Przestań się dąsać. Nie jesteś już dzieckiem. Sama masz dziecko. Pozwól mi pożyć

własnym życiem.

- Zrobiłabym to, gdybym wiedziała, że właśnie tego chcesz.

- Czego...?

- Gdybym wiedziała, że chcesz żyć.

O tak, myślała Sel, czując, jak fala płacze jej włosy, jak wodorosty owijają się wokół

niej swoimi długimi palcami i prowadzą do królestwa, gdzie nie ma wiatru. O tak, żyć.

Zapominając, po co przyszła tu Gentian, podniosła się ze schodka.

- Muszę wracać do pracy. Już prawie kończę.

Gentian była blada. Oczy miała już suche, tak jakby wypłakała wszystkie łzy.

- Co kończysz? - spytała cicho. - Moją opończę.

- I wrócisz do domu, kiedy już skończysz?

Sel kiwnęła głową.

- Wieża nie będzie mi wtedy do niczego potrzebna.

Gentian znowu wykrzywiła się jak do płaczu. Sel położyła jej dłoń na głowie i odwróciła się. Zapomniała, po co zeszła, a siadając znowu do pracy, nie pamiętała już, że w

ogóle była na dole.

Po chwili dostrzegła kątem oka jakiś błysk w zwierciadle. Widniejące w nim zwierciadło z tamtej wieży odbiło iskierkę światła na drodze. Kobieta z wieży nie zwracała

najmniejszej uwagi na człowieka zbliżającego się drogą. Pochylała się nad haftem, jej igła

krążyła i nurkowała niczym mewa. Sel zauważyła, że hafciarka odwróciła tamborek.

Ukończone obrazy spływały teraz na jej stopy, puste jeszcze zwoje płótna trzymała na kolanach. Wyszywała czyjąś postać. Musiała nad nią pracować cały dzień i noc, bo twarzy zwisającej po drugiej stronie tamborka nie było już widać. Pracowała teraz nad dłońmi. Były długie i wąskie, ozdobione klejnotami, poruszały się na jakimś złożonym tle. Między palcami chyba wiła się droga, ponad pierścieniami wyrastały korony drzew. Pod jedną dłonią pozostał mały pusty kwadracik płótna. Sel przyglądała się z zaciekawieniem haftowi. I nagle w oczach miała morze, nici w jej dłoniach zafalowały i zatrzepotały, położyły się białymi ściegami piany na tle szarości. Jeźdźców w zwierciadle ujrzała, kiedy dopasowywała do siebie rozłożone na podłodze robótki. Wyobrażała sobie, jak jej dzieło pływa, a potem, już puste, zostaje rozpostarte do wyschnięcia. Ten kawałek pasuje tu, ten chyba tu... I naraz jej oko przyciągnął rozbłysk koloru w zwierciadle. Podniosła wzrok i zobaczyła najpierw rycerza o szlachetnej, poważnej twarzy, długich, czarnych jak muszla małża włosach i oczach jak morze odbijające chmury. Jechał na złotym koniu z płową grzywą i ogonem. Przy jego kolanie połyskiwał ciemnoczerwony klejnot zdobiący rękojęść miecza. Przysunęła się bliżej zwierciadła, by przypatrzeć się drugiemu jeźdźcowi. Smukłe ciało, bosa stopy, włosy koloru drzewnej kory splecione jak winorośl... - Melanthos! - szepnęła zdumiona. Melanthos jechała na oklep na dzikim srokatym koniu z równiny. W pewnej chwili pochyliła się, szepnęła mu coś do ucha i srokacz zwolnił kroku. Sel wsączyło się coś w kości, morze czy ogień, nie była pewna. - Co ty robisz? - spytała córkę. - Gdzieś się nauczyła rozmawiać z końmi i wchodzić do zwierciadeł? W odpowiedzi obudziło się wspomnienie: ona sama, może z sześć lat starsza od dzisiejszej Melanthos, i jej dzieci. Właśnie zaczynały chodzić. Buzie miały wiecznie czymś zajęte - słowem, palcem, kęsem. Kiedy nie było Joeda, bawiła córeczki i siebie rozmaitymi sztuczkami. Sztuczkami, których nauczyła się od swojego ojca i zapamiętała piąte przez dziesiąte, przechodząc z tamtego świata do innego. Odrywała cienie od podłogi i kazała im tańczyć. Wprawiała w ruch wirowy małe obłoczki piasku. Kazała martwym rybom pływać w powietrzu i wypuszczać z pyszczków roje srebrnych bąbelków. Wszystko to, żeby rozśmieszyć córeczki i zagłuszyć czar przywołujących ją fal. Nie będą tego pamiętały, wmawiała sobie. Kiedy Joed wracał do domu i zastawał ją przy zmiataniu piasku z podłogi,

próbowały mu opowiadać, czego były świadkami. Ale słowa, które znały, pochodziły z innej krainy; nie nauczyły się jeszcze języka Skye. Joed śmiał się i nic z tego nie rozumiał. Sel, która chciała być tak człowiekiem jak Joed, i chciała być kochana, zatrzymywała swoje tajemnice dla siebie. Nie przewidywała wtedy, że Joed może zostawić ją samą na świecie, odejść do morza. Kiedy dzieci nauczyły się mówić, definitywnie skończyła z magią. Teraz wiedziała, że mogła śmiało się nią posługiwać i ułatwiać sobie w ten sposób codzienne życie. W Skye takie umiejętności nie należały do rzadkości. Ale to mogło ją odmienić w oczach Joeda. Znał ją jak swoją łódź, jak ryby, które łowił, jak kierunki wiatru, jak zmiany tonacji w huku przyboju. Dla niego była człowiekiem, dla niego odwracała się plecami do wszystkiego, co mogłoby go w niej przerazić. Oddaliła się tak bardzo od tego, czego się bał, że chyba nawet zapomniała, jaka była kiedyś. Ale oto w Melanthos na nowo rozgorzał ten płomień. Weszła bez lęku po zaklętych stopniach wieży i pobudziła do życia drzemiące w zwierciadle obrazy Sel domyślała się, że właśnie dlatego jest teraz z rycerzem. Żadne zwierciadło, żadna wieża nie mogły uwięzić Melanthos. Znajdzie wyjście ze wszystkiego, nawet z żałoby. Tak rozmyślała Sel, szując aż do zachodu księżyca. Potem wstała i wyszła z wieży w surową, chłodną, bezgwiezdą godzinę przedświt. Tumany mgły kłębiły się nad klifem, widziała jednak spienione fale w dole i słyszała niekończący się, głuchy huk przyboju. Za chwilę zacznie się odpływ i rybacy wypłyną w morze. Gentian pewnie już wstała i przygotowuje ciasto do porannego wypieku. Pomogłaby jej, ale wioska wydawała się bardzo odległa, położona w innym świecie, za daleko od kamiennego lasu, żeby zdołała tam teraz dotrzeć. Odwróciła się i wspięła z powrotem na szczyt wieży. Zapaliła lampę i rozwinęła kawałki opończy. Złożyła razem przód z tyłem i zaczęła je zszywać, pozostawiając otwory na ludzką głowę, ręce i nogi. Kiedy skończyła, słońce już wschodziło. Zwierciadło otworzyło oko na rozległą, usianą skałami równinę. Sel wycięła dwie dziury w kapturze i obrębiła je starannie. Przymierzyła opończę, dodając tu i ówdzie łątkę, żeby okrywała szczelnie dłonie i stopy. Potem owinęła się opończą i zaczęła zszywać ze sobą obie krawędzie rzadkim, długim

ściegiem. Śpieszyła się, bo czas uciekał, a nie wiedziała, kiedy wróci Melanthos.

Kobieta ze zwierciadła pracowała z takim samym pośpiechem. Sel, zerkając na nią od czasu do czasu, widziała, jak wyszywa szlaczek z ptaków i lilii wzdłuż skraju swojej sukni.

Hafciarka nie zwracała uwagi na swoje zwierciadło, w którym sceny zmieniały się raz po raz, jakby lustro chciało odciągnąć ją od pracy. W pewnej chwili Sel zobaczyła w zwierciadle

kobiety morze - zalew piany, która cofając się, zaczęła odsłaniać rozgwiezdy, małe białe

skorupiaki, morskie kwiaty przylegające do kamieni. Patrzyła oczarowana. Kobieta nie

oderwała nawet oczu od robótki.

Sel zaszyła opończę do końca, przerwała nić i powiedziała cicho:

- Gotowe.

Poprawiła opończę na ramionach. Trzymając od środka elementy na ręce, nasunęła sobie kaptur na głowę. Wycięte w nim dziury znalazły się na poziomie oczu.

Spojrzała w

zwierciadło, które w tym momencie odbijało rzeczywisty świat, i zobaczyła swoją nową

twarz.

Słyszając kroki na schodach, odwróciła się błyskawicznie. Próbowana odrzucić na plecy

kaptur wyobrażający foczy pyszczek, zanim Melanthos go zobaczy, ale ścieg zaplątał się jej

we włosy. Wstrzymała oddech, zamarła. Z podestu schodów patrzył na nią czarnowłosy

rycerz z obnażonym mieczem w dłoni. Wyglądał na tak samo zaskoczonego jak ona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Cyan wsunął miecz do pochwy. Nie rozumiał, co ma przed sobą, wiedział jednak, że z

magią nie wygra, a straszenie mieczem dziwadła ze Skye wydało mu się szczytem nietaktu.

Postać w okrywającym ją od stóp do głów workowatym przebraniu, stojąca nieruchomo na

słomianej macie pośród porzrzuconych bezładnie koców, nici, nożyc, skrawków płótna,

patrzyła na niego przez okrągłe dziury w osobliwej masce.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem - powiedział. - Szukam kobiety z wieży.

Czar prysł. Postać drgnęła i ściągnęła z głowy śmieszny kaptur. Była to kobieta, ale

zupełnie mu nieznajoma. Miała szeroką, wyrazistą, ogorzałą twarz naznaczoną przez czas,

słońce, wiatr, doświadczenie. Długie falujące włosy spływały jej szarymi, czarnymi i siwymi

pasmami na plecy. Oczy miała ciemne, przygaszone przez wspomnienia albo troski.

I te oczy

nagle ożyły, zabłyśły. Cyan zamrugał. Poznał je.

- Przeprowadziła cię tutaj Melanthos - odezwała się kobieta, spoglądając nad jego

ramieniem. - Gdzie ona?

- Poprosiłem, żeby zaczekała na dole. Myślałem... - Westchnął i przeczesał palcami

włosy. - Myślałem, że tu może być niebezpiecznie.

- Po co cię tu przyprowadziła? Żeby ci pokazać damę ze zwierciadła?

Cyan przeniósł wzrok na okrągłe lustro w prostej drewnianej ramie stojące na parapecie okna. Odbijało widok z przeciwległego okna. Postąpił krok w jego stronę.

- Widujesz ją w nim? - wykrztusił.

- Czasami. Jest bardzo piękna...

- Tak.

- Ma niebieskie oczy i długie...

- Tak. To kobieta, której szukam.

Kiwnęła głową, nie okazując zdziwienia.

- Wygląda tak, jakby miała w sobie coś z ryby. Ta jasna cera, szeroko rozstawione

oczy, długi rybi nos.

Zrozumiał teraz, co tak uderzyło rycerzy z Gloinmere, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyli.

- Tak - szepnął, znowu zaintrygowany.

- A więc widziałeś ją?

- Tak. To znaczy nie. Widziałem kobietę, która się pod nią podszywała.

Strząsnęła z ramion swoje przebranie, zwinęła je w bezkształtny tobołek i wepchnęła

pod stos płótna. Potem spojrzała na Cyana, otworzyła i zamknęła usta. Sama trochę

przypominała mu rybę. Dostrzegł w jej oczach dziwną tęsknotę.

- Opowiedz mi o niej - poprosiła głębokim, lekko schrypniętym głosem. - Co uwięziło

ją w tej wieży, jak można ją uwolnić...

Zawahał się. Kolory w stojącym za nią zwierciadle zafalowały, ujrzał błękitną tkaninę,

delikatne, smukłe dłonie, pierścienie połyskujące na długich palcach unoszących igłę.

Rozchylił usta; wizja zbladła. Zastąpiło ją odbicie stadka owiec pasących się w dali między

skalkami.

Kobieta z tej wieży czekała na odpowiedź. Oderwał w końcu wzrok od zwierciadła i spytał:

- Kim jesteś?

- Mam na imię Sel. Jestem piekarką z Kamiennego Lasu. Melanthos to moja córka.

- Tak też sobie pomyślałem - powiedział. - Podobna do ciebie.

- A ciebie jak zwa?

- Cyan Dag. Przybyłem z Gloinmere.

- Wiedziałam. Wiedziałam, że jesteś rycerzem, kiedy zobaczyłam cię w zwierciadle.

- Widziałeś mnie?

- Ciebie i Melanthos jadących razem. Myślałam, że prowadzi cię... - Urwała, podeszła

do okna i wyjrzała ostrożnie, tak jakby nie chciała zostać zauważona. - Nie widzę jej. Ale ona

zawsze pojawia się i znika jak zjawy. - Obejrzała się na Cyana z nagłym

zainteresowaniem. -

Sam wszedłeś na górę?

- Sam.

- Większość ludzi nie potrafi przedostać się tu przez magię. Ale ty się jej nie ulękłeś?

- Nie zauważyłem niczego magicznego - odparł niepewnie.

- Cóż - powiedziała powoli, przyglądając mu się uważnie - skoro nie zauważasz już

niewinnych iluzji, to albo sam jesteś czarodziejem, albo widzisz, co kryje się pod nimi.

- Nie znam się zupełnie na magii - burknął - tylko, że istnieje. Doświadczałem jej

przejawów, podróżując przez Skye.

- Dotarłeś tutaj. W tym też jest magia.

- Znowu trafiłem do niewłaściwej wieży.

- Cóż - powiedziała po chwili milczenia - może cała magia tkwi w tym, jak patrzysz

na świat. - Zawiesiła głos i znowu uważnie mu się przyjrzała. - I w tym krążku na twoich

piersiach. Jest jak zwierciadło...

Cyan dotknął medalionu delikatnie, tak jakby nie chciał zakłócać spokoju odbijającej

się w nim kobiecie.

- Ma w sobie większą moc, niż jestem w stanie pojąć, a nawet sobie wyobrazić. Już

dwa... nie, trzy razy ocalił mi życie.

- Kto ci go dał?

Cyan potrząsnął głową.

- Ktoś konający. A bardziej prawdopodobne, że od dawna już nie żyjący i wysyty niemi przez Melanthos. Kto dał ten krążek jemu, żeby mi go przekazał, mogę się tylko

domyślać.

- I czego się domyślasz?

Cyan pokręcił głową i zacisnął mocno usta.

- To chyba fragment jakiejś innej opowieści.

W zwierciadle znowu zamigotały kolory. Zobaczył nad owcami ptaki żółte jak masło.

Sel schyliła się, rozprostowała matę i przykryła ją skłębionymi kocami.

- Strasznieś obszarpany. Ściągaj tę tunikę z wieżami i siadaj - zaproponowała. - Pozszywam ci ją. A zwierciadło pokaże ci może w tym czasie, dokąd się dalej kierować.

I tak nic innego nie przychodziło mu do głowy. Ściągnął porwaną tunikę, nie usiadł

jednak, przypominając sobie, co zobaczył, kiedy tu wszedł, i co Sel ukryła przed nim w kącie.

- Co miałaś na sobie, kiedy tu wszedłem? - spytał.

Odwróciła wzrok, ale zaraz znowu na niego spojrzała. Dostrzegł w jej oczach zatroskanie, tajemnicę, smutek, sekretne plamki mroku kłębiące się jak kształty pod falami.

Magia, pomyślał, przypominając sobie: nieludzka maska na ludzkiej twarzy, hafty... widział

już gdzie indziej, jak ożywają...

- Opowiem ci pewną historię - odezwała się w końcu - jeśli i ty mi swoją opowiesz.

Po chwili wahania kiwnął głową. Byli w tej małej starożytnej, wystawionej na wiatry

wieży, tak daleko od Gloinmere i jej niebezpiecznej tajemnicy, że sarno Gloinmere wydawało się miastem z bajki.

- Ale nie wiem - ostrzegł ją - jak skończy się moja.

- Je też nie znam zakończenia swojej - przyznała.

Z tymi słowami zostawiła go i poszła po coś do zjedzenia i do picia. Przez jakiś czas

wpatrywał się intensywnie w zwierciadło, potem powieki mu zaciążyły, położył się na

zasłanej kocami macie i zasnął. Obudziła go Sel. Melanthos zeszła do piekarni na posiłek, a

potem znowu zniknęła, obiecawszy pracującej samotnie Gentian, że wkrótce wróci. „Wkrótce” to słowo rozciągliwe i rozciągnęło się na całe popołudnie. Sel wyjęła z koszyka

flaszkę wina i kubki, paszteciki i podpłomyki, bochenek chleba w kształcie muszli, gomółkę

sera i wędzoną rybę. Cyan rzucił się łapczywie najadło, ona zaś wzięła się za zszywanie jego

tuniki. Wzrok Cyana przyciągnęły w pewnej chwili smużki błękitu przepływające przez

zwierciadło. Sel też tam spojrzała i smużki się rozwiały.

- Tak bywa - powiedziała Sel. - Ale zobaczysz ją wyraźnie. Tylko cierpliwie poczekaj.

Cyan przeniósł wzrok na jej twarz - zbyt nalaną i prostacką, zbyt czerstwą, by doszukiwać się w niej urody. Ale wyczuł w niej dziwny smutek, a także moc, jakąś tajemnicę.

Ta kobieta wiele wiedziała, widziała rzeczy, których on nie dostrzegał. Spod patyny czasu

wydzierała młodsza twarz o wydatnych kościach policzkowych, dziwnych, szeroko rozstawionych oczach, pełnych ustach uśmiechających się do świata, twarz promieniejąca

własnym, specyficznym pięknem. Pochylała się nad jego opończą, zszywając złotą nicią dwie

połówki rozdartej wieży. Długie włosy spływały do podłogi, spowijając jej tęgą, lecz pełną

gracji sylwetkę. Zupełnie jakby starała się pod nimi ukryć.

- Jak trafiłaś do tej wieży? - spytał.

- Zawsze stała tutaj, na skraju kamiennego lasu. Przyszłam któregoś dnia po przesiadującą przed zwierciadłem Melanthos i już zostałam.

- Powiedziała mi, że haftuje.

- Tak. To co zobaczy w zwierciadle. Ale nie zatrzymuje tych haftów. Wyrzuca je przez okno i znikają.

- Niezupełnie - powiedział i pokazał jej haft, który znalazł w mrocznej wieży wznoszącej się na zacisznej polance.

Sel spojrzała na bladą, zatroskaną, piękną twarz, na ściągnięte brwi.

- Tak, to jej robota - powiedziała, kiwając głową. - A więc znalazłeś to...

- Znalazłem też inne. Wygląda na to, że jest w nich jakaś magia. Prowadziły mnie...

Ty też je wyszywasz?

- Nie. Tylko Melanthos.

- A co robisz ty?

Zerknęła na niego przelotnie i odwróciła wzrok, spoglądając przez okno na wodę rozlewającą się poza krawędzią świata i każdej nocy wsysającą słońce, księżyc i gwiazdy w

swe tajemne królestwo.

- Urodziłam się w... urodziłam się tak blisko morza, że zakochałam się w nim już w

dzieciństwie. Znałam ryby i foki, rozumiałam, co sobie opowiadają. Kiedy pojawił się Joed,

stał między mną a morzem. Potem przyszły na świat moje córki, Gentian i Melanthos i

przystało istnieć dla mnie wszystko poza ich słodkimi buziami. A potem Joed odszedł. -

Uniosła tunikę i przyjrzała się ścięgowi. - Utonął w morzu. Pomyślałam więc sobie, że skoro

kocham Joeda i kocham morze, pójdę tam za nim.

Cyan milczał przez chwilę.

- Czyli uszyłaś to... - Wskazał dyskretnie głową.

- Uszyłam sobie skórę. Która mnie tam zabierze.

- Ta twarz... to pyszczek foki...

- To skóra foki.

- I spełni swoje zadanie?

Jej usta drgnęły, wykrzywiły się w dziwnym uśmiešku, który zmroził mu serce.

- W ten czy inny sposób.

Zapętlila złotą nitkę i przerwała ją. Potem sięgnęła po nić granatową i nawlokła nią

igłę. Przyglądał się jej wstrząśnięty i nie wiedział, co powiedzieć.

- Teraz czas na twoją historię - odezwała się. - Jak to się stało, że przywędrowałeś z

Gloinnere do Skye, szukając kobiety ze zwierciadła?

Opowiedział jej historię króla omotanego przez potwora, który w magiczny sposób przybrał postać czarującej damy ze Skye, a prawdziwą damę uwięził w wieży, z której nie

było jakoby ucieczki. Tylko dwie osoby w całym królestwie znały prawdę: on, Cyan Dag,

oraz minstrelka, która przybyła do Yves w orszaku czarownicy.

- Nie mogłem powiedzieć królowi - ciągnął z bólem. - Nie mogłem go ostrzec. Nie miałem dowodu. Zdobyłem go dopiero po weselu, kiedy ona ukazała mi swą prawdziwą postać i naigrywała się z mojej bezradności wybrałem więc jedyne możliwe wyjście.

Opuściłem Gloinnere i pojechałem do Skye.

Sel przestała szyc, opuściła ręce. Słuchając opowieści Cyana, wpatrywała się w zwierciadło, jakby równocześnie ją w nim oglądała.

- Skoro nie może wyjść z tej wieży ani nawet z niej wyrzeć, bo przypłaci to życiem,

to jak chcesz ją uratować?

- Nie mam pojęcia. Ale trzeba to zrobić. Na razie nie znalazłem nawet tej wieży.

Wciąż przybiera kształty innych wież.

- Może w zwierciadle zobaczysz odpowiedź.

- Mam taką nadzieję.

Sel znów zaczęła szyc.

- Jak wyglądały te inne wieże, które do tej pory znalazłeś?

- Wokół jednej owijał się smok...

Sel znowu ręce opadły. Patrzyła na niego zdumiona.

- Melanthos widziała taką.

- Druga była mała, mroczna, otoczona pierścieniem drzew. Rozmawiałem tam z minstrelką ze Skye o umieraniu.

Patrzyła na niego niezgłębionymi oczami.

- Co cię trzyma przy życiu?

- Przypomniała mi, że w Gloinmere jest kobieta, którą kocham...

- Tak. - Sel pochyliła się nad zszywaną tuniką. - A ja kocham mężczyznę, który jest w morzu.

- On nie żyje - zauważył cicho, czując, że wstępuje na niepewny grunt.

- No to co?

- Czy nikogo nie kochasz na tyle, żeby tutaj zostać?

- Moje córki są już dorosłe, poradzą sobie beze mnie. Foki wpływają do portu i wołają

mnie po imieniu. To teraz moja jedyna miłość i nic mnie nie powstrzyma.

- Nawet żałoba, w jakiej pogrążysz tych, którzy cię kochają?

- Zrozumieją. - Zakończyła szew, sięgnęła po nożyce i przecięła nić; odniósł wrażenie,

że przecina na pół oddech, którego zaczerpnął, by wysunąć kolejny argument.

Oddała mu

tunikę i kiedy wkładał ją przez głowę, poprosiła: - Opowiedz mi o tej kobiecie z Gloinmere,

którą kochasz. Jak ma na imię?

- Cri. Cri Greenwood.

- Ładnie. A ona cię kocha?

- Nie wiem - przyznał ze smutkiem. - Wyjechałem, nic jej nie mówiąc, i to w najgorszym możliwym momencie... Ojciec chce ją wydać za bardzo bogatego pana, którego

ona nie kocha. Ale do tego czasu może już podporządkowała się jego woli; mnie tam nie było

i nie miał kto utwierdzać jej w uporze.

- Zostawiłeś ją? Tak po prostu wyjechałeś?

- Tak.

- Bez pożegnania? Bez rozmowy z nią? Bez...

- Tak - powiedział, blednąc i sztywniejąc z niepokoju i strachu pod jej baczny spojrzeniem. - Bez słowa.

- No to czego się spodziewasz?

- Nie wiem. Ty mi to powiedz. Czego mogę się spodziewać, znikając bez słowa z czyjegoś życia?

- Ona pomyśli, że jej nie kochasz... nie będzie już wiedziała, kim był ten, którego

darzyła miłością... - Zawiesiła głos, a kiedy dalej patrzył jej wymownie w oczy, spłonęła

rumieńcem. - W moim przypadku jest inaczej - zaprotestowała. - To co innego.

Moje córki

wiedzą, że je kocham...

- A więc i Cri powinna wiedzieć, że ja ją kocham. Nawet jeśli nie wrócę. Nie powinna zwątpić... nie powinna dopuszczać do siebie myśli, że przez cały czas ją

okłamywałem. Nie powinna się zastanawiać, co takiego uczyniła, że ją opuściłem...

Oczy Sel, pełne łez, zalśniły kolorami morskiej głębi.

- Z moimi córkami tak nie będzie. I ja tego potrzebuję. Potrzebuję tego bardziej, niż

one potrzebują mnie.

- Tak - powiedział, dotykając spracowanych dłoni, które zszyły wieże na jego tunice. -

Potrzebujesz. Ale nic cię nie nagli, prawda? Morze ci nie ucieknie. Nie możesz pozostać

człowiekiem jeszcze jakiś czas dla tych, którzy cię kochają? Morze na ciebie zaczeka. Joed

zniknął w nim i pozostawił cię w żałobie. Ty przekażesz tę żałobę swoim córkom, jeśli tak je

opuścisz.

- To samo odnosi się do ciebie.

- Owszem - szepnął. - Ten jeden jedyny raz w życiu przestraszyłem się kogoś.

Może

straciłem to, co najbardziej kochałem, uciekając w ten sposób z Gloinmere przed kobietą o

oczach węża i stopach pokrytych srebrną łuską, która odprowadzała mnie śmiechem...

Sel patrzyła na niego oczami suchymi już, głębokimi i tajemniczymi jak morze śpiewające bez końca za murami wieży. Poszukał w nich reakcji na swoje argumenty i nie

znalazł, widział tylko niezgłębiony, mieniący się kolorami mrok. Ścisnął mocniej jej dłonie. I

nagle przypomniał sobie nieludzką postać, jaką zobaczył po wejściu do tej wieży, coś

zamaskowanego, potężnego w swej obcości, bo nie znał na to słowa. Coś, czego nie trzeba

ratować, co uwolni się samo.

W zwierciadle za plecami Sel nastąpiła jakaś zmiana.

Sel poczuła, jak drgnął, i obejrzała się.

- Jest - szepnęła. Błękity i ptaki ukształtowały się w falujące włosy i znajomą twarz

pochyloną nad robótką, w igłę wyciąganą właśnie z tkaniny.

Cyan z zaciśniętą krtanią czekał, aż igła opadnie, a kobieta obróci nieco głowę, może

na moment uniesie, żeby mógł lepiej przypatrzeć się twarzy.

Czekał na próżno. Dłoń trzymająca igłę znieruchomiała w powietrzu, głowa pozostała

opuszczona, widać było tylko półksiężycę rzęs i zarys warg. Zaintrygowany tym bezruchem,

nachylił się do zwierciadła. I nagle zdał sobie sprawę, co widzi. Zaparło mu dech w piersiach.

Sel też to sobie uświadomiła i uniosła się na kolana.

- To haft... wyhaftowała samą siebie!

- A gdzie teraz jest?! - krzyknął z rozpaczą Cyan. - Nie żyje?

- Nie, wyhaftowała to własnymi rękami! Obserwowałyśmy ją z Melanthos przy pracy.

Sporządziła swój wizerunek dla lustra, by ją przed sobą widziało, by widziało, jak siedzi i

haftuje w nieskończoność, i nigdzie nie wychodzi.

- Ale gdzie...

- Uwolniła się. Opuściła wieżę.

Cyan patrzył na Sel z walącym sercem.

- Czyli nie żyje.

- Doprawdy?

- Jeśli wyjdzie z wieży...

- Ależ ona z niej nie wyszła. Spójrz tylko. Wciąż tam jest.

Zamknął oczy, do których napływały łzy. Kiedy je znowu otworzył, zobaczył nieruchomy wizerunek damy w wieży, z której jedynym wyjściem jest śmierć.

Wyczuł, że Sel wstaje, usłyszał szelest materiału. Odwrócił się, chwycił ją za rękę i

zobaczył przed sobą twarz foki.

- Nie...

- Ona to zrobiła - powiedziała foka. - Zrobiła to samo, co ja chcę zrobić, żeby uciec.

Dokonała wyboru. Może nie żyje, ale podjęła ryzyko i nie umrze w niewoli.

Cyan nie odpowiedział, ścisnął tylko mocniej jej rękę. I wtedy usłyszał szum morza,

usłyszał fale bijące o klif, przelewające się przezeń, wdzierające się do wieży, choć nie czuł

nic prócz ciepła słonecznych promieni. To jej oddech, pomyślał oszołomiony.

Zmienia w

przybój powietrze, którym oddycha. I nagle poczuł uderzenie ściany wody, która próbuje go

ze sobą porwać. Walcząc o oddech, trzymał się kurczowo ręki Sel. Do wieży ze świstem

wdarł się wiatr pachnący morską solą, prysnął deszcz piany. Wieża zadygotała, jakby miała

za chwilę runąć.

I wtedy Cyan usłyszał głos Melanthos.

- Matko! - wołała przerażona, przekrzykując wycie wichru i huk fal przewalających

się przez wieżę. Jakaś siła ścięła Cyana z nóg, nie wiedział już, czego się trzyma - ludzkiej

ręki czy śliskiej, jedwabistej foczej płetwy. Ale trzymał się jej z całych sił i wraz z nią

zanurkował w morską głębię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Foka to nurkowała, to wynurzała głowę ponad fale. Obojętne jak szybko i z jakim uporem płynęła ku tajemnym królestwom, czuła przyciąganie łądu. Nawet w nakrapianym

foczym ciele nie była w stanie uciec od swego imienia. Przywierało do niej, ciągnęło jak łąd,

jak miłość, nie pozwalało się uwolnić. Wołały ją głosy focze i ludzkie głosy umarłych i

żywych. Ludzkie głosy rozpruwały foczą skórę, wywlekały nici ze ściągów jej świadomości

wiatru, wody i zapachu. Nie chciały jej puścić. Czegoś żądały, ścierały się z wiatrem, z

mewami, z ostrym, rozkazującym poszczekiwaniami fok, próbując jej coś powiedzieć.

W

końcu, zirytowana tym niezrozumiałym ludzkim nagabywaniem, Sel spowita w skórę fok
foki
nastawiła ucha.
Najpierw usłyszała krzyk Melanthos rozlegający się gdzieś w falach.
Zaintrygowana
przerwała swą dziką ucieczkę ku otwartemu morzu. I wtedy poczuła na sobie dziwne
brzemie.
To rycerz uczepiony jej wciąż obiema rękami, obciążony mieczem i butami pełnymi
wody,
szamotał się jak ryba wyrzucona na brzeg, walczył o oddech. Melanthos umiała
pływać, ale
Sel zaniepokoiła intonacja jej głosu. Nigdy dotąd nie słyszała Melanthos
przestraszonej.
Chciała zanurkować, lecz wynurzyła się szybko, widząc pęcherzyki powietrza,
które
wydobyły się z ust rycerza, ledwie zeszli pod wodę. Ucisk jego palców słabł.
Poddała się panice i momentalnie stała się sobą. Unosiła się na powierzchni
pośrodku
morza, nasiąknięta wodą opończa krępowała jej ruchy, mokre włosy oblepiały
twarz. Rycerz
ciężył coraz bardziej w dół, odchodził samotnie, tak jak niegdyś Joed, w krainę
pod falami.
Złapała go za srebrny łańcuszek na szyi. Płynąc na grzbiecie jak wydra,
podciągnęła go,
wzięła w ramiona i odwróciła twarzą ku niebu.
A potem zaczęła gromkim głosem wołać portowe foki.
Reagowały skwapliwie na imiona, którymi je przyzywała, stare, tajemne imiona,
które
całkiem nieświadomie odnajdywała w zakamarkach pamięci. Foki zeskakiwały ze
skał,
wypryskały spod pomostu nabrzeża i cięły wodę pod łamiącymi się falami
niewidzialne,
dopóki się nie zbliżyły; dopiero wtedy ujrzała w zielonej toni ich gibkie,
zwinne ciała
wynurzające się ku światłu. Przemówiła do nich, przypominając sobie teraz ich
język.
Odebrały od niej rycerza, wzięły go między siebie i uniosły. Nie poruszał się.
Serce jej
zadrżało na widok jego twarzy, bladej i nieruchomej jak muszla, zalewanej przez
fale. Ale nie
miała dla niego czasu, musiała zająć się Melanthos.
Nie wiedziała, jak trafiła do córki. Chyba zadziałał instynkt wspierany przez
ostrze
strachu, które wycięło drogę na skróty przez czas i oszałamiające kłębowisko
wiatru i fal. Po
prostu znalazła się przy niej.
Melanthos była jak zwykle bosa, w samej koszuli. Biła w morze pięściami jak w
zamknięte drzwi i wołała matkę po imieniu. Mokre włosy zalepiały jej oczy; kiedy
Sel
chwyciła ją za ramię, obejrzała się i zachłysnęła wodą. Podpłynęły foki. Sel
zarzuciła
krztuszącą się córkę jednej z nich na grzbiet i kazała płynąć do brzegu.

I dopiero teraz zobaczyła, co za jej sprawą stało się z wieżą. Ukruszyła się jak zepsuty ząb, mała lawina kamieni, trawy i ziemi runęła z urwiska w morze. Sel patrzyła na nią, unosząc się na falach - ni to zwierzę, ni człowiek, syrena bez ogona, foka z ludzkimi rękami i nogami, i twarzą kobiety. Potem zanurkowała głęboko i płynęła, dopóki nie usłyszała cichego, dzikiego śpiewu własnej krwi. Do głosu doszły wspomnienia sprzed lat. Obudziła je przewracająca się w morze wieża. A więc potrafiła zniszczyć coś tak starego i magicznego siłą swej tęsknoty. Potrafiła przedzierzgnąć się w fokę, potrafiła stać się morzem albo czymś tak do niego podobnym, że rybacy i żeglarze widzieli ją tylko jako błysk światła pod wodą. W tych błyskach, tych nieokreślonych lśnieniach, o których ludzie opowiadali legendy i śpiewali pieśni, istniało całe królestwo. Ojciec nauczył ją kilku takich pieśni. Bez wątpienia pożałował tego, kiedy go opuściła. Ale nauczył ją też ciekawości świata, pływała więc o zmierzchu z fokami i nasłuchiwała. I tak usłyszała Joeda, który pogwizdując rozplątywał na piasku sieci i czyścił je ze skorupiaków. Rozpoznała melodię. Fala wyniosła ją na brzeg i tam zostawiła. Sel podniosła się, stanęła na niepewnych nogach, ociekając wodą. Joed powitał ją przestraszonym i oczarowanym spojrzeniem człowieka, na którego oczach materializuje się morska legenda. Było to wiele lat temu. Od tamtego czasu nauczyła się chodzić w butach, płakać prawdziwymi łzami i zapominać. Zbliżyła się do brzegu. Minęły ją foki niosące na grzbietach rycerza. Wypełzły na suchy piasek i zostawiły nieprzytomnego u stóp grupki oniemiałych ludzi. Rycerz zwymiotował morską wodą. Brodząc w falach przyboju, Sel słyszała, jak spazmatycznie chwyta powietrze w płuca. Zebrani na plaży patrzyli na to wszystko zafascynowani i odrętwiali jak niegdyś Joed. Była wśród nich Gentian płacząca rzewnymi łzami i tuląca do piersi dziecko. Umorusany, podrapany Anyon w porwanym ubraniu wyglądał tak, jakby spadł wraz z gruzami wieży z urwiska. Podtrzymywał szlochającą bezgłośnie Melanthos. Na brzeg zszedł ktoś jeszcze - obca kobieta, która chyba znała rycerza. Stała obok niego, ale patrzyła na Sel. A ona, wykręcając wodę z włosów i spódnicy, wyszła z wody i stanęła przed nimi milcząca, jak niegdyś przed Joedem. Podpłynęła fala, przyniosła jej cień pod stopy i zostawiła

na piasku. Sel podniosła go, swoją foczą skórę nasiąkniętą wodą i poprutą, ale całą.

Strzepnęła ją, uniosła i spojrzała przez otwory na oczy. Potem westchnęła.

- Nie mogłam was zostawić - powiedziała. Najpierw wzięła w ramiona Gentian, bo Melanthos była silniejsza. Gentian zaniósła się szlochem. Dziecko krzychało wniebogłose,

strasząc rycerza, który znowu zaczął się krztusić.

- Dokąd chciałaś popłynąć? - odezwała się piskliwym, roztrzęsionym głosem Melanthos.

- Do domu.

- Do domu? - Melanthos wyswobodziła się z objęć Anyona. - Jakiego domu?

- Tego w morzu. A jak myślisz, skąd masz te oczy?

Melanthos przełknęła z trudem.

- Ja nie... - Łzy ciekły jej strumieniami po policzkach. Uniosła dłonie do ust i wyszeptała. - Jaki on jest?

- Starożytny - odparła powoli Sel, cofając się pamięcią w dawne czasy. - Dziwny dla

ludzkich oczu jak ten kamienny las. Na swój sposób piękny, czego mogłabyś z początku nie

docenić. Jak ten świat. - Wciągnęła w płuca wilgotne, pachnące rybami i morską solą

powietrze, zachwyciła się jego smakiem.

- Przyszłaś z morza? - spytał z niedowierzaniem Anyon. - Urodziłaś się w nim?

Jak

ryba? - Dotknął niepewnie Melanthos. - A ona? A Gentian?

- Są półrybami. - Sel zbliżyła się do Melanthos, ujęła w dłonie twarz córki i kciukami

otarła jej łzy. - Nie płacz. Denerwuje mnie to. Wróciłam.

- Ja denerwuję ciebie? - wyszlochała Melanthos, pociągając głośno nosem. - Ja ciebie?

- Podniosła głos. - Zmieniłaś się w fokę! I zobacz, co zrobiłaś z wieżą!

Uciekałaś od nas, żeby

umrzeć albożyć na dnie morza, nie wiem po co... kim ty właściwie jesteś?

Sel otworzyła i zamknęła usta. Wszyscy patrzyli na nią wyczekująco, nawet dziecko.

Rycerz doszedł już do siebie, przestał być blady jak trup. On też wlepił w nią oczy, w

których malowało się pytanie.

- Nie wiem - odparła bezradnie Sel. - Nie wiem, kim jestem w tym świecie.

I w tym momencie napotkała bursztynowe, pełne światła oczy obcej kobiety. Była wysoka, miała bujne czarne włosy sięgające poniżej kolan i twarz brązową jak ziemia, ani

młoda, ani stara, wciąż piękną, ale już ukazującą, jak będzie wyglądała w przyszłości.

Uśmiechnęła się do Sel i Sel poczuła się dziwnie, tak jakby patrzył na nią wiatr albo trawa.

Jakby została rozpoznana przez coś dzikiego.

- Nazywani się Sidera - powiedziała kobieta, uprzedzając jej pytanie. Położyła długą,

smukłą, ozdobioną srebrną obrączką dłoń na ramieniu rycerza. - Szukałam tego człowieka.

Nie spodziewałam się, że foki wyniosą go z morza i rzucają mi pod nogi.

- Nie chciałam zabierać go ze sobą - rzekła Sel - ale uchwycił się mnie i nie chciał puścić, a kiedy się przemieniłam, zupełnie zapomniałam o nim. O mało go nie utopiłam.
Dobrze się już czujesz? - zwróciła się do Cyana. - Pomijając oczywiście to, żeś przemoczony i zziębnięty jak Melanthos?
Patrzył na nią, wciąż wyraźnie oszołomiony.
- Przybyłem tu, szukając kobiety z wieży - odparł zdławionym nadal głosem. - Ani mi przez myśl nie przeszło, że ona rozniesie wieżę na cztery wiatry i uratuje nas oboje.
- Przyprowadziłam cię do niewłaściwej wieży - wtrąciła Melanthos. Tuliła się do Anyona, oblepiona mokrą koszulą, gęsia skórka wystąpiła jej na ramiona. Już nie płakała. -
Miałam nadzieję, że coś powiesz, zrobisz coś, co pomoże mojej matce. Myślałam, że jeśli uda ci się przebrnąć przez magię, matka przynajmniej z tobą porozmawia. Zrobiłeś na mnie wrażenie człowieka, który niczego się nie lęka. Nawet smoków.
- Pozostaje jeszcze kobieta przetrzymywana w wieży - rzekł powoli. - Choć może ta wieża istnieje tylko w mojej wyobraźni. Muszę się dowiedzieć, co się stało z tą kobietą. Czy żyje, czy zginęła, czy może nadal jest więziona. Zresztą nie tylko ja chcę się tego dowiedzieć.
Sel kiwnęła głową.
- Tak, musisz ją odszukać. - Odgarnęła z twarzy mokre włosy. Poczuli się nagle zmęczona. - Ale wpieryw powinieneś odpocząć i zjeść coś gorącego. Anyonie, on zostawił pod wieżą konia... pewnie uciekł na równinę. Czy mógłbyś...
- Przywołam go - wpadła jej w słowo Sidera. Ściągnęła brwi i wpatrywała się przez chwilę w piasek. Zastygła w bezruchu. Sel myślała już, że stała się niewidzialna i w powietrzu pozostał tylko odcisk jej postaci. Ale Sidera uniosła rękę i nad ich głowami rozległo się rzenie. Z urwiska spoglądał na nich wierzchołek Cyana. - My się już znamy - wyjaśniła Sidera z uśmiechem, a może tylko jej się wydawało, że to coś wyjaśnia.
- W taki sam sposób ja przywołuję foki! - powiedziała z ożywieniem Sel. - Wyszukuje się je umysłem. Wkrada w ich myśli.
Melanthos popatrywała z otwartymi ustami to na Siderę, to na Sel.
- Nauczcie mnie tego - poprosiła. - Potraficie?
- Nauczę cię - obiecała Sel.
Poprowadziła wszystkich do swojego domu, Anyona posłała do Brenny po piwo, Gentian zaś do jej domu po więcej koców i jakieś ubranie Rawla dla rycerza. Sama wstąpiła po drodze do piekarni po chleb i placki z owocami.
- Ta wieża miała już swoje lata - powiedziała, siadając na stolku obok kominka i spoglądając na córki. - Rozpadła się ze starości. Na szczęście nikomu nic się

nie stało. A co
do mnie - ciągnęła - żyłam niegdyś w podmorskiej krainie. Nie wiem, jak byście
mnie
nazwały, widząc mnie wtedy. Może w języku ludzi brak na to słów. Wszystkie swoje
wspomnienia muszę wyrażać ludzkim językiem, a to je zniekształca. Myślałam, że
żyję w
najlepszym ze światów. Mogłam pływać z wielorybami, zbierać złoto z morskiego
dna i
wystawiać głowę ponad dach tego świata, by rozkosze się wiatrem i słońcem,
obserwować
rybaków i ludzi żyjących na powietrzu. W moim świecie, gdzie to, co nazywacie
magią, było
codziennością, mój ojciec wzbudzał powszechny podziw swoją wielką, dziwną mocą.
Potrafił
uśpić śpiewem statek żeglujący przez nawałnicę i przenieść go bezpiecznie na
spokojne
wody. Potrafił zbudować pałac z jednej perły. Potrafił dotknięciem dłoni leczyć
ryby rozprute
haczykiem i wyrzucone za burtę. Wiele mnie nauczył. Nie wiem, ile z tego jeszcze
pamiętam,
nie wiem też, czy nadal posiadam te umiejętności ani na co mogą się przydać na
świecie...
Żyłam tak bez troski między morzem a lądem pewnego dnia usłyszałam, jak wasz
ojciec pogwizduje melodię, którą znał mój ojciec. Był opalony na brąz, twardy i
gładki jak
kawał drewna wyrzucony przez morze na plażę, oczy miał jak foka, zaciekawione i
dobre.
Zmieniłam więc postać i wyszłam z morza.
Wróciłam do niego dopiero dzisiaj. - Sel uniosła i opuściła rękę. - Nie wiem,
czy
zrobiłam to ze smutku i tęsknoty, czy może po to, by przypomnieć sobie wszystko,
co
zdażyłam zapomnieć. Aż do dzisiaj nie zdawałam sobie sprawy, że nie zostawiłam
tamtej
cząstki siebie w morzu; zabrałam ją ze sobą na ląd i zapomniałam o jej
istnieniu...
- Co? - szepnęła Gentian. - Co zapomniałaś? Co miętasz?
- Jeszcze nie wiem - odparła Sel. - I chyba wolałabym nie wiedzieć po tym, co
zrobiłam z wieżą.
Sidera uniosła głowę i odrzuciła do tyłu długie, lśniące włosy. Jak foka
wyglądająca z
fali, przemknęło przez myśl Sel. Ale jej oczy nie były focze ani ludzkie, Sel
nigdy dotąd
takich nie widziała. Księżyc, pomyślała i serce zabiło jej mocniej pod tym
jasnym, czystym,
niezglębionym spojrzeniem. Patrzy na mnie księżyc.
- Pomogę ci sobie przypomnieć - powiedziała Sidera. - Jesteś nam potrzebna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Thayne Ysse wracał ze smokiem na Wyspy Północne.
Patrzył smoczymi ślepiami na przesuwający się w dole świat. Od czasu do czasu
złoto
błyskami rozświetlało ciemność. Czuł jego zapach, suchy, metalicznie słodki, woń

miodu
zmieszaną z zapachem ludzi. Obojętne jakimi perfumami się skropili, zalatywało
od nich
śmiercią, ale ten zapach nie wydawał mu się przykry. Ziemia jawiła mu się jako
wielki,
ciemny, żywy organizm poprzecinany żyłkami ciekłego srebra, organizm, który
oddycha,
porusza się i śni. Była smokiem śpiącym na ogromnej równinie wody. Thayne, choć
wychwytywał woń złota pośród zapachów drzew, dymu i silnych przemieszanych
zapachów
zwierząt i ludzi, morze poczuł dopiero, kiedy ponad nie wzlecieli.
I wtedy przypomniał sobie swoją ludzką twarz. Czuł, że oddziela kości swoje od
smoczych. Jego myśli oderwały się od zapachów, znowu zaczynały formułować słowa.
Znał
swoje imię, składające się na nie litery płonęły w smoczym mózgu. Zobaczył styk
lądu z
morzem, gdzie spienione fale załamują się na piasku. Yves zatoneło pod falami;
wynurzyło
się spod nich Ysse - półksiężyc lądu otoczony gwiazdozbiorem innych wysepek.
Usłyszał w
myślach nieme pytanie smoka.
Prowadził go nad pustym morzem, z dala od ludzkich domostw. Tylko rybacy w
łodziach mogli zobaczyć smoka lecącego ku północnemu cypłowi Ysse, ale oni zbyt
byli
zajęci swoimi sieciami, by spoglądać w górę. Thayne posadził bestię na skrawku
piaszczystej
plaży otoczonej nagim klifem. W proteście przed wilgocią i chłodem zmęczony smok
liznął
morze językiem ognia. Jednym ślepym łypnął ponuro na Thayne'a.
Thayne podszedł na skraj wody. Rybacy rzadko zbliżali się do tego dzikiego,
skalistego wybrzeża. Poczul na plecach ciepłe westchnienie smoka i odwrócił się.
Wielkie
cielsko oblepione było złotem - stosy monet, puchary i korony, miecze o złotych
rękojeściach,
ozdobione pierścieniami kości, naramienniki, części pancerzy - wszystko to
przylegało do
smoka przyciągane siłą jego zachłanności. Thayne przełknął i poczuł w krtani
posmak czegoś
metalicznego, ostrego, słodko-kwaśnego - posmak popiołu, smoczego ognia, złota.
Oderwał od grzbietu smoka monetę, żeby pokazać ją ojcu, i powiedział:
- Siedź tu cicho. Nikt nie powinien cię tu znaleźć. Niebawem po ciebie wrócę.
Wdrapawszy się na szczyt klifu, zerknął za siebie. Smok z podkulonymi łapami
leżał
zwinięty w ciasny kłębek. Widoczne ślepie miał zamknięte. Thayne ruszył w długą
drogę ku
południowemu cypłowi Ysse.
Wieczorem dotarł pożyczoną łodzią do starożytnego, popadającego w ruinę zaniku.
Dobił do brzegu i stał w milczeniu przez chwilę. Wyczuwał w ciemnościach
drzemiącą,
potężną, mroczną siłę smoka. Potem usłyszał nierówne kroki, a między nimi
rytmiczne
postukiwanie o ziemię czegoś twardego. Do otwartej bramy podszedł człowiek

wsparty na

kosturze. Na widok Thayne'a zatrzymał się jak wryty.

- Widzę w ciemnościach twoje oczy - wyszeptał Craiche.

Thayne podbiegł i uściskał brata. Bardzo różnił się teraz od człowieka, który opuścił

Ysse tylko z wyobrażeniem smoka w pamięci. Obawiał się, że nawet Craiche go nie pozna.

- Przeprowadziłem smoka - powiedział.

Craiche potrząsnął głową i wypuścił kostur, żeby objąć Thayne'a obiema rękami.

- Ty jesteś tym smokiem. - Głos mu drżał. - Czy... trudno było?

- Wydawało się wręcz niemożliwe. - Thayne wypuścił brata z objęć i schylił się po

kostur. - Musiałem jeszcze raz stoczyć bitwę pomiędzy Yves a Wyspami Północnymi.

- I zwyciężyłeś?

- Tak. - Otoczył Craiche'a ramieniem. - Spotkałem rycerza z Gloinmere, który przybył

do Skye w tym samym celu. Szukać wieży. Walczyliśmy...

- Zabiłeś go?

- Mało brakowało. - Thayne zamilkł, wspominając tamtą niesamowitą, desperacką walkę wśród kości i złota. - Ale powiedział mi, że to on zniósł cię nocą rannego ze wzgórza.

Craiche wstrzymał oddech.

- Kto to był? - Ze słów tych przebijał cały ból wspomnienia, który Craiche tak dobrze

dotąd ukrywał pod uśmiechem.

- Cyan Dag. Tamtej nocy uratował również życie Regisowi Aurumowi.

- Dlaczego... - Craiche urwał, przełknął z trudem. - Dlaczego się mną zajął?

- Nie wiem. Nie miałem czasu go o to zapytać. Może kiedy wkroczymy jako zwycięzcy do Gloinmere, sam będziesz miał po temu okazję.

Craiche, nic nie mówiąc, ruszył przez dziedziniec. Cały zamek spał; ciemno było nawet w wieży, którą tak upodobał sobie ich ojciec. Kiedy ją mijali, Thayne poczuł, że w jego

umyśle prócz smoczycy myśli żarzy się coś jeszcze. Emanacja mocy zawartej w starożytnych

księgach.

- A więc on i co do tego ma rację - mruknął ze zdziwieniem.

- Słucham?

- Nasz ojciec. Kiedy był zdrowy na umyśle, księgi go nie interesowały. Teraz czuje

drzemiacą w nich moc. Co z nim? Zorientował się, że wyjechałem?

- Cóż... - Głos Craiche'a znowu nabrał lekkości; wkraczali właśnie w blask pochodni

płonących na schodach i Thayne zobaczył na ustach brata uśmiech. - Zapamiętał, że jakiś

Thayne wyprawił się po smoka. Ale nie potrafił powiązać tego Thayne'a łowcy smoków z

człowiekiem, który sprowadzał go wieczorami z wieży i przynosił mu wieczerzę. Wciąż pyta,

gdzie się podział ten człowiek. Z tego wynika, że mu ciebie brakowało.

- Dawnego mnie - mruknął Thayne.

- Gdzie zostawiłeś smoka?

- Na północnym cyplu wyspy.

- A złoto? Złoto też przywiołeś?
- Tyle, że możemy napełniać nim talerze i jeść przez rok. Nie uwierzysz własnym oczom, kiedy zobaczysz.
- Powinniśmy je ukryć. Między wyspy zapuszczają się czasami statki z Yves.
- Nikt, kto wyciągnie rękę po smocze złoto, nie ujdzie z życiem - rzekł posepnie Thayne.
- Zabierz mnie tam i pokaż.
- Dobrze. Rano.

Kiedy obudzili się nazajutrz, smok był na dziedzińcu.

Thayne wybudził się ze snu o jakimś mrocznym, ponurym, niebezpiecznym miejscu, w którym ktoś, kogo nie widział, mówił właśnie coś niezmiernie ważnego, lecz

trudnego do zrozumienia. Sięgnął po omacku po miecz i stoczył się z łóżka. Na korytarzu

wpadł na bosego, wymachującego mieczem ojca, który krzyczał:

- Oblegają nas!

Za drzwiami krył się wystraszony parobek. Z dziedzińca dochodziły krzyki, nauczenie krów.

- Na dziedzińcu siedzi jakiś wielki stwór, panie - poinformował Thayne'a parobek. -

Nijak nie mogłem dojść do obory.

- Wszyscy pod broń!

- To twój smok - powiedział Thayne do ojca. - Ten, po którego wysłałeś mnie do Skye.

Ojciec popatrzył na niego błędnym wzrokiem.

- Bowan? Wróciłeś.

- Wczoraj w nocy. Spałeś już.

- Dziwne masz oczy. Nie żyjesz?

Thayne przetarł oczy, tłumiąc gorzki śmiech.

- Nie żyłbym, gdybym był Bowanem. Jestem Thayne. Twój syn.

- Aha.

Thayne położył dłoń na ramieniu ojca. Czuł chłód, który wniknął pod łuski smoka i

wybudził go ze snu.

- Chodź, pokażę ci go.

- Bowanie...

- Jestem Thayne.

- Na co ci to?

Dopiero teraz Thayne poczuł, że zamiast miecza trzyma w dłoni coś gładkiego i lekkiego. Drewnianą laskę z wypolerowanym przez lata zgrubieniem na końcu.

- To pewnie Craiche'a - mruknął rozbawiony. - Myślałem, że chwytam za miecz.

- Spojrzało na mnie - powiedział ojciec, wpatrując się jak urzeczony w gałkę laski.

Krzyki dobiegające z dziedzińca przybrały na sile, cały zamek był już na nogach.

Psy

szczeły i wyły. Thayne słyszał głos próbującego je uspokoić Craiche'a.

W jego smoczym umyśle rozjarzyło się zniecierpliwienie, rozdrażnienie tą wrzawą, chłodem, chaosem zapachów, nieprzewidywalnym światem tak różnym od bezruchu spalonej

równiny. Dzierząc laskę jak pasterz, wybiegł na dziedziniec. Za nim wysypała się z zamku

gromadka przejętych sług.

Smok leżał zwinięty na dziedzińcu i przypominał morskie stworzenie wciśnięte w muszlę. Jego ogromne cielsko sięgało od frontu zamku do obór, od muru do muru. Zadzierając łeb, patrzył ciekawie na wieżę, w której ojciec Thayne'a bawił się magią. Jedno

smocze skrzydło tarasowało bramę. Psy ujadające wściekle ze schodów na drugie skrzydło

podkuły ogony i czmychnęły ze skamleniem, kiedy w powietrzu rozszedł się nagle smród

siarki. Skarb, który oblepiał grzbiet potwora niczym skorupiaki dno statku, porażał blaskiem

oczy jak wschodzące słońce.

Craiche stał na smoczym grzbiecie pośród złota. Podniósł hełm, ze śmiechem wytrząsnął ludzką czaszkę i nasadził go sobie na głowę. Na Thayne'a spojrzała złota,

grawerowana przyłbica z otworami na oczy i usta.

Thayne przewidywał, że trudno mu będzie wyperswadować bratu udział w wojnie.

Wolał nie podejmować na razie tego tematu.

- Zejdź, Craiche - rzucił. - To dziki, niebezpieczny stwór i może cię zmiażdżyć, jeśli

spadniesz.

- Jest piękny - pełen zachwytu głos Craiche'a dobiegł spod hełmu. - Zrobi, co mu każesz. Pozwól mi ze sobą lecieć. Musisz usunąć go z dziedzińca. I nie myśl

sobie tylko, że

będę szedł do Gloinmere piechotą.

Jedno skrzydło poruszyło się, może ukąszone przez psa, a może rozwijało się do lotu.

Thayne ścisnął mocno łaskę.

- Craiche... - zaczął i urwał. Smok położył szyję na schodach. Sięgnęła niemal samych

drzwi. Thayne wszedł po niej na rozłożysty grzbiet. Smok, popatrując wciąż jednym okiem na

wieżę, spojrzał drugim na Thayne'a. Parsknął cicho. Po dziedzińcu rozszedł się duszący odór

wilgotnego popiołu.

Thayne, stojąc nad sercem smoka, wsłuchiwał się w jego miarowe bicie i w szum rwącej żyłami krwi dopóty, dopóki nie odniósł wrażenia, że ta krew przepływa przez niego.

Jego myśli objął pancierz z łusek. Poczł znowu powiew tajemnic i zakłęb zawartych w izbie

na wieży, i zrozumiał, jaki skarb przyciąga do niej bestię.

Ogarnęła go smocza tęsknota.

- Tak - powiedział do siebie i do smoka. „Tak”, odpowiedziały kości i szpik, wypełniając się tym słowem w bezgłośnym smoczym języku. „Tak”, powiedziała laska w

jego dłoni.

I rozbłysła nagle, wiązka światła trysnęła ze zgrubienia nad jego dłonią. Omal nie

trafiła zaskoczonego Craiche'a, który stracił równowagę i usiadł ciężko na stosie złota.

Thayne usłyszał, jak ojciec woła go po imieniu. Craiche zdjął hełm z głowy i patrzył szeroko

rozwartymi oczami na brata.

- Co to za laska?

- Nie mam pojęcia - mruknął Thayne, brodząc przez monety i złote pancerze, by pomóc bratu. - Myślałem, że twoja. Nic ci nie jest?

Craiche pokręcił głową, podciągnął się na ręce Thayne i wstał. Schylił się i zajrzał w

gałkę laski. Thayne'owi ciarki przeszły po grzbiecie z przerażenia.

- Craiche...

- Tam coś jest. Klejnot albo oko.

Thayne przeniósł wzrok na otwartą bramę.

- Pewnie ojciec zniósł tę laskę z wieży - rzekł, podnosząc ze stosu miecz w pochwie i

podając go Craiche'owi, żeby miał się czym podeprzeć. - Pomogła mu zapamiętać moje imię.

Wyprowadził smoka z dziedzińca. Potwór legł pod murem. Skrzydła sterczały mu w górę niczym wielkie, lśniące żagle, szyję położył po sobie, serce docisnął do wieży.

Potem Thayne rozesłał posłańców na wszystkie Wyspy Północne, dając każdemu jedną złotą monetę z wybitą na niej twarzą Regisa Auruma.

Za dnia planował wojnę, śląc wyspiarzom złoto, by dobrze się odżywili, naprawili domy, łodzie i obory, zakupili broń i konie od kupców z kontynentu, którzy ujrzawszy na

Ysse czujnego smoka, nie zadawali żadnych pytań i szybko odpływali. Złoto przeniósł do

wieży. Brodził w nim nocami. Rozsiewało taki blask, że nie musiał zapalać pochodni, kiedy

szedł po schodach na górę. Całymi nocami się uczył.

Ojciec nie odstępował go na krok, gdy ślęczał nad starożytnymi księgami, gdy chłonał

słowa niczym powietrze i czuł, że stają się jego częścią, że kości robią im miejsce, a serce

przybiera nowy kształt. Od czasu do czasu próbował zgłębić magię laski, pokierować jej

światłem. Bywało, że spała i nie dawała się obudzić. Kiedy indziej ni z tego, ni z owego pluła

jasnym, groźnym ogniem bez żadnego widocznego powodu i starożytna księga obracała się w

popiół albo pękał kamień w ścianie wieży. Raz roztrzaskała dzban, który według ojca był

pełen pereł. Rozszedł się taki swąd, że Thayne nic nie widział przez łzy.

Ciągnąc za sobą

ojca, zbiegł na oślep po schodach. Warująca pod murem bestia parsknęła; kamienie zadrżały.

Ojciec przypomniał sobie jego imię.

- Na nic więcej cię nie stać, Thaynie? - zapytał z przekąsem. - Chcesz smrodem wykurzyć Regisa Auruma z Gloinmere?

- Czemu nie - odparł zgodnie Thayne, siadając pod murem i trąc łzawiące oczy. - Te

perły musiały być bardzo stare.

We śnie dręczyły go koszmary.

Przybywały doń kobiety ze wszystkich wysp. Wchodziły cicho przez bramę, czasami pojedynczo lub parami, czasami nieprzeliczonym tłumem, i gromadziły się wokół

schodów,
na których stał. Jedne były młode i ładne, odziane w znoszone wełniane i
płócienne ubrania, o
miękkich dłoniach i stopach jeszcze bez odcisków. Inne miały pomarszczone,
zmęczone
twarze, ich kolana czepiały się dzieci. Jeszcze inne ledwo szły, patrzyły
przymglonymi oczami.
Żadna się nie odzywała. Po prostu stały na dziedzińcu i patrzyły na niego,
dopóki nie
wybudził się ze snu. Na jawie rozumiał, o co im chodzi, ale nie miał zamiaru
ustąpić. Nie
przemówił do nich nawet w snach.
I w końcu jedna z kobiet z jego snów się odezwała.
Siedziała z nim w wieży pośród złota i trzymała laskę, którą znalazł. Włosy
miała
białe niczym kość, oczy czarne jak pustka. Zwróciła na niego oko ze zgrubienia
laski. Poczul,
jak światło wlewa się w niego, próbuje zmienić kształt jego serca, którym -
wiedział to we
śnie - był wykonany ze złota hełm z dwiema czarnymi szczelinami na oczy i wąskim
rozcięciem na usta. Światło topiło hełm, a on kształtował go własną mocą na
nowo, tworząc
beznamiętne, bezlitosne oblicze wojny.
- W takim razie zabieram Craiche'a - powiedziała kobieta.
- Nie! - krzyknął i obudził się.
Świtało. Sługa przechodzący właśnie korytarzem uchylił drzwi, zajrzał do komnaty
i
popatrzył pytająco. Thayne potrząsnęła głową, przetarł dłońmi twarz. Opuszczając
ręce, czuł
wwiercający się weń strach.
- Craiche - szepnął. - Musisz tu zostać z ojcem. Craiche, przywiązuję cię do
tego
krzesła z ważnego powodu; kiedy cię odwiążą, smoka już nie będzie, nie próbuj
ruszać
naszym śladem. Craiche...
W tym momencie Craiche uchylił drzwi swoim kosturem.
- Słyszałem, jak krzyczysz.
- Craiche, nie weźmiesz udziału w wyprawie na Gloinmere. Zostaniesz tu z
ojcem...
- Nie opowiadaj głupstw. - Craiche ziewnął i wycofał się z komnaty. - Coś ci się
śniło
- dodał, zamykając za sobą drzwi. - Lecę z tobą na smoku.
- Kim jesteś? - spytał Thayne bezradnie minstrelkę ze Skye. - Kim ty jesteś?
Choć nawiedzała go we śnie, nie odpowiedziała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Cyan Dag, przeszedłszy dla pani z wieży próbę ognia i wody, nie wiedział, co ma
robić dalej. Nie znajdował na brukowanych uliczkach wioski żadnych haftów, które
by
wskazały mu drogę. Nie objawiała mu się niespodzianie żadna matrona o oczach
czarnych jak
cień kruka, od której dowiedziałby się może, gdzie szukać kolejnej wieży. Z
każdym dniem

spędzonym w kamiennym lesie odzyskiwał siły, a jednocześnie popadał w coraz większą rozterkę. Spokoju nie dawało mu wspomnienie obładowanego złotem smoka błyszczącego jak słońce na zasnutym deszczowymi chmurami niebie. Nie wątpił, że bestia pojawi się w końcu nad Gloinnmere. Musi wracać i ostrzec Regisa Auruma. Nie mógł jednak opuścić granic Skye, nie i dowiedziawszy się wpierw, czy żyje jeszcze kobieta, która w powszechnym mniemaniu jest teraz żoną króla. Widział już, jak martwi zmieniają się w haft. Przeraziło go, że zamiast śpieszyć na pomoc Gwynne ze Skye, tracił czas na użeranie się ze smokami i fokami. Trzymał w dłoniach jej subtelną, zatroskaną twarz widoczną wciąż pod chmurami i zygzakami błyskawic, które mąciły powierzchnię medalionu. Wpatrywał się w nią intensywnie, tak jakby się spodziewał, że Gwynne ze Skye poczuje jego wzrok, spojrzy na niego i podpowie, co ma dalej robić. Inni służyli mu radami; ona milczała. „Znajdź ją i uwolnij” - nakazała mu minstrelka. „Nie zdołasz jej uwolnić - mówiła mu węzooka małżonka króla. - Zabiłbyś ją, próbując”. „Sama się uwolniła”, powiedziała Sel. Żyje czy umarła, odzyskała wolność czy zamieniła się w haft? Musi ją odnaleźć, żeby się tego dowiedzieć. Ale jeśli żyje, to czy odnajdując ją, nie narazi jej na śmierć? Chciał o to zapytać Sidere, ale podobnie jak siostra znikła, ilekroć jej szukał. Jest z Sel w kamiennym lesie, dowiadywał się od Gentian, albo z Sel na równinie, albo była tu jeszcze przed chwilą; niedługo powinna wrócić. Znikła nawet Melanthos oczarowana magią rozkwitającą w Sel. Pewnego poranka poszedł skrajem urwiska do zburzonej wieży. Zastał tam Melanthos i Anyona siedzących na kamiennym kręgu i przyglądających się, jak Sel czaruje. Sidera stała między wieżą a lasem nieruchoma i mroczna jak kamienne drzewa. Zerknęła jednak na Cyana i uśmiechnęła się, na moment stając się znowu człowiekiem. Melanthos poklepała kamienie obok siebie, dając do zrozumienia rycerzowi, że ma usiąść. Sel przechadzała się po kamiennym lesie i wyciągała z ziemi nowe kamienie, czy też może stare drzewa tak podobne do tych prawdziwych, że Cyan nie mógł odróżnić jednych od drugich. - Nawet cień rzucają - mruknął zdumiony. Melanthos kiwnęła głową. Oczy jej błyszczały z podniecenia. - Widzę przez nie - powiedziała. - Dostrzegam różnicę między kamieniem a powietrzem. Ale nie mogę zrozumieć, jak ona może tworzyć coś z niczego.

Rozszerzywszy mały las poza jego dotychczasowe granice, Sel zastosowała się do instrukcji Sidery i ściągnęła z nieba chmurę. Chmura opadła na las niczym mgła nad morza; zniknęły niebo, morze i wioska. Tak przynajmniej wydało się Cyanowi. Melanthos, która przytuliła się do Anyona, patrzyła na to z innej perspektywy.

- Ona ukrywa coś przed wieśniakami.
- Co takiego? - spytał Anyon.
- Jeszcze nie wiem. Patrz.

Sel obróciła się w kamień. Jej oczy zrobiły się ciemne, matowe. Przemówiła. Słowo rozdarło powietrze ogniem gwałtownym i czystym jak błyskawica. Mgła wokół pojaśniała. Cyanowi wydało się przez chwilę, że jest z powrotem w smoczej wieży z Thayne'em Ysse, który wyciąga ogień ze złota. Anyon zniknął. Oślepiony Cyan, mrugając powiekami, zobaczył go po chwili, jak gramoli się z wnętrza kamiennego kręgu, gdzie spadł zaskoczony rozbłyskiem. Kiedy sadowił się z powrotem na swoim miejscu, Sel wypowiedziała następne słowo. To nadało chmurze złotego blasku i wykruszyło z kręgu kamień. Cyan poczuł w kościach jego siłę. Patrzył osłupiały na kobietę, która przed zaledwie kilkoma dniami stała przed nim w wieży milcząca, w śmiesznym, workowatym, haftowanym przebraniu. Teraz była obcą osobą z rozwianym włosom, przywołującą słowami do istnienia ogień, kamień i drzewa. Nawet Melanthos odebrało mowę. W końcu Sidery powiedziała coś i burza ucichła. Nieznajoma zmieniła się z powrotem w Sel, która z lekkim przestraczem na twarzy zaczęła splatać włosy w warkocz.

- Tak potężnej magii nie potrzeba mi w kamiennym lesie. Nawet na całe Skye jej za wiele.
- Nigdy nic nie wiadomo - powiedziała Sidery, obrzucając Sel lisim, niezgłębionym spojrzeniem.
- Przypuśćmy - odezwał się z nagłym entuzjazmem Anyon - że jakaś łódź zagubi się na morzu. Będziesz mogła oświetlić jej drogę.
- Prędzej ją podpalę - mruknęła z przekąsem Sel, schylając się po wstążkę do włosów, która upadła w trawę, i mroząc Cyana swoim uśmiechem. Był to uśmiech syreny, ledwie zauważalny, a jednocześnie promienny. Dziwna mgła rozwiewała się, odsłaniając grupkę zdumionych wieśniaków za fałszywym lasem usiłujących przebić wzrokiem stworzone przez Sel iluzje.

Sel spojrzała pytająco na Sidery.

- Wiesz, co robić - powiedziała spokojnie Sidery.

Labirynt kamiennych kikutów otaczający prawdziwy las zniknął. Wieśniacy - matki

z

dziećmi, karczmarze, starzy rybacy - zbliżyli się ostrożnie.

- To ty, Sel? - niepewnie spytała wysoka, jasnowłosa kobieta tuląca do siebie dziecko.

Dobre pytanie, pomyślał Cyan.

- To ja, Brenno - odparła Sel wciąż z tym nieuchwytnym uśmieszkiem na twarzy. - Uczę się magii.

Jeden ze starych rybaków przestąpił z nogi na nogę.

- A po co? - spytał.

- Bo ona tu jest. Bo może się nam kiedyś przydać. Nigdy nic nie wiadomo.

- Tak, nie wiadomo - przyznała Brenna. - Ale po co nam własna burza z piorunami?

- Cóż, nie wszystko to ma praktyczne zastosowanie. Ale przypuśćmy, że wystygną piece, w których wypiekam chleb. Przypuśćmy, że któreś z waszych dzieci zachoruje i będzie

mu potrzeba więcej ciepła niż od kominka. Zresztą nie wszystko sprowadza się do wywoływania ognia. Potrafię też jednym chuchnięciem naprawiać porwane sieci, poskramiać

przyływ podczas pełni księżyca, uspokajać wiatry. Zawsze to potrafiłam, tylko zapomniałam. Teraz sobie przypominam.

Wieśniacy patrzyli na nią już bez obawy, za to z podziwem. Byli wdzięczni losowi, że

mają między sobą morską wiedźmę.

- Brakuje mi twoich wizyt w tawernie - powiedziała Brenna. - Czemu już nie przychodzisz?

- Próbowałam sobie przypominać. Piwo w tym pomaga, ale nie sięga dostatecznie głęboko.

- A co będzie z piekarnią?

- Co ma być? - zdziwiła się Sel. - Nigdzie się nie wybieram. Chyba że do twojej tawerny. Łyk piwa dobrze mi robi.

Melanthos zsunęła się z kamiennego kręgu, który pozostał po wieży, i podeszła do Sel; Anyon pośpieszył za nią. Sel objęła córkę ramieniem i spojrzała jej w oczy.

Melanthos

uśmiechnęła się. Cyan zauważył, że Sidera zniknęła, a na jej miejscu stoi ciemny, kamienny

kikut. Westchnął bezgłośnie i ruszył za wieśniakami schodzącymi już do kamiennego lasu.

Nazajutrz ubrał się, spakował bochenki chleba i soloną rybę, które dostał od Gentian,

przytroczył torbę oraz miecz do siodła i miał już dosiąść wierzchowca, kiedy obok zjawiała się

Sidera.

- Dokąd zmierzasz? - zapytała.

Wspiął się na siodło i spojrzał na nią z góry.

- Nie mam pojęcia. Pokręcę się po Skye.

Kiwnęła tylko głową. Potem uśmiechnęła się do niego i pogłaskała konia po łbie.

- Zobaczymy się w Gloinmere - powiedziała.

- Podobno nie lubisz dworów.

- Zobaczymy się tam - powtórzyła, jakby odpowiadała na jakąś zagadkę, o zadaniu której nie pomyślał. Cofnęła się. - Bądź ostrożny. To najtrudniejsza wieża.

Obrócił się w siodle i spojrzał na nią.

- Trudniejsza od czego? - spytał. - Od umierania?

- Najtrudniej ją dostrzec. Wypatruj jej sercem, Cyanie Daggu, a przeżyjesz.

- A dama? - spytał. - Czy też przeżyje?

Ale koń już ruszył i Sidera została z tyłu. Włosy zakrywały jej twarz i ręce, wyglądała

jak osobiwa smuga cienia w świetle poranka.

Jechał wybrzeżem na południe, oddalając się od trzech wzgórz, kamiennego lasu, wszystkich wież, jakie do tej pory znalazł. Po jakimś czasie droga skręciła w głąb łądu, by

okrażyć stromy, niezdoyty szczyt górujący nad morzem. Dotarł nią do rzeki płynącej

meandrami przez sady. Na jabłoniach i gruszach, wśród listowia, które utraciło już świeżą

wiosenną zieleń, rumieniły się owoce. Rzeka, tocząc leniwie wody, wykręciła znowu na

zachód. Jej dolina stawała się coraz szersza. W czystym powietrzu unosił się zapach

dojrzewającego na polach jęczmienia i ryżu. Spotykał na drodze innych wędrowców: kmieci,

kupców, młodych, roześmianych jeźdźców z sokołami na zaciśniętych pięściach albo z

przewieszonymi przez plecy łukami. W oddali, tam gdzie rzeka wpadała do oceanu, dostrzegł

mury, dachy domów i tonące we mgle wieże miasteczka. Może jego mieszkańcy będą mu w

stanie pomóc? Zasugerują kierunek, przypomną sobie jakąś dziwną pogłoskę. Rzeka rozlewała się coraz szerzej i zwalniała biegu. Wjechał w cień drzew rosnących szpalerem

wzdłuż drogi. Nagle poczuł słodką woń przyniesioną przez wiatr znad wody i spojrzał w

tamtą stronę. Na małej wysepce pośrodku rzeki zobaczył gąszcz białych lilii pod murem z

kamienia ledwie widocznym wśród drzew, winorośli i łagodnej gry światłocienia.

Wyglądało

to na małą warownię. Oddzielając od siebie cień, liście i światło, Cyan

odróżniał już mroczną,

zrujnowaną budowlę o czterech wieżach połączonych blankami. Chybotliwy poblask słońca

odbitego od powierzchni rzeki padał na kamienie, rozmazując nieco ich kontury i stwarzając

wrażenie, że znajdują się pod wodą. Zielona pajęczyna bluszczu zarosła większość okien. Te,

które pozostawały jeszcze widoczne, były nieprzezroczyste; nic się w nich nie poruszało.

Cyan przypatrywał się budowli, zastanawiając się, kto ją wzniósł, a potem porzucił i

dłaczego. Kiedy mijał wieżę wysuniętą najbardziej w jego stronę, w oknie na jej szczycie coś

zaśniło. Promień światła odbił się od czegoś bardzo jasnego. Przymrużył oczy i ujrzął twarz

w srebrnym krążku stojącym na parapecie.

Ostro ściągnął cugle. I w tym samym momencie szemranie rzeki, głosy dobiegające z

pól, krakanie stada gawronów, które poderwało się z drzew, wszystko to nabrało

wyrazistości.

Serce zabiło mu mocniej. Spojrzał jeszcze raz w górę. Przez chwilę widział tylko zwierciadło

w zdobnej ramie ustawione na parapecie okna, oko wieży obserwujące ruch na drodze.

I nagle zwierciadło trącone rękawem spadło, roztrzaskując się o narożny kamień na

tysiąc roziskrzonych kawałków, a w oknie pojawiła się kobieta i spojrzała z góry na Cyana.

Odnosił wrażenie, że serce pęka mu jak przed chwilą zwierciadło.

- Nie! - krzyknął.

Szarpnął cugle, wprowadził przestraszonego wierzchowca w nurt rzeki i podpłynął do

gęstwiny wodnych lilii. Ociekając wodą i wlokąc za sobą girlandy kwiatów, wydostał się na

brzeg wysepki. Oddzierał z murów pęki bluszczu i wypłaszał z niego chmary małych złotych

ptaszków, gorączkowo szukając drzwi. W pobliżu wieży znalazł opuszczoną kratę osadzoną

w łukowo sklepionej bramie. Bluszcz zarastający wylot bramy przesłaniał widok na dziedziniec. Cyan naparł na kratę ramieniem. Stare drewno zatrzeszczało, zaklekotało jak

worek kości. Coś przeleciało mu nad głową, zmieniając po drodze kształt, wydłużając się,

marszcząc, rozwijając skrzydła. Wylądowało w wodzie i popłynęło z prądem. Była to pokryta

haftami, nie mająca końca wstęga płótna - zmieniające się obrazy milczących, monotonnych

dni kobiety z wieży.

Naparł jeszcze raz na kratę. Ustąpiła. Runął jak długi w wilgotną trawę i chwasty

zarastające bramę. Pozbierał się z ziemi, dobył miecza i wylał rzeczną wodę z pochwy. Jął na

oślep ciążę gęste pnącza zagrządzające mu drogę. Dziedziniec był zarośnięty zielskiem,

polnymi kwiatami, krzakami i pnączami róż. Suchą fontannę wypełniały zeschnięte liście; postać

w basenie fontanny zamiast wody lała z dzbana bluszcz. Brodząc w zielsku jak w wodzie

ruszył do drzwi w wewnętrznej ścianie wieży.

Łukowate drewniane drzwi, wypaczone i porośnięte mchem, nie ustąpiły za pierwszym szarpnięciem. Za drugim urwał się żelazny pierścień, za który rycerz ciągnął.

Cyan jął wciskać miecz między drewno a kamienną framugę. Drzwi skrzypnęły przeraźliwie,

wyskoczyły z hukiem z zawiasów i przygniotły go.

Upłynęło kilka chwil, zanim wydostał się spod nich i stanął na niepewnych nogach,

ocierając krew z czoła. Na szczyt wieży prowadziły spiralne marmurowe schody.

Wyglądały

jak świeżo ułożone i nietknięte jeszcze ludzką stopą. Wstępując po nich, Cyan słyszał tylko

własne kroki i własny oddech. Poza tym w wieży panowała martwa cisza. Ona zamieniła się w haft, pomyślał. Albo wyskoczyła przez okno, kiedy on wyważał drzwi. Owinięta w haft rzuciła się do rzeki i dała ponieść nurtowi. Dotarł do drzwi na szczycie wieży, otworzył je...

Stała w oknie odwrócona plecami do świata, zaciskając pięści. Cyan ujrzał piękną, bladą twarz ze srebrnego medalionu, oczy błękitne jak niebo. Kobieta miała jasne falujące włosy spływające na plecy. Drżała. Nie mogła dobyć z siebie głosu. Po policzku potoczyła się jej łza.

Cyan też się nie odezwał. Ukłękł po prostu i złożył ukłon prawdziwej królowej Yves oraz Wysp Północnych i Skye.

- Spojrzałeś na mnie - wyszeptła.

Uniósł głowę, nie rozumiejąc w tym momencie znaczenia tych słów. Znalazł ją, i to żywą. Tylko to się teraz liczyło.

- Zwę się Cyan Dag, pani - powiedział. - Minstrelka ze Skye wysłała mnie z Gloinmere, bym cię odnalazł.

- Idra.

- Powiedziała... powiedziała mi, że umrzesz, jeśli wyjrzysz na świat. Jeśli opuścisz tę wieżę...

- Spojrzałeś na mnie - powtórzyła.

Cyan milczał, nie odrywając od niej wzroku. Policzki jej się zaróżowiły, oczy pojaśniały. Podeszła, ukłękła i wzięła go za rękę.

- Nie rozumiem - wybąkał.

- Oni wiedzieli, że tu jestem. Kmiecie, wychodząc co dnia w pole, widzieli moje zwierciadło. Rycerze pokazywali palcami moje okno, opowiadali sobie o mnie; widziałam, jak rozmawiają. Czasem nawet ich słyszałam. Rybacy zatrzymywali łodzie wśród wodnych lili i rozważali, co tu robię. Domyślali się, że tkwię tu za sprawą czarów; że umrę, jeśli spojrzę na świat nie przez zwierciadło, lecz własnymi oczami. Częściowo mieli rację. Byłam zaczarowaną istotą, o której opowiada się dla zabicia czasu, której się współczuje. - Znowu drżała; głos miała suchy, głęboki, nie do końca jeszcze wyzwolony. Cyan zapragnął porwać ją w objęcia, przytulić, żeby poczuła wreszcie, że nie jest już w tej wieży sama. - Przejeżdżali tędy co dnia. Dzielni rycerze, poeci, prości ludzie z miasta i z pól. Istniałam w ich świecie tak jak gawrony, wieża, zima, słońce. Znali mnie. Ale tylko ty wejrzałeś poza zwierciadło i zobaczyłeś mnie. Tylko ty zobaczyłeś we mnie realną istotę i postanowiłeś mi pomóc.

- Nadal nie...

- Gdybym wyjrzała na świat, przypłaciłabym to życiem. Ale jak mogłabym umrzeć, kiedy świat spojrział na mnie ze współczuciem i odważnie wyciągnął pomocną dłoń?

Jak

mogłoby mnie to nie uwolnić?

Próbował coś odpowiedzieć, ale nie potrafił. Otarła łzę spływającą mu po twarzy

i

dotknęła srebrnego medalionu, który wysunął mu się spod koszuli.

- Moja twarz - powiedziała ze zdziwieniem.

Cyan pochylił się i pocałował ją, czując na sobie wzrok Regisa Auruma przypatrującego się mu poprzez dwie krainy.

Wstał. Czuł się tak wyczerpany, jakby stoczył właśnie zwycięską walkę na śmierć

i

życie.

- Nie lękasz się wyjść?

Uśmiechnęła się ledwo zauważalnie.

- Powinam się trochę lękać - odparła. - Zabierzesz mnie do Gloinnere?

- Czy chcesz wpięrw odwiedzić ojca?

- Nie. Chcę zobaczyć Regisa Auruma. - Odwróciła się, by po raz ostatni wyjrzeć przez

okno. - Całe życie spędziłam w Skye, a nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Będziesz musiał

służyć mi za przewodnika.

Nie chowając miecza do pochwy, sprowadził ją po schodach na dół. Nadal miał się na

baczności przed kobietą z dalekiego Gloinnere, która przywdziała twarz królowej, piła z jej

czarki i zwróciła na nich swe mściwe czarne oko, skoro tylko odkryje, że wieża jest pusta. Ale

bez przeszkód dotarli do drzwi. Zatrzymał się w progu i patrzył z uśmiechem, jak pani ze

Skye wychodzi na dziedziniec i wyciąga obie ręce do słońca.

Jej cień kładł się na chwastach, na zeschniętych liściach i sięgał do stóp Cyana.

Na

białym marmurowym progu ujrzał jej dłonie.

Sześć palców, stwierdził z osłupieniem. Cień każdej dłoni otwierającej się do światła

miał sześć palców. Cyan jęknął. Kobieta obejrzała się i oślepił go rozbłysek światła.

Przemierzyłem Yves i Skye, żeby uwolnić wcielone zło, które zagraża królowi, pomyślał

otumaniony. Osłepiające światło przygasło nieco. Zobaczył ją poprzez pulsujący zalew

czerwieni. Nie widział twarzy, tylko jej rozmyty kształt okolony włosami. W milczeniu

unosła rękę. Nie zawahał się; szedł z desperacją dalej, na spotkanie

śmiercionośnej magii,

jaką wyczarowała przeciwko niemu z powietrza.

Była to drobnostka w porównaniu z czarami, których świadkiem był w Skye:

rozbłysek

srebra, który mignął mu przed oczami. Zatrzymał się jednak.

Stał naprzeciw niej z obnażonym mieczem i dygotał na całym ciele z wysiłku, by nie

zadać ciosu. Nie zrobiła nic więcej. Stała z uniesioną ręką, najdłuższy palec
zdobiła
zwyczajna srebrna obrączka. Widział ją teraz wyraźnie, tę przerażającą twarz,
którą nosił w
sercu jak talizman, której tak nienawidził, którą na chwilę i na zawsze
pokochał.
Nie mógł się poruszyć.
Kiedy ani jak zniknęła, nie wiedział; jeszcze przez długi czas nie był w stanie
się
poruszyć, sparaliżowany bólem porażki i bezradnością. W końcu z rezygnacją
wsunął miecz
do pochwy, przypominając sobie o czekającej go długiej drodze ze Skye do Yves i
niebezpieczeństwach wiszących wciąż nad Gloinnmere. Przełknął gorycz porażki i
wyszedł
przed bramę, gdzie zostawił konia.
Wokół niego wznosiły się Trzy Siostry zalane blaskiem zachodzącego słońca.
Popatrzył na nie, popatrzył na trawę pod stopami, na wąski strumyk, w którym
gasił
pragnienie koń, na przysadzistą mroczną wieżę, z której przed chwilą wyszedł.
Znowu zalało
go poczucie zagubienia i beznadziei; najchętniej wybiłby pięściami odpowiedzi z
wieży, ale
wiedział, że kamienie mu nie odpowiedzą.
- Jak mam znaleźć spomiędzy was wyjście?! - krzyknął do wzgórz. - Kiedy mnie
wypuścicie?
Też nie odpowiedziały. Przywołał konia i dosiadł go powoli, zadając sobie
pytanie,
czy wszystkie drogi, jakimi podąży w swoim życiu, przyprowadzą go z powrotem do
tych
trzech wzgórz i tej wieży. Ruszył w stronę przeciwną do zachodzącego słońca, w
kierunku, w
którym według jego rozeznania powinno leżeć Yves.
- Zaczekaj! - krzyknął ktoś.
Rozpoznał głos Melanthos. Wstrzymał wierzchowca. Podjechała do niego bosa, z
rozwichrzonymi włosami, na parszającym nerwowo koniu. Nie spojrział na nią.
- Co się stało? - szepnęła po chwili. - Ona nie żyje?
Poderwał głowę i popatrzył jej w oczy.
- Co... skąd...?
- Znalazłam to - powiedziała cichym, drżącym głosem. - W wieży w kamiennym
lesie.
To nie moja robota. Postanowiłam cię odnaleźć. Chciałam wiedzieć.
Patrzył bez słowa na haft, który mu pokazywała. Przedstawiał ciemnowłosego
rycerza
z trzema złotymi wieżami na tunice, wychodzącego z mrocznej wieży w blask
zachodzącego
słońca. Był sam, w srebrnym krążku na jego piersi majaczyła kobieca twarz.
Cyan wyciągnął medalion spod koszuli. Wciąż przy nim była, wciąż go
prześladowała. Chciał zerwać medalion z szyi i cisnąć go w trawę, nie uczynił
tego jednak.
Ten metalowy krążek ocalił go przed wodą, przed ogniem, przed mieczem Thayne'a
Ysse,
przed smokiem.

Melanthos obserwowała go z pytaniem i niepokojem w dziwnych oczach.

- Jest wolna - rzekł powoli. - Ale myślę... że jest jakiś powód, dla którego została

uwięziona w tej wieży, i być może, wypuściłem na świat coś bardzo niebezpiecznego dla

Yves. Muszę wracać do Gloinmere i ostrzec króla. No i... - Westchnął, potrząsnął głową,

zasłonił dłonią oczy. - Pozostaje jeszcze sprawa Thayne'a Ysse i smoka. Thayne wykorzysta

go do wojny przeciwko Yves. Podczas gdy ja starałem się tutaj uwolnić... - Urwał znowu.

Melanthos wzięła go za rękę.

- Moją matkę - dokończyła za niego. Cyan nie wierzył własnym uszom. -

Przepraszam. To myśmy cię tu przetrzymały. Nikt... nikt by nie odgadł, że właśnie tak

skończy się ta historia. Nawet do głowy nam nie przyszło, że kobieta z wieży może być

niebezpieczna.

- Kobieta z wieży - wyszeptał w zadumie.

- Którą masz na myśli? - spytała Melanthos. - Moją matkę? Czy kobietę z twojego krążka?

- Twoją matkę. Stała się bardzo potężna. Widziałem, jak Thayne Ysse wydobywa ze smoka takie same płomienie, jakie wydobyła z siebie twoja matka.

- Tylko dzięki tobie.

Pokręcił głową, przypominając sobie dziwną maskę przedstawiającą pyszczek foki.

- Nie. Ona pozszywała moją tunikę, a potem sama się uwolniła. Ja nie miałem w tym

żadnego udziału.

- Popłynąłeś z nią w morze. Nie chciałeś puścić jej samej. Musiała wrócić do świata

ludzi, żeby cię ratować.

- Bałem się ją puścić. - Uśmiechnął się i przeczesał palcami zmierzwione włosy.

- To

ty przywołałaś Sel z powrotem. Dziękuję, że ponownie mnie odszukałaś.

- Musiałam, kiedy zobaczyłam ciebie wychodzącego samotnie z mrocznej wieży...

Ona to wyhaftowała.

- Zobaczyła mnie, jak nadjeżdżam - powiedział z goryczą.

- A więc była przez cały czas tu, w tej wieży?

- Wszystko na to wskazuje. Sidera powiedziała, że ta wieża jest najlepsza w stwarzaniu iluzji. - Ścisnął mocniej cugle i zerknął na zachodzące słońce. - Na mnie już czas.

Przed zmrokiem muszę znaleźć wyjście spomiędzy tych wzgórz.

- Wracaj do kamiennego lasu - poprosiła Melanthos. - Opowiedz mojej matce o tej kobiecie, o smoku Thayne Ysse i o niebezpieczeństwie grożącym Gloinmere. Nie wiem nic o

wojnie ani o świecie poza granicami Skye. Ale jeśli Gloinmere grożą czary mające swoje

źródło w Skye, to jak długo samo Skye może trzymać się na uboczu?

- Nie wiem. Sel podejmie walkę w waszej obronie. Ja nie mogę zostać dłużej w Skye.

O wiele za długo przebywam już poza moim krajem. - Ruszył znowu w stronę Yves, żegnając

uniesieniem ręki dziwnooką córkę foki, której oczy straciły teraz blask, stały się ciemne i tajemnicze jak kamienie za jej plecami. Zabierał ze sobą spomiędzy wzgórz czarowny uśmiech tej dziewczyny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Thayne Ysse siedział w smoczej wieży i spierał się z Craiche'em. Ojciec, nie zwracając na nich uwagi, wertował księgi w poszukiwaniu zaklęcia, które, jak powiedział,

uczyniłoby smoka niewidzialnym, dzięki czemu o tym, że leci ku Gloinmere, świadczyłby

tylko tajemniczy pas spalonej ziemi na drodze armii z Wysp Północnych maszerującej przez

Yves.

- Nie możesz lecieć sam do Gloinmere - upierał się Craiche. - Jeśli zginiesz, smok

ucieknie albo zostanie pojmany przez kogoś z Gloinmere. Kto wtedy obroni Wyspy Północne? Wytną nas w pień. Dokona tego ten sam król, który...

- Magii, jaka jest w Yves, nie starczy na napięcie łuku, a co dopiero na okiełznanie

smoka - rzekł Thayne. - A zresztą mnie nic się nie stanie. Ty zostaniesz tutaj z ojcem. Ktoś

musi się nim opiekować.

- Lecę z tobą.

- Ja, ma się rozumieć, też - wtrącił ojciec, podnosząc wzrok znad księgi. -

Przejmę

smoka, jeśli ty padniesz, Bowanie. Regisa Auruma zostawcie mnie. Mam z nim rachunki do

wyrównania.

- Ma się rozumieć - powiedział Thayne, siląc się na spokój. Podparł brodę dłonią,

przeczesał palcami włosy, wyprostował się znowu. Craiche patrzył na niego z irytującym,

niewzruszonym spokojem. - Jeśli zginę w Gloinmere, wy także nie ujdziecie stamtąd żywi. I

kto będzie wtedy rządził Wyspami Północnymi?

- Przecież wiesz, że to bez znaczenia - rzekł cicho Craiche. - Jeśli nie powiesz ci się

w Gloinmere, Regis Aurum przyśle tu swoją armię, a wtedy jedynymi żywymi istotami na

Wyspach Północnych pozostaną kraby piaskowe.

Thayne przyznał mu w duchu rację.

- Co więc radzisz? Mam poniechać wszczynania tej wojny?

- Nie da się jej uniknąć, kiedy Regis Aurum dowie się o złocie. I o smoku. I o tobie.

Thayne poprawił się niespokojnie na ławie. Craiche zmienił się przez kilka ostatnich

tygodni. Brał udział w każdej naradzie wojennej zwoływanej przez Thayne'a, miał odpowiedź

na każdą wątpliwość podnoszoną przez brata. Zmienił się nawet jego uśmiech - stał się

zwodniczo słodki, złowieszczy.

- Poza tym chcę zobaczyć minę, jaką zrobi Regis Aurum, kiedy ujrzy smoka na swym dziedzińcu.

Thayne przetarł oczy. Ostatnio źle sypiał, dręczony koszmarami.

- Mogę cię zmusić do pozostania - mruknął. - Mogę sprawić, że nie będziesz w stanie

trafić do bramy ani wyjrzeć przez okno, ani wdrapać się na mury.

- Znam to zakłęcie - odezwał się ojciec.

Craiche patrzył wyrozumiale na brata.

- Ale tego nie uczynisz, bo gdybyś naprawdę miał taki zamiar, nie mówiłbyś mi o tym.

- Proszę cię, Craiche.

- O co? Czego się lękasz?

Kobiety ze snów, pomyślał Thayne. Tego, co czuję w kościach.

- Coś mnie niepokoi - przyznał. - Nie widzę czegoś, co powinienem widzieć. Robię wszystko, cośmy zaplanowali, ale nie dostrzegam czegoś, co mam przed samym nosem i co

krzyczy...

- Wiem! - Ojciec podbiegł do synów i rzucił przed nimi na stół ciężkie, oprawne w

skórę, zdobione złotem i perłami tomisko. - Patrz! - zwrócił się do Thayne. -

Zrób, jak tu

jest napisane, Bowanie, a smok stanie się niewidzialny nawet w samo południe.

Thayne bez entuzjazmu pochylił się nad księgą, jednak po chwili słowa zapisane w niej równym, pięknym charakterem pisma przykuły jego uwagę.

Skończył czytać i spojrzał pytająco na Craiche'a.

- Niezła myśl - powiedział Craiche. - Jeśli zdołasz nakłonić smoka do zachowania ciszy, nikt nie będzie wiedział, że przybywamy, dopóki nie znajdziemy się w Gloinmere. Król

niczego się nie będzie spodziewał.

- Cyan Dag go uprzedzi.

- Pod warunkiem że zdąży tam dotrzeć przed nami.

- Do Yves dotarli już na pewno jakieś pogłoski o smoku. Widzieli go wszyscy rybacy

łowiący po północnej stronie kanału.

- Być może - przyznał Craiche. - Ale kto w nie uwierzy? - Unikając wzroku Thayne'a,

schylił się pod stół po swój kostur. - Powinniśmy ruszać czym prędzej w drogę.

Ludzie pod

bronią, konie podkute, smoczy władca Ysse wie już wszystko...

- Tego właśnie się obawiam - wpadł mu w słowo Thayne. - Tego, czego dowiem się dopiero, kiedy staniemy oko w oko z królem w Gloinmere.

Ostatnio w snach nawiedzała go często harfistka ze Skye. Czasami grała na harfie,

trącając raz po raz tylko jedną strunę w rytm bicia jego serca. Czasami przemawiała doń z

przejęciem w nieznanym mu języku, a na koniec wypowiadała słowo, po którym budził się

gwałtownie jak obłany kubłem lodowatej wody.

„Craiche”.

Tej nocy przerwał jej w połowie niezrozumiałej tyrady.

- No dobrze! - krzyknął. - Powiedz mi zatem, co mam robić? No powiedz. Kazałaś mi

szukać smoka! Myślałaś, że do czego go wykorzystam?

Milczała przez chwilę. Potem uśmiechnęła się, a jemu przemknęło przez myśl, że chyba umarł, bo za życia nigdy się tak nie przeraził.

Powiedziała mu.

Nazajutrz przed wschodem słońca rzucił na smoka zaklęcie, sięć ze słów i powietrza,

która zaczęła spowijać bestię i ukrywać przed ludzkimi oczami jej lśniąca łuski, potężne

szponiaste łapy, przecięte wąskimi źrenicami złote jeziora ślepi. Skończył o świcie i

stwierdził, że nadal ma pod nogami cień objuczonego smoka. Otworzył oko w gałce łaski,

którą z grzbietu smoka rzucił mu Craiche, i wessał w nie smoczy cień. Ojciec stał obok,

wpatrywał się w puste miejsce pod wieżą, gdzie jeszcze niedawno leżał smok.

Piasek stopił

się tu i ówdzie w twarde, błyszczące kałuże szkła.

- Jesteś potomkiem Ferle'a, Thaynie - powiedział z podziwem. - Przyszedłeś na świat

z całą magią Ysse. Ale co zrobiłeś z Craiche'em?

- Wciąż go widzę - odparł Thayne. Uściskał ojca, jak zawsze poruszony faktem, że usłyszał od niego własne imię. - Bywaj zdrów.

- Przekaż Regisowi Aurumowi pozdrowienia ode mnie. - Ojciec uśmiechnął się mściwie. - Sam bym mu je złożył, ale ktoś musi strzec tajemnic przechowywanych w tej wieży.

- Nikt nie wywiąże się z tego lepiej od ciebie.

- Przynieś mi jego koronę, Bowanie.

- Przyniosę.

Smok opuścił łeb. Thayne zaczął wstępować po jego szyi. Wiedział, że ojcu i zgromadzonemu na murach ludziom wydaje się, że idzie w powietrzu. Kiedy miał się już stać

niewidzialny, ojciec uniósł w pożegnalnym salucie zaciśniętą pięść.

- Nie widzę ciebie - szepnęła Craiche, kiedy Thayne skierował smoka nad morze. -

Ani

smoka. Nie widzę nic, jedynie powietrze pod sobą.

Thayne zakrył bratu oczy.

- Patrz więc moimi oczami - powiedział. Cofnął rękę i usłyszał myśli Craiche'a.

- Dla

odmiany - dodał, kiedy Craiche spojrział na niego, mrugając powiekami.

Craiche obejrzał się na Ysse. Przypominało półksiężyc wiszący nad kontynentem w morzu srebrnego ognia.

- A gdzie łodzie? - zapytał po chwili. - Powinny już przecinać kanał. Będziemy musieli na nie poczekać.

- Nie popłyną.

Craiche odwrócił się gwałtownie.

- Jak to? Nie popłyną?

- Widzisz...

- Kupiłeś połowę koni z północnego Yves i broń od każdego kupca poza granicami Yves...

- Jesteśmy więc uzbrojeni - odparł spokojnie Thayne. - Tej nocy wydałem dowódcom armii rozkaz pozostania na wyspie, dopóki ich nie wezwę.

- To znaczy, dopóki...

- Nie. - Thayne poczuł w oczach smoczy ogień, zalew złota, który przyćmił morze i

zapał Craiche'owi dech w piersiach. - Przeciw królowi w Gloinmere wystąpimy tylko ja, ty i smok.

- Dlaczego? - szepnął Craiche.

- Złożyłem komuś taką obietnicę.

- Jaką obietnicę?

Thayne nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i położył Craiche'owi dłoń na ramieniu.

- Smok potrafiłby sam zniszczyć Gloinmere. Ja również. Nie ma w całym Yves nikogo, kto mógłby mnie pokonać.

- Ale oni chcieli iść na wojnę! Chcieli jeszcze raz stanąć przeciwko Regisowi Aurumowi i jego rycerzom! Chronieni przez ciebie i smoka zdobyliby Gloinmere i koronowali cię na króla Yves koroną Regina Auruma!

- Wiem.

- Więc dlaczego?

Thayne patrzył na niego w milczeniu. Czuł się rozdarty między swymi pragnieniami a

najgorszymi obawami.

- Nie kwestionuj moich decyzji - odezwał się w końcu. - Zabrałem cię ze sobą tylko

dlatego, że jesteś miarą tego, co zyskam bądź stracę w Gloinmere.

- Nie rozumiem.

- I nie musisz. - Ścisnął mocno ramię Craiche'a. - Nie zależy mi na tym, byś rozumiał.

Chcę tylko, żebyś żył.

Ujrzał nagle siebie oczami Craiche'a - wyniosły, potężny, ze smoczym ogniem w oczach i starożytnymi siłami Ysse w umyśle, pierwszy od tysiący lat władca Ysse, który

potrafiłby wziąć od świata wszystko, czego zapragnie, ale powstrzymuje go coś jeszcze

potężniejszego.

- Komu złożyłeś te obietnicę? - wyszeptał Craiche.

Zostawili już za sobą morze, rozpościerał się pod nimi pofałdowany zielony ład.

Thayne

puścił ramię brata, ale jeszcze przez chwilę trzymał dłoń blisko jego twarzy,

która robiła się

coraz bardziej podobna do twarzy ojca.

- Przestań ze mną dyskutować - powiedział, kręcąc głową. - Jestem władcą Ysse, a ty

moim kalekim młodszym bratem, który chodziłby teraz na dwóch, nie na trzech nogach,

gdyby przed siedmiu laty mnie posłuchał i nie wyruszył na wojnę. Pozwól mi

działać po

swojemu.

Dolecieli do Gloinmere następnego dnia o zmierzchu. Thayne posadził smoka na dziedzińcu i ściągnął z niego kokon niewidzialności. Na dziedzińcu Gloinmere zmieściłby się

cały zamek z Ysse, ale nawet w porównaniu z tymi wysokimi murami i potężnymi

wieżami
smok był ogromny. Parsknął na zaskoczonych strażników nadbiegających blankami.
Rzuciło
ich do tyłu, wpadli na siebie, łuki i kusze rozprysły się w powietrzu jak
słomki. Z sali
tronowej doleciał wrzask przerażenia, kiedy smok przyłożył ślepie do jej okna.
Drzwi otworzyły się z impetem, na schody wylegli uzbrojeni strażnicy i rycerze.
Thayne
uniósł łaskę i puścił falę ognia, która ścięła ich z nóg i cofnęła do sali.
Ogień zgasł. Na schody
wyszło kilku mężczyzn bez broni. Szybko zebrali poległych i nieprzytomnych,
wnieśli ich do
sali. Drzwi znowu się zatrzasnęły. Smok, uniółszy łeb ponad najwyższą z wież,
rozwarł
paszczę i zionął płomieniem, który strawił powiewające na niej proporce.
Strażnicy przy bramie pochowali się w wieżyczkach. Tu i tam ponad mur wychylała
się na chwilę chroniona hełmem głowa, by zaraz znowu zniknąć. Ktoś wystrzelił w
panice
płonącą strzałę. Smok przechwycił ją w locie jak żaba muchę i połknął. Potem
sięgnął łbem
za wysoki mur i szczątki strażnika poleciały na ścianę wieży.
- Regisie Aurumie! - krzyknął Thayne. Rozbrzęczały się dzwony na wieży. Craiche
padł na kolana i zatkał sobie uszy. Z sali tronowej dobiegł trzask pękających
naczyn. - Wyspy
Północne przybywają do Gloinmere z kontrybucją dla króla Yves.
Z sali tronowej wyszedł samotnie król Yves z obosiecznym mieczem w dłoni.
Przystanął i ze zmieniającym się wyrazem twarzy unosił powoli głowę, aż w końcu
napotkał
spoglądające nań z góry smocze ślepie, każde wielkie jak brama. Przełknął z
trudem.
Przeniósł wzrok na Thayne'a i wziął głęboki oddech.
- Thayne Ysse - powiedział. - Słyszałem opowieści o potędze Wysp Północnych,
ale
uznawałem je dotąd za mocno przesadzone. Czego chcesz?
- Sprawiedliwości.
Twarz króla stwardniała.
- Wyprowadź więc tego potwora za mury i przyjdź do mnie, jak na cywilizowanego
człowieka przystało.
Co chcesz zrobić? Spalić Gloinmere i nazwać to sprawiedliwością?
- Bo to byłaby sprawiedliwość. - Thayne'owi drżał głos.
Kłęczący wciąż Craiche wyszeptał:
- Nie mów... pokaż mu.
- Przez wieki obgryzaliście Wyspy Północne do kości. I wciąż było wam mało.
Gdybyśmy nie mieli nic prócz kamieni, żądalibyście od nas kamieni. Rzuciliście
nas na
kolana i zdziesiątkowaliście, kiedy nie chcieliśmy się podporządkować. Żądacie
złożenia
przysięgi na wierność i kontrybucji, ale co proponujecie w zamian? Co dobrego
uczyniliście
kiedykolwiek dla Wysp Północnych? To Ysse, nie Yves, niegdyś nimi rządziło. I
Ysse, nie
Yves, rządzi na nich teraz. Możesz mnie przyjąć jak władca władcę, a jeśli

spróbujesz ze
swoimi rycerzami podnieść rękę na naszą wolność, obrócę Gloinmere w perzynę.
Król postąpił krok, jego twarz wykrzywiła wściekłość.

- Zrób to od razu, bo kiedy opuścisz Gloinmere, będę cię ścigał jako zdrajcę
Yves...

Thayne usłyszał szcęk dobywanej broni. Craiche podźwignął się z klęczek i
stał

obok niego z obnażonym mieczem, przytrzymując się dla równowagi smoczego
skrzydła.

- A więc cię zabiję - powiedział spokojnie głosem tak przypominającym głos ojca,
że

Thayne poczuł ciarki na plecach. Przystąpił z nogi na nogę, wprawiając smoczą
skórę w

falowanie. Craiche stracił równowagę i znowu zniknął za skrzydłem smoka.

- Kto to był?! - krzyknął Regis łamiącym się głosem.

- Następny władca Ysse - odparł Thayne i uniósł laskę. Oko w gałce sparaliżowało
Regisa Auruma spojrzeniem. Thayne patrzył teraz na króla Yves poprzez całą moc
laski i jej

oka.

- Dosyć - powiedział bardzo cicho. - Podejdz do mnie.

Skrzypnęła brama za jego plecami. Obejrzał się zaskoczony i odruchowo cisnął w
przybysza moc laski. Na drodze świetlistej wiązki bezradnie stała kobieta.

Strumień światła

odbił się od niej i wlał w laskę z taką siłą, jakby uderzyła w nią wyrwana z
zawiasów brama.

Thayne osłepiony i oszołomiony osunął się na kolana. Czuł, jak Craiche bierze go
pod

pachy i pomaga wstać. Zamrugał i podniósł się z klęczek. Zobaczył znowu króla,
który

patrzył ponad wygiętą szyję smoka na kobietę w bramie. Thayne nie mógł dobrać z
siebie

głosu; Regisowi Aurumowi to się udało.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Piekarką z kamiennego lasu - odparła kobieta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Sel przeniosła wzrok na smoka. Jego łuski lśniły w gasnącym świetle dnia, z
wyżyn

potężnej szyi patrzyły na nią osadzone we łbie kotły roztopionego złota. Potwór
zastygł w

bezruchu. Ona również stała jak sparaliżowana, bo nigdy w życiu nie widziała
stworzenia tak

pięknego i tak przerażającego zarazem. Smok rozchylił paszczę, szczerząc
kryształowe kliny

zębów. Sel przemknęło przez myśl, że się do niej uśmiecha.

Miała przed sobą coś więcej niż smoka. Dostrzegła to od razu, choć nie potrafiła
stwierdzić, gdzie przebiega granica, na której kończy się smok, a zaczyna
nieznana siła, która

zna jej imię. Gdzieś w głębinach jego ognistych, mgławicowych myśli otworzyło
się i

spojrzało na nią znajome oko. Nie zdążyła rozszyfrować malującego się w nim
pytania, bo jej

uwagę odwróciła mieszanina emocji rozsiewanych przez ludzi na dziedzińcu. Znała

ich z

opowieści Melanthos.

Ten rudowłosy, potężny mężczyzna z nagim mieczem w dłoni i czerwoną od gniewu twarzą, stojący na schodach i samotnie broniący swego domu, musiał być królem Yves, Wysp

Północnych i Skye. Ten złotowłosy, porażony własną odbitą mocą, to na pewno Thayne

Ysse, który przybył na smoku, by walczyć z królem.

O ciemnowłosym młodzieńcu, który mu towarzyszył, Melanthos nie wspominała, Sel domyślała się, że to ktoś z rodziny.

Nagle dostrzegła niepokojący błysk w gałce laski, którą trzymał Thayne. Sięgnęła myślą do gładkiej jak czaszka gałki, unikając mocy zawartej w oku. Laska wyskoczyła z dłoni

Thayne'a. Thayne krzyknął, zachwiał się i zgiął w pół, przyciskając dłoń do piersi. Sel

spojrzała teraz na mężczyznę stojącego na schodach.

- Regis Aurum? - spytała.

Król kiwnął głową, szukając słów. W końcu je znalazł.

- Piekarka, powiadasz?

Smok odwrócił nagle łeb w stronę murów, rozwarł szeroko paszczę i zasyczał.

Ukrywający się za blankami łucznic, który brał Thayne'a na cel, krzyknął i odrzucił łuk na

dziedziniec.

- Córka ubłagała mnie, dlatego tu jestem - zwróciła się Sel do króla. - Wedle jej słów

Cyan Dag obawiał się, że nie zdąży wrócić i ostrzec cię przed Thayne'em Ysse i smokiem.

Przybyłam najszybciej, jak mogłam.

- Cyan Dag? - Król postąpił krok, ale przypominając sobie o smoku, znowu się zatrzymał. - Widziałaś go?

- Tak. Przejeżdżał przez Kamienny Las. - Urwała i przed oczami stanął jej rycerz,

który podążył za nią w morze. - Pomógł mi w potrzebie. Kiedy dowiedziałam się od Melanthos, że jest w kłopotcie, pomyślałam sobie, że oto nadarza się okazja do rewanżu. -

Wyczuła burzę myśli ścierających się na grzbiecie smoka i dodała: - Nie sądzisz, że gdyby

Thayne Ysse naprawdę zamierzał spalić Gloinmere, zrobiłby to przed posadzeniem smoka na

dziedzińcu? Na co czeka? Dla smoka to tyle, co splunąć.

Król cofnął się z niepewną miną. Thayne Ysse rzucił jej tylko ponure, znękanе spojrzenie. Aha, pomyślała. Coś tu nie jest tym, na co wygląda.

Za plecami króla zaczęły się uchylać drzwi. Regis Aurum odwrócił się gwałtownie i z

powrotem je zatrzasnął. Od środka zaczęto w nie łomotać pięściami; nie ustąpiły.

Sel

podniosła głos:

- Mam z nim porozmawiać?

- Porozmawiać! - wyrzucił z siebie z furią Regis Aurum. - I tak za wiele już gada.

Należało go przywlec do Gloinmere za kark już przed siedmioma laty, skończyć raz na

zawsze z tym zapchlonym, zapyziałym rodem. Uwierzyłem mu na słowo...
Smoczy łeb opadł tak szybko, że król ledwie zdążył poderwać obiema rękami miecz i
nastawić go ostrzem w opuszczającą się gardziel. Łeb zatrzymał się tuż nad nim.
Król
powstrzymał sztych.
- Nigdy nie dawałem ci żadnego słowa - wybuchnął Thayne. - Nie przeszłoby mi przez gardło.
- Twój ojciec złożył mi hołd lenniczy.
- Był ranny; nie wiedział, co...
- Wiedział - przerwał mu spokojnie Regis Aurom - że Wyspy Północne od wieków należą do Yves. Wy tylko tam mieszkaliście. Sami prosiliście się o wojnę, nie składając mi w
Gloinmere hołdu podczas koronacji. Dostaliście, na coście zasłużyli.
- Omal nie wybiłeś nas do nogi. - Thayne stał odwrócony plecami do Sel, ale ona widziała wzbierającą w nim znowu moc. Powietrze wokół niego mieniło się, kotłowało,
pulsowało.
- Zrobię to teraz - odparł butnie nieświadomy tego Regis.
Sel przystąpiła do działania z szybkością, z jaką przemierzała niedawno ogromne połacie Yves. Skupiła uwagę na fałdzie złożonego skrzydła smoka i postąpiła krok w tamtą
stronę. Zanurzona w rozbłysku, jaki rozdarł powietrze, poruszała się niczym foka prująca fale
i nie obawiająca się żadnej burzy. Pojawiła się znowu przed Thayne'em.
Otaczająca go aura
przygasła już, przybrała barwę zmierzchu.
- Kim jesteś? - spytał.
- Thayne, poszczuj smoka, zanim ona zdąży cię powstrzymać - mruknął młodzieniec stojący obok niego i podpierający się mieczem. - Miast walczyć, gadasz, a oni tymczasem
szukają sposobu, jak by cię tu zabić.
- On ma rację - podchwyciła Sel. - Po co tu przybyłeś, jeśli nie po to, by zniszczyć
Gloinmere?
- Myślałem, że na widok smoka król raczy mnie wysłuchać.
- Wysłuchać?! - powtórzył ze zgrozą młodzieniec. - Myślałem, że będziemy walczyć.
Thayne zacisnął pięści.
- Obiecałem...
- Co? Co obiecałeś? - Młodzieniec wypuścił miecz i chwycił Thayne'a za rękę. - Kto
cię do tego zmusił? Jeśli nie podejmiesz walki, ona cię zabije!
Thayne pokręcił głową bez słowa. Sel zauważyła, że młodzieniec jedną nogę ma bezwładną i powłóczył ją z trudem. Podniosła laskę i wepchnęła mu jej gałkę pod pachę.
- Kim jesteś? - spytała.
Nie odpowiedział, nawet na nią nie spojrział; nie odrywał wzroku od Thayne'a.
- Jeśli podejmę walkę, ona zabije ciebie - powiedział cicho Thayne.
- Kto? - spytała Sel. - Kto go zabije?
Obaj spojrzeli na nią; w oczach jednego malowała się konsternacja, w oczach drugiego - rozpacz. Młodzieniec puścił rękę Thayne'a.

- Właśnie, kto? - powtórzył za Sel.
- Zamilcz wreszcie i daj mi się zastanowić - mruknął Thayne. - To mój brat Craiche -
zwrócił się do Sel. - Przed siedmioma laty odniósł ranę w bitwie, jaką stoczyły Wyspy Północne z Yves.
- A więc przegraliście nie tylko bitwę - stwierdziła Sel. - Twój ojciec i brat zostali ranni. Czy ojciec żyje jeszcze?
Thayne chciał odpowiedzieć, ale coś mu przeszkodziło. Uniósł rękę i nastawił ucha.
Sel również usłyszała stłumiony tupot wielu stóp wbiegających po schodach na wieże.
- Wydobrza! - odparł Thayne. - Ale pomieszało mu się w głowie. Nie pamięta swojego imienia, a wysłał mnie do Skye na poszukiwanie smoka. Naprawdę jesteś piekarką?
Sel kiwnęła głową. Zauważyła, że wyraz oczu Thayne'a uległ zmianie. Wyczuła pod stopami drgnienie smoka. Jedno ślepie spojrzało na Thayne'a z góry, potem bestia uniosła skrzydła i złączyła je nad ich głowami. Strzały, które posypały się ze strzelnic w wieżach, zabębniły jak deszcz o gadzie łuski.
- Wygląda na to, że twój brat ma rację - powiedziała Sel. - Albo spalisz Gloinmere, albo odlecisz stąd ze smokiem. Powinieneś się zdecydować na jedno lub drugie, zanim cię zabiją.
Spojrzał na nią błyszczącymi jak u smoka oczami.
- Myślałem, że trzymasz stronę Regisa Auruma.
- Nie znam żadnego z was. Widzę, że nie lękasz się króla. Gdybyś chciał, mógłbyś nim nakarmić smoka...
- Ale nie chcę! Na co serce tego króla jakimkolwiek żywemu stworzeniu?
Zginąłby z tą samą arogancją w oczach, z tą samą gorszą od pogardy obojętnością, z jaką żąda od nas, byśmy zrezygnowali z nadziei, ślubowali mu lojalność, oddali życie. Nie chcę wojny. Zbyt wiele by kosztowała. Chcę od Yves wolności dla Wysp Północnych.
Sel milczała, rozważając w myślach pewne fakty: noga Craiche'a, wyraz oczu króla, zagadkowe obiekcje Thayne'a, jej własna nieprawdopodobna moc. Wzięła głęboki oddech i szczeknęła jak foka, którą zapewne była:
- Regisie Aurumie!
Jedno skrzydło smoka opadło, drugie wygięło się bardziej, żeby osłonić ich przed strzałami. Król ścisnął miecz w dłoni.
- Co?
- Podejdz, Regisie Aurumie!
Zawahał się; zniecierpliwiona przyciągnęła go jak rybę schwytaną w sieć. Thayne wymruczał coś pod nosem i stanął między królem a Craiche'em. Nie odebrał Regisowi miecza, bo broń na grzbiecie smoka itak do niczego się nie nadawała, co najwyżej

mogła

pomagać Regisowi Aurumowi w zebraniu myśli.

- Sam ściągnąłeś sobie na głowę ten problem - zwróciła się do króla Sel. - Ty doprowadziłeś Thayne'a do ostateczności. Spójrz na jego brata. Walczyłeś z chłopcami,

którym nawet wąż się jeszcze nie sypnął...

- Nie prowadziłem wojny przeciwko dzieciom! - zaperzył się Regis. - Sam omal nie poległem w tej bitwie.

- A potem prowadziłeś wojnę bez użycia broni - powiedział z goryczą Thayne - nawet

przeciwko naszym dzieciom.

- Sami wywołaliście tę wojnę!

- A ty, żeby nas za to ukarać, odebrałeś Wyspom Północnym wszystko!

- One były i są moje.

- A Skye? - spytała Sel.

- Skye też jest moje. Odziedziczyłem ten kraj po ojcu, pojąłem za żonę córkę...

- Do jego magii też rościsz sobie prawo? Ten smok przyleciał z serca Skye. Jeśli kiedykolwiek uznasz, że cię obraziliśmy, i ruszysz na nas ze swoimi rycerzami, strzeż się.

Regis Aurum patrzył na nią ze zdumieniem. Tak samo Thayne Ysse i smok. Sel, gdyby miała dodatkowe oko, też popatrzyłaby na siebie ze zdumieniem, bo słowa, które

padały z jej ust, nie były jej słowami.

- Grozisz mi? - spytał król z niedowierzaniem.

Po chwili namysłu Sel kiwnęła głową.

- Tak. Jeśli wypowiesz wojnę Thayne'owi Ysse i Wyspom Północnym, Skye wystąpi przeciwko tobie. I lepiej zacznij się uczyć magii, Regisie Aurumie, bo twoja broń będzie tam

bezużyteczna.

Król otworzył i zamknął usta. Krew uderzyła mu do twarzy i odpłynęła.

- Władca Skye nigdy nie wypowie wojny swojej córce... nie możesz przemawiać w imieniu Skye...

- Nie z władcą Skye będziesz miał do czynienia - powiedziała Sel posepnie - lecz z

ludźmi, których twarze nigdy nie widziałeś. Podobnie jak ludzie z Wysp Północnych, mają

oni imiona i chcą godnie żyć. W odróżnieniu od Wysp Północnych, Skye nie zapomniało swojej magii.

Król zamrugał. Zerknął na smoka, który pochylał łeb, tak jakby się przysłuchiwał.

Jedno ślepie wisiało nad nimi niczym jasny, nabrzmiały księżyc.

- Mówiłaś, że przebyłaś tu, żeby oddać przysługę jednemu z moich rycerzy i bronić

Gloinnere - powiedział król.

- Ten rycerz - odezwał się Thayne - jako jedyny z twoich rycerzy okazał serce wyspiarzom. Zostawił cię rannego, by ocalić życie mojemu bratu.

- Skąd wiesz? - spytał ostro Regis Aurum. - Nic mi o tym nie mówił.

- Wiem, bo sam omal go nie zabiłem, walcząc z nim o tego smoka w Skye.

Darowałem mu jednak życie, bo znał imię mego brata.

Król przymrużył oczy; twarz mu pobladła.

- Jesteś bardzo niebezpiecznym człowiekiem, Thaynie Ysse. Tego rycerza cenię

sobie

najbardziej spośród wszystkich moich ludzi.

- Ja również - odparł Thayne. - Jeśli dojdzie między nami do wojny, obrócimy w perzynę trzy kraje. A będzie wojna, jeśli nie oddasz mi Wysp Północnych.

Król długo patrzył na Thayne'a w milczeniu.

- Teraz wiem - odezwał się przyciszonym głosem - co czułeś, kiedy pokonany klęczałeś przede mną w północnym Yves.

Thayne pokręcił głową.

- Nie wiesz tego nawet teraz. Ty nie straciłeś wszystkiego, co kochasz.

Regis opuścił miecz.

- Nie mogę walczyć ze smokami - powiedział. - Ani z krajem mojej żony. A już na pewno nie o parę wysepek, na których nie ma nic prócz owiec i piasku. Od dnia koronacji

prawie o nich nie myślałem.

Thayne odetchnął głęboko i odstaąpił w bok, przepuszczając przed siebie

Craiche'a.

Oczy zalśniły mu przez moment niczym złote monety.

- Tak jak powiedziałaś, to tylko piasek i owce.

Król powoli wsunął miecz do pochwy, przyglądając się braciom.

- Jesteś bardzo podobny do ojca - zwrócił się do Craiche'a. - Widziałem go parę razy,

kiedy żył jeszcze mój ojciec. Wejdźmy do sali, zanim ktoś znowu was ostrzela.

Musze

oznajmić moim rycerzom, że Wyspy Północne należą teraz do Ysse i nie jesteście mi niczego

winni. - Widząc czujność w oczach Thayne'a, dorzucił: - Weźcie broń, jeśli chcecie, ale

ręczę, że to nie podstęp.

- Cyan Dag go kocha - odpowiedziała Sel na nieme pytanie władcy Ysse. - To musi coś znaczyć.

Smok rozprostował skrzydło i opuścił je niczym most na schody. Król podał ramię piekarce, ujmując ją tym gestem.

- Cyan już dawno powinien wrócić - mruknął Regis, kiedy schodzili po smoczym skrzydle. - Moja żona wysłała go z jakąś misją dwa dni po naszym ślubie. Od tamtego czasu

nie daje znaku życia.

- Chyba przybył do Skye szukać smoka - odezwał się po chwili Thayne. - Bo jeśli nie,

to po co by wchodził do smoczej wieży?

- W kamiennym lesie powiedział nam, że szuka kobiety...

Król szarpnął drzwi, a kiedy nie ustąpiły, odsunął się, robiąc miejsce

Thayne'owi,

który otworzył je z impetem, jakby cały dwór napierał na nie od środka. Na schody wysypali

się zdezorientowani rycerze z obnażonymi mieczami, ale władca Ysse i jego brat zniknęli.

Król podniesionym głosem uspokajał swych ludzi. W progu stanęła kobieta. Na jej widok Sel

osłupiała.

Była to kobieta ze zwierciadła. Ta sama piękna twarz, te same świetliste oczy,

te same

włosy, ale w tym świecie starannie uczesane i ułożone. Kobieta poczuła na sobie

wzrok Sel i
uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo. Król przywrócił w końcu spokój i biorąc pod rękę
Thayne'a Ysse, który znowu się pojawił, podprowadził go do stojącej w progu damy.
- Oto władca Wysp Północnych, Thayne Ysse, i jego brat Craiche - powiedział. - A to
Sel, która przybyła ze Skye, by nam doradzać. Powitajmy ich w moim domu. - Z tymi
słowami przekroczył próg. Za nim ruszyli rycerze i strażnicy.
- Ze Skye! - zawołała królowa Yves, biorąc Sel za rękę. - Powiedz mi, gdzie mieszkasz. Może znam te okolice.
- W kamiennym lesie - odparła oszołomiona Sel.
- Ach, tak - ucieszyła się pani ze Skye. - Wybrałam się kiedyś z domu mojego ojca,
żeby zobaczyć ten dziwny kamienny las.
Thayne czekał z Craiche'em, aż rycerze wejdą do sali. Coś kazało mu spojrzeć na smoka. Sel też to zrobiła.
Smok się przeistaczał. Po chwili zamiast niego na dziedzińcu stanęła wysoka kobieta o
włosach siwych jak śnieg i oczach ciemnych jak oko w gałce laski. Znam cię, pomyślała
zdumiona Sel. To ty patrzyłaś na mnie ze zwierciadła...
Kobieta uśmiechnęła się do Sel, jakby usłyszała jej myśli.
- To nie będzie ci już potrzebne - powiedziała, zwracając się do Thayne'a i podnosząc
z ziemi laskę.
Potem odwróciła się, ruszyła w stronę bramy i zniknęła w mroku.
- Powiniennem się był domyślić - szepnął Thayne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Cyan Dag wrócił do Gloinmere o zmierzchu, po kilku tygodniach - a może latach? - nieobecności. Z wyglądu okolicznych pól i sadów wnioskował, że jeszcze nie nadeszła jesień.
Pędził ze Skye co koń wyskoczy, gnany przez całą drogę wizją spalonych, zburzonych wież,
wyludnionego miasta zasłanego trupami mieszkańców, rozproszonych rycerzy z Gloinmere,
zaginionego króla i latającego nad ruinami potwora z Wysp Północnych.
Ale mury i wieże Gloinmere stały jak dawniej. Na tle tarczy wschodzącego księżyca
nie przesuwiał się cień smoka. Cyan się obawiał, że od spotkania z Thayne'em Ysse i jego
smokiem gorsza będzie konfrontacja z nieodgadnioną i groźną żoną króla. Nadal nosił na
piersi nadtopiony medalion, pamiątkę po niewypełnionej misji. Pokaże go królowi, który
może zauważył już w swojej uśmiechniętej żonie coś, co spędza mu teraz sen z
oczu, coś w jej
cieniu, coś przyprawiającego o dreszcz, co pojawia się w jej oczach, kiedy tańczy.
A jeśli król żyje nadal w błogiej nieświadomości, Cyan będzie zmuszony wyłożyć kawę na ławę i opowiedzieć mu wszystko, licząc na to, że Regis uwierzy.

Wjechał na dziedziniec, nie zwracając uwagi na przejęte twarze strażników przy bramie i stajennego, który podbiegł, by odebrać od niego konia. Po schodach wszedł do sali, w której król spożywał wieczerzę w towarzystwie dworu. Kiedy zbliżał się ku podwyższeniu potargany, w zakurzonej, połatannej tunice, ze zdeformowanym medalionem na piersi, przy stołach, które mijał, zapadała dziwna cisza. Nie odrywał oczu od króla, zastanawiając się, od czego zacząć. Król też patrzył na niego tak, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Nagle dał znak muzykantom, by przestali grać, i podniósł się od stołu. Cyan przechodził właśnie za plecami złotowłosego młodzieńca, który siedział obok króla. Poczł się nagle słaby, przez chwilę myślał, że upadnie. Potem jego wzrok przyciągnęła królowa, kobieta, przez którą opuścił Gloinnmere i która nawiedzała go podczas wędrówki po Skye. Patrzyła na niego w zadumie, trzymając połyskującą złotymi pierścieniami dłoń na ramieniu siedzącej obok kobiety. Cyan przystanął. Regis podszedł do niego; Cyan chciał uklęknąć, ale król objął go i poklepał po plecach, wytrzepując kurz z tuniki. Rycerz patrzył z niedowierzaniem ponad jego ramieniem. Albo wzrok go mylił, albo obok królowej siedziała piekarka z kamiennego lasu.

- Jak to... - zaczął, ale król nie dopuścił go do słowa.
- Wiem - powiedział. - Wiem. Gwynne powiedziała mi, dokąd się udałeś i po co...
- Jak to?
- Powiedziała, że poprosiła cię, byś udał się w sekrecie do Skye i uratował jej kuzynkę uwięzioną w wieży. Powiedziała, że spośród wszystkich moich rycerzy tylko ty jeden możesz podróżować po Skye.
- Nie udało mi się... nie zdołałem... czy to jest Thayne Ysse? Czy to on siedzi przy twoim stole?

Regis kiwnął głową i zacisnął na moment usta.

- Przyleciał tu na smoku i musiałem mu oddać Wyspy Północne. Kobieta z kamiennego lasu zagroziła, że jeśli tego nie uczynię, użyje przeciwko mnie całej magii Skye.
- Sel tak powiedziała?
- Wiem od Thayne'a Ysse, że stawiłeś temu smokowi czoło w Skye. Nigdy w życiu nie widziałem podobnego monstrum.
- Rozmawiał ze mną - wybąkał oszołomiony Cyan - zamiast mnie zabić.
- Ze mną nie rozmawiał. Nie musiał.
- Gdzie jest teraz?
- Thayne powiedział, że musiał wracać do Skye. - Regis urwał i sięgnął po medalion wiszący na szyi Cyana. Uniósł go do oczu, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy majaczącej w przymglonym srebrze. Cyan wstrzymał oddech.

- Toż to Gwynne! - wykrzyknął król.
- To kobieta, na poszukiwanie której mnie wysłano.
- Wygląda zupełnie jak Gwynne. - Król ścisnął Cyana za ramię i spojrzał mu głęboko w oczy. - A ty wyglądasz tak, jakbyś wracał z pola bitwy. Kto ci porwał tunikę?
- Smok.
Twarz króla zmieniła się; można by pomyśleć, że ujrzał w jednej chwili wszystkie dziwne i niebezpieczne przygody, jakie przeżył Cyan od opuszczenia Gloinmere.
- Idź się ogarnąć - powiedział krótko. - A potem siądź z nami. Chcę usłyszeć, co porabiałeś w Skye.
Cyan skłonił się rad, że będzie mógł zejść z oczu królowej i w samotności pozbierać rozbiegane myśli. Dała mu czas tylko na obmycie się i przebranie. Zjawiała się, kiedy stał, ważąc w dłoni medalion i zastanawiając się, ile powiedzieć Regisowi teraz, a ile potem, w cztery oczy.
Weszła przez zamknięte drzwi. Zaniemówił na widok twarzy, którą mu objawiła - koścista twarz o matowych, ciemnych oczach bez powiek, szerokich bezwargich ustach, białej, lśniącej skórze. Przypominała coś, co urodziło się w mroku i wodzie, i przez całe życie unikało światła. Zacisnął dłoń na medalionie. Nie mógł zrobić ani kroku. Patrzył tylko bezradnie.
Wyciągnęła rękę do medalionu; na jej palcu zaśniła srebrna obrączka. Cyan pokręcił głową i mocniej zacisnął dłoń. Odniósł wrażenie, że ta kobieta sięga po jego serce, ale nawet nie próbował dobyć miecza. Przeczynał jakąś tajemnicę, której jego umysł jeszcze nie ogarniał. Kiedy wyjmowała mu medalion z dłoni, poczuł dotknięcie szóstego palca, dotyk magii, i zamknął oczy.
- Już ci to nie jest potrzebne - powiedziała. Rozdzieliły się ogniwa. Dopiero kiedy łańcuszek wsunął się w jej dłoń, Cyan uświadomił to sobie, jak był ciężki. Spojrzał na nią znowu i spytał błagalnie, nie mając nadziei na odpowiedź:
- Gdzie jest Gwynne ze Skye?
- W sali. Spożywa wieczerzę u boku króla.
Minęło parę chwil, zanim odzyskał głos.
- Więc kim... kim jesteś?
Medalion zniknął. Odpowiedziała jak smok, patrząc na niego strasznymi, nieludzkimi oczami:
- Mogłeś mnie zabić, Cyanie Dagu. Nie uczyniłeś tego. Sam mi powiedz, kim jestem.
I wtedy zaczął dygotać. Wspominając swą długą podróż i widząc teraz wszystko w nowym świetle, czuł, że ma odpowiedź na końcu języka. I naraz zrozumiał wszystko w nagłym olśnieniu. Skłonił się wpatrzony w srebrny pierścień, który nosiła, który nosiły

wszystkie - minstrelka, czarodziejka i kobieta stojąca teraz przed nim.

Ujął najpierw niepewnie, potem z większą śmiałością sześciopalczystą dłoń i uniósł do

ust. Srebro błysnęło magią.

- Jesteś trzecią siostrą - powiedział.

Uśmiechnęła się. Nie był to uśmiech przyjemny dla ludzkiego oka, ale Cyan poczuł,

że spada z niego brzemień lęku i obaw, jakie dźwigał od opuszczenia Gloinmere.

- Dlaczego? - szepnął.

- Byłeś nam potrzebny. - Wzięła jego dłoń w obie ręce, jakby go zachęcała, by poszedł

za nią przez powietrze. - Byłeś nam potrzebny, żeby pomóc Sel, Thayne'owi Ysse i Wyspom

Północnym. Potrzebna nam była twoja odwaga i łagodność, twoja determinacja; twoja

lojalność, twój dar przewidywania i rozsądku, wszystko to, czym się wykazałeś, ratując

plączącego w deszczu chłopca.

- Nie rozumiem.

- Tamtego dnia Regis Aurum pojął w Gloinmere za żonę prawdziwą Gwynne ze Skye. Przybyłam z moimi siostrami na zaślubiny, albowiem pani ze Skye jest w pewnym sensie

naszą kuzynką. Za jej przyzwoleniem dwukrotnie przybrałam tutaj jej twarz.

Pierwszy raz,

kiedy z tobą tańczyłam, drugi, kiedy cię wystraszyłam i skłoniłam do podjęcia wyprawy do

Skye. I nosiłam jej twarz w Skye. Byłam kobietą ze zwierciadła, której historię tworzyła dla

siebie Sel. Byłam kobietą ze srebrnego medalionu. Byłam kobietą w wieży.

Nadal drżał, nadal usiłował zrozumieć, gdzie właściwie był, co robił, kiedy myślał, że

robi coś zupełnie innego.

- Wysłałeś mnie, żeby ratować ciebie...

- Wyruszyłeś z Gloinmere, by ratować kobietę z wieży. A tak naprawdę, szukając mnie, ratowałeś Thayne'a Ysse i Wyspy Północne, przeżywające od siedmiu lat gorycz

porażki i jęczące pod jarzmem zaborcy. Uratowałeś Sel z jej mrocznej wieży.

Opowiedziałam

historię, którą żyła, a ty pomogłeś jej dopowiedzieć zakończenie. Dzięki tobie

Thayne Ysse

otworzył w sobie drzwi na magię i sprowadził ją z powrotem na Wyspy Północne.

Dzięki

tobie Sel przypomniała sobie wielką moc, jaka w niej drzemała, i przyniosła ją do Yves, przez

co zapanował pokój między Thayne'em Ysse i Regisem Aurumem. Wszystko to dzięki tobie.

Cyan czuł, że gdyby go nie podtrzymała, osunąłby się na posadzkę.

- Kim jesteście? - spytał znowu.

- Trzema siostrami - odparła. - Idra tka. To ona utkała twoją krętą, niebezpieczną

ścieżkę życia, ścieżkę, którą krocząc, wpływałeś na każdego, z kim zetknął cię los.

Potrzebowałyśmy pomocy i Idra wybrała ciebie. Dobrze wybrała. Jesteśmy ci bardzo wdzięczne.

Milczał, bo nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Niby otrzymał odpowiedź, ale

nic z tego nie rozumiał. Znowu poczuł, jak zadrgały kamienne płyty pod jego stopami; uścisk

jej suchych, jedwabistych dłoni zelżał nieco.

- Mogła powiedzieć mi wprost, o co chodzi - stwierdził z nutką goryczy. - Czemu nie

zaufałyście mi, miast straszyć?

- Gdybym poprosiła, byś zmierzył się ze smokiem, schwycił fokę w morzu, przekonał

Thayne'a Ysse, że może zaufać rycerzowi z Gloinmere, spojrzal w oczy śmierci od wody,

miecza i czarów, i przeżył, by przynieść do Yves magię, co byś powiedział?

Zamrugął, zapiekły go policzki.

- Że nikt tego nie dokona - przyznał cicho.

- Tobie się udało - powiedziała łagodnie i puściła jego dłoń. - Nie zobaczysz więcej tej

twarzy. Już nigdy w nikim mnie nie rozpoznasz. Ale wszystkie trzy będziemy cię baczenie

obserwowały i jeśli nam pozwolisz, zwrócimy ci spokój i magię, którą przywołałeś z

powrotem na świat. Mam wiele twarzy i mogę być każdą kobietą, którą napotkasz na swej drodze.

Cofnęła się; odniósł wrażenie, że po raz drugi zabiera mu medalion. Zaczekaj! - cisnęło mu się na usta. Zostań tu. Poproś mnie o coś jeszcze. Wyślij mnie gdzieś... Jej dziwna

twarz zafalowała, rozpląnęła się w dymie i cieniach. Zanim zupełnie zniknęła, zobaczył

jeszcze oczy pełne teraz barw i światła, odbijające cały świat, wszystkie światy, które widział

w mrocznej wieży.

- Pokaż mi swoją prawdziwą twarz - wykrztusił.

Stał jak ogłuszony, wpatrując się w tę twarz rozbłyskującą raz po raz coraz słabszym

płomieniem w jego sercu, przygasającą, aż w końcu zniknęła zupełnie.

Wtedy wrócił do sali.

Ujrzał tam znowu twarz z medalionu obramowaną teraz blaskiem świec i pochodni, i zatrzymał się jak wryty.

- Rada jestem - powiedziała Gwynne ze Skye, uśmiechając się do niego - że wróciłeś

bezpiecznie ze Skye, panie. Sel powiedziała mi, że spotkałeś tam jedną z moich kuzynek,

Sidere, siostrę minstrelki ze Skye, którą poznałeś na mym ślubie.

- Tak, pani. - Złożył na jej dłoni pocałunek. - Poznałem też trzecią z sióstr.

Nie

spytalem jej tylko o imię.

- Nazywa się Una.

- Dziękuję.

Thayne wstał, by go powitać. To samo uczynił siedzący obok niego młodzieniec,

który ruchy miał trochę niezgrabne. Jego szczupłą twarz o ciemnych oczach i nieustraszonym uśmiechu z początku wydała się Cyanowi nieznajoma. Ale zaraz przypomniał sobie chłopca, którego znosił w deszczu ze wzgórza.

- Craiche?

- Tak, to mój brat - powiedział Thayne Ysse, kładąc dłoń na ramieniu Craiche'a.

- A to

ów bezimienny rycerz z Gloinmere, który ocalił ci życie.

- Nie spodziewałem się kiedyś cię spotkać - powiedział Craiche, poważniejąc. - Chyba

nawet nie wierzyłem, że naprawdę istniejesz. Pojawiłeś się znikąd, jak rycerz z legendy,

zaniósłeś mnie w bezpieczne miejsce i odszedłeś. Nigdy... do tej pory

zastanawiam się, po co

zadawałeś sobie ten trud.

Cyan patrzył na niego bez słowa. „Idra tka”, powiedziała Una. Z tej wątlej, pojedynczej nici, z incydentu, o którym dawno zapomniał, utkała życie Cyana i nadzieję

Thayne'a.

- Byłeś ranny - powiedział w końcu. - Jak mogłem ci nie pomóc? Potem ty ocaliłeś życie mnie w smoczej wieży - dodał i Thayne splonął rumieńcem.

- Siadaj - powiedział Regis, dając znak sługom, że mają przynieść krzesło, jadło i

wino. Cyan usiadł między Ysse i Yves. Wzniósł kielich w toaście do Thayne'a.

- Za władcę Wysp Północnych.

- I za piekarkę z kamiennego lasu, która ocaliła wieże Gloinmere - podchwycił Regis.

- Mam nadzieję, że zostanie tu czas jakiś i poduczy mnie magii.

Cyan spojrzał w foczce oczy rozjaśnione podwodnym uśmiechem.

- Zostaniesz?

- Żeby zdradzać Yves tajemnice Skye?

- Musisz zostać, Sel - odezwała się królowa. - Kuzynki nauczyły mnie paru sztuczek;

ja i ty możemy wspólnie sprowadzić magię z powrotem do Yves. Była tu kiedyś.

Czuję to w

kamieniach i blasku księżyca, w ziemi, po której stąkam. - Przeniosła

roześmiane, rozjaśnione

magią oczy z Sel na Cyana. - W pewnych starych wieżach.

Kobięcy głos, słodki i głęboki, zaintonował pieśń o wielkiej miłości. Serce

Cyana w

jednej chwili stopniało i popękało jak lód w ogniu.

- Cyanie - powiedział król, kiedy śpiewaczce zawtórował flet. - Nie każ nam dłużej

czekać. Opowiadaj, co się z tobą działo, od kiedy Gwynne posłała się do Skye. Co z tą

kobietą z wieży? Znalazłeś ją? I jak to się stało, że spotkałeś Sel na swej

drodze? Jakie

nieprawdopodobne wypadki sprawiły, że teraz je ze mną wieczkę w Gloinmere?

Jeszcze tego wieczoru Cyan odnalazł śpiewaczkę. Król opuścił już salę, słudzy ściągali obrusy ze stołów, muzycy pakowali instrumenty do wyścielonych aksamitem

futurałów z palisandru. Była w zielonej tunice, włosy spływały jej na plecy ciemną falą spod złotej spinki na karku. Roześmiała się z żartu flecisty, a potem zobaczyła rycerza. Oczy jej pociemniały i znieruchomiała jak wieża pośród wzgórz w Skye. Zbliżył się niepewnie, tak jak zawsze zbliżał się do wszelkiej magii.

Uśmiechnęła się jakoś sztucznie.

- Mój pan Dag.

- Nadal tu jesteś. - Przyglądał się jej przez chwilę. Zauważył cienie pod oczami, siateczkę drobniutkich zmarszczek wokół ust. - Wyjechałem bez słowa - dorzucił cicho.

- Tak.

- Nie miałem czasu się pożegnać, wyjaśnić, dokąd się wybieram. Myślałem... myślałem...

- Że zastaniesz mnie odzianą w strojne szaty, u boku jakiegoś możnego pana z Yves?

- Tak. Nie. - Odetchnął głęboko. - Myślałem, że nie będziesz miała wyboru.

- Ja też tak myślałam. - Urwała; ujrzał w jej oczach bolesne wspomnienia. - Tak się

stało. Ojciec chciał mnie wydać za męża, ty zniknęłaś, byłam w rozpaczce.

Zwróciłam się o

pomoc do królowej. Poradziła mi, żebym tu została i śpiewała dalej. Uprosiła króla, by

porozmawiał z moim ojcem, powiedział mu, że kocham największego rycerza z Gloinmere,

że pomoże ci, w czym tylko będzie mógł, i że niczego ci nie odmówi. Po tej rozmowie ojciec

zdecydował, że mogę nie wracać do domu i zostawił mnie tutaj.

- I nadal jesteś sama? - spytał Cyan.

Uśmiechnęła się do niego przez łzy.

- Och, Cyanie. Kiedy ujrzałam cię idącego przez salę w połatanej tunice, z rozwichrzonymi włosami, pokrytego kurzem, bez broni, bez zbroi, z dziwnym kawałkiem

srebra na łańcuszku, przypominającego bardziej giermka u drzwi niż największego rycerza

Gloinmere, cóż mi pozostało, jak nie zakochać się w tobie na nowo? Śpiewałam dla ciebie.

Słyszałeś?

- Słyszałem.

Dotknął jej policzka, a potem porwał Crię w ramiona i zanurzył twarz w jedwabistych

włosach. W sali nie było już nikogo. Rozbrzmiewało w niej tylko echo muzyki, a po posadzce

tańczyły krzyżujące się cienie rzucane przez pochodnie; z jednego wyrosły trzy kobiety i w

pożegnalnym geście uniosły ozdobione pierścieniami dłonie.